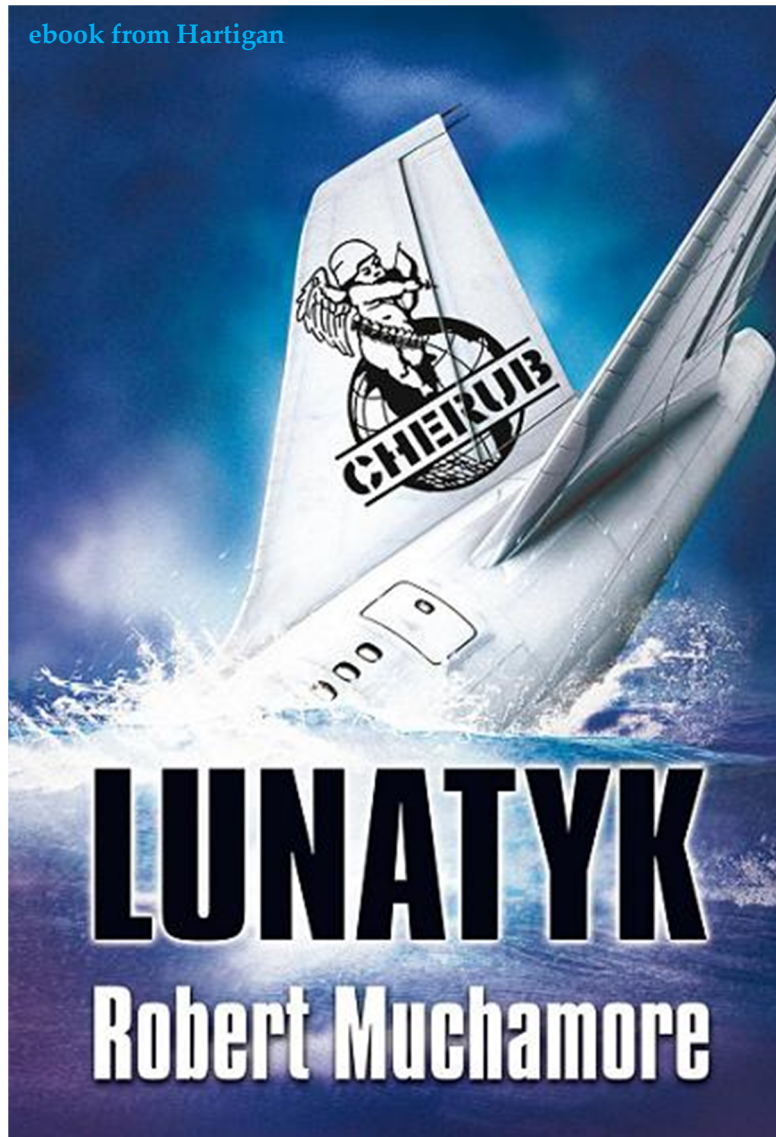


ebook from Hartigan



LUNATYK

Robert Muchamore



LUNATYK

Robert Muchamore

Tłumaczenie Bartłomiej Ulatowski

EGMONT

Tytuł oryginalny serii: *Cherub*
Tytuł oryginału: *The Sleepwalker*

ebook:
wydanie pierwsze – 10.2011
przez: Piotr „Hartigan”
hartigan00@interia.pl

Copyright © 2007 Robert Muchamore
First published in Great Britain 2007
by Hodder Children's Books

www.cherubcampus.com

© for the Polish edition by Egmont Polska Sp. z o.o.,
Warszawa 2010

Redakcja: Agnieszka Trzeszkowska
Korekta: Anna Sidorek
Projekt typograficzny i łamanie: *Mariusz Brusiewicz*

Wydanie pierwsze, Warszawa 2010
Wydawnictwo Egmont Polska Sp. z o.o.
ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa
tel. 0 22 838 41 00

www.egmont.pl/ksiazki

ISBN 978-83-237-3406-2

Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków

Zabrania się kopiowania i wykorzystywania treści zawartych w dokumencie.
Dokument jest zabezpieczony przed kopiowaniem, dozwolone jest natomiast drukowanie.
Jeśli znalazłeś błąd – powiadom mnie o tym.
Dziękuję za uszanowanie mojej pracy – Hartigan.

CO TO JEST CHERUB?

CHERUB to komórka brytyjskiego wywiadu zatrudniająca agentów w wieku od dziesięciu do siedemnastu lat. Wszyscy cherubini są sierotami zabranymi z domów dziecka i wyszkolonymi na profesjonalnych szpiegów. Mieszkają w tajnym kampusie ukrytym na angielskiej prowincji.

JAKI POZYTEK MA WYWIAD Z DZIECI?

Całkiem spory. Ponieważ nikt nie podejrzewa dzieci o udział w tajnych operacjach szpiegowskich, mogą sobie pozwolić na znacznie więcej niż dorośli agenci.

KIM SĄ BOHATEROWIE?

W kampusie CHERUBA mieszka około trzystu dzieci. Głównym bohaterem opowieści jest piętnastoletni JAMES ADAMS, ceniony agent, mający na koncie kilka udanych misji. Pochodząca z Australii DANA SMITH jest jego dziewczyną. Do jego najbliższych kolegów należą SHAKEEL DAJANI oraz bliźniacy CALLUM i CONNOR O'REILLY. Siostra Jamesa LAURA ADAMS ma zaledwie dwanaście lat, ale już cieszy się reputacją jednej z najlepszych agentek CHERUBA. Jej najbliższymi przyjaciółmi są BETHANY PARKER oraz GREG RATHBONE, znany jako RAT.

PERSONEL CHERUBA

Utrzymujący rozległe tereny, specjalistyczne instalacje treningowe oraz siedzibę łączącą funkcje szkoły, internatu i centrum dowodzenia CHERUB w istocie zatrudnia więcej dorosłych pracowników niż nieletnich agentów. Są wśród nich kucharze, ogrodnicy, nauczyciele, trenerzy, pielęgniarce, psychiatrzy, koordynatorzy i specjaliści misji. Szefem CHERUBA jest Zara Asker.

KOD KOSZULKOWY

Rangę cherubina można rozpoznać po kolorze koszulki, jaką nosi w kampusie. Pomarańczowe są dla gości. Czerwone noszą dzieci, które mieszkają i uczą się w kampusie, ale są jeszcze za małe, by zostać agentami (minimalny wiek to dziesięć lat). Niebieskie są dla nieszczęśników przechodzących torturę studniowego szkolenia podstawowego. Szara koszulka oznacza agenta uprawnionego do udziału w operacjach. Granatowa jest nagrodą za wyjątkową skuteczność podczas akcji. Laura i James noszą koszulki czarne, przyznawane za znakomite wyniki podczas licznych operacji. Agenci, którzy zakończyli służbę, otrzymują koszulki białe, jakie nosi także część kadry.

1. POWRÓT

Bethany Parker była na zagranicznej misji przez osiem miesięcy – wystarczająco długo, by po powrocie przekonać się, że w kampusie zaszły poważne zmiany. Wzdłuż ścieżki prowadzącej do wejścia głównego budynku stał na baczność szpaler świeżo posadzonych drzewek, posadzkę w środku zdobiły nowe płytki, zaś na żwirowym placu obok centrum planowania misji wyrósł ogromny talerz anteny satelitarnej.

Jednak dopiero widok innych cherubinów sprawił, że Bethany poczuła się, jakby ominęło ją coś ważnego: dziewczęta miały inne fryzury, twarze dawnych przystojniaków pokrył szpetny trądzik, po korytarzach kręcili się wykwalifikowani agenci, których widziała pierwszy raz w życiu, a juniorzy wydawali się jej dziwnie mali.

Wysiadając z windy na parterze, natknęła się na opiekunkę Meryl Spencer. Atletycznie zbudowana Kenijka uśmiechnęła się szeroko.

– Niezła opalenizna, Bethany. Słyszałam o tobie same dobre rzeczy.

Nieoczekiwany komplement wprowadził Bethany w zakłopotanie.

– Dziękuję... Szukam Laury, nie widziała jej pani?

– Pewnie kręci się przy warsztacie samochodowym. Niedługo ma się odbyć jakiś wyścig. Myślę, że Jake'a też tam znajdziesz.

Bethany ukłuło poczucie winy, gdy uświadomiła sobie, że nawet nie pomyślała o przywitaniu się z własnym bratem. Pokonawszy truchtem krótki korytarz, wyszła z głównego budynku tylnymi drzwiami i pobiegła alejką pomiędzy kortami. Bojówki krępowały jej ruchy, a glany ciążyły po ośmiu miesiącach spędzonych w Brazylii i Stanach Zjednoczonych, gdzie rzadko nosiła cokolwiek cięższego od sandałów i szortów.

Kiedy wbiegła na opustoszałe boiska, słońce chowało się już za horyzontem. Pomarańczowy blask bił spomiędzy drzew, zmuszając ją do mrużenia oczu. Dobrze było znowu być w kampusie. Chłodne wieczorne powietrze stanowiło miłą odmianę po tropikalnej wilgoci i Bethany celowo przebiegła przed bramką, przez najbardziej błotnistą część boiska, ponieważ wiedziała, że poczuje się bardziej swojsko w swoich nowiutkich butach (po krótkiej walce ze starymi odkryła, że zrobiły się za małe), jeżeli pokryje je choć odrobiną kampusowego brudu.

– Laura! – zawołała, stając na niewielkim wzniesieniu.

Na parkingu poniżej kłębił się tłumek około trzydziściorga dzieci. Większość patrzyła w stronę przypłaszczonej szopy o aluminiowych ścianach. Trzyczęściowe hangarowe wrota od frontu stały otworem, odsłaniając rzęsiście oświetlone stanowiska warsztatowe obstawione wózkami narzędziowymi oraz cztery samochody w różnych stadiach demontażu.

W warsztacie tuningowano wszystkie auta floty CHERUBA; oprócz twardszego zawieszenia, układu śledzenia satelitarnego i podrasowanego silnika otrzymywały przyciemniane szyby oraz subtelnie zmodyfikowane wyposażenie kabiny, ergonomicznie dopasowane do rozmiarów nieletnich kierowców. Aby utrzymać najwyższe standardy niezawodności, wszelkie prace serwisowe i naprawcze wykonywano w kampusie, podobnie jak okazjonalne przeróbki specjalne, na przykład gdy trzeba było wyposażyć wóz w tajny schowek albo zamontować urządzenia podsłuchowe.

Kilka osób odwróciło się, słysząc wołanie. Laura Adams aż zachłysnęła się na widok swojej najlepszej kumpeli. Wyrwała się z grupy i co sił pognęła na górkę, by przywitać Bethany.

– Mój Boże! – zawołała, wpadając przyjaciółce w ramiona. – Nawet nie wiedziałam, że wróciłaś. Trzeba było wysłać esa.

Bethany zapiszczała radośnie.

– Chciałam ci zrobić niespodziankę.

– Kiedy wróciłaś z Brazylii?

Bethany spojrzała na zegarek.

– Nasz samolot wylądował w bazie RAF-u pięć godzin temu, ale musiałam od razu iść z Maureen na złożenie raportu, a potem jeszcze do prezeski.

Laura powiodła wzrokiem po granatowej koszulce koleżanki.

– I jeszcze awans. Gratulacje!

Zara powiedziała, że zasłużyłam na czarną – pochwaliła się Bethany. – Ale czarną dostaje się tylko za wybitne osiągnięcia na wielu misjach bez względu na to, jak długo nie było cię w domu.

Laura pokiwała głową ze współczuciem, choć w głębi serca była zadowolona, że wciąż góruje rangą nad przyjaciółką.

– No i jak było na misji?

– Ciężko, ale w końcu pozałatwialiśmy, co było do załatwienia. A co u ciebie? Wciąż zawieszona?

Laura na pozór obojętnie wzruszyła ramionami.

– Dali mi kilka dni testów zabezpieczeń w bazach RAF-u i pomogłam parze nowych agentów wdrożyć się w zadanie w Irlandii Północnej, ale na samodzielną misję nie mogę liczyć jeszcze przez miesiąc.

– Przywiozłam ci prezent, ale pomyślałam, że dam ci go na urodziny w przyszłym tygodniu... – zaczęła Bethany, lecz przerwała, by obrzucić zdziwionym spojrzeniem zdyszana dziewczynkę, która w tej chwili podbiegła do Laury.

– To Coral – wyjaśniła Laura, usiłując odsłonić bojaźliwą

sześciolatkę kryjącą się jej za plecami. – Kiedy dostałam karę, musiałam pomagać w bloku juniorów, no wiesz, kłaść maluchy do łóżka, czytać im bajki i takie tam. Spodobało mi się to i nadal tam chodzę, żeby pomagać. Wypracowałam tyle punktów za aktywność dodatkową, że nie muszę już więcej chodzić na taniec ani zajęcia teatralne.

– Super – uśmiechnęła się Bethany. – Choć chyba nigdy nie zrozumieć, co masz przeciwko zajęciom teatralnym.

Laura cmoknęła z niesmakiem. Tymczasem Coral wsunęła jej dłoń do kieszeni spodni i nieśmiało otarła się o jej nogę.

– Zajęcia teatralne są kretyńskie – jęknęła Laura. – Pamiętasz, jak Dickerson kazała nam przez bitą godzinę machać rękami nad głową, że niby jesteśmy drzewami?

Bethany parsknęła śmiechem, po czym zaczęła naśladować głos nauczycielki.

– Głęboki oddech i niech ciała poruszają się wraz z wiatrem szumiącym w waszych gałęziach...

– Nie byłoby tak źle, ale tam nie da się głęboko oddychać – powiedziała Laura. – W sali nie ma okien i zawsze śmierdzi brudnymi girami.

Dziewczęta roześmiały się głośniej, niż uzasadniała to jakoś żartu, po prostu dlatego, że było im ze sobą dobrze.

– Coral, to jest moja przyjaciółka Bethany – powiedziała Laura, wyciągając zza swoich nóg zalęknioną dziewczynkę. – Przestań zachowywać się jak dzidzius i przywitaj się.

Bethany przykucnęła i posłała małej przyjazny uśmiech.

– Coral jest w kampusie dopiero od kilku dni – wyjaśniła Laura. – Jej starszy brat już gania w najlepsze z resztą czerwonych koszulek, ale Coral wciąż jest trochę onieśmielona. Zajmuję się nią, dopóki się nie zadomowi.

– Cześć, Bethany – powiedziała cicho Coral, zerkając niepewnie na dziewczynę i wyciągając ku niej małą rączkę.

Bethany zauważyła maźnięcia czarnego lakieru na drobnych paznokietkach.

– Aleś ty elegancka! – zawołała z przesadnym zachwytem. – Miło mi cię poznać, Coral.

Po prezentacji Coral poczuła się nieco pewniej. Laura i Bethany wzięły ją między siebie i ująwszy za ręce, ruszyły w dół, w stronę zgromadzenia przed warsztatem.

– A w ogóle to co tam się dzieje? – zapytała Bethany.

– Ciężka jazda. Chłopaki prężą ego i tarzają się w smarze – odparła Laura. – Sama zobaczysz; w powietrzu jest tyle testosteronu, że można je ciąć nożem.

– Rozumiem – skłamała Bethany.

– Wycofali dwa stare wózki golfowe, te, którymi kadra rozbijała się po kampusie – ciągnęła Laura. – Ale zamiast je skasować, Terry Campbell pomaga paru chłopakom zamontować w nich silniki od motocykli i przerobić na wyścigowe gokarty. Wiesz, jaki się robi James, gdy sprawa choć trochę dotyczy motocykli. Od kiedy wróciliśmy z wakacji, prawie go nie widuję.

– Mój brat też dał się wciągnąć?

Laura skinęła głową.

– Jake jest w zespole Jamesa.

Prowadząc Coral za ręce, Laura i Bethany przecisnęły się przez zbiorowisko i weszły do warsztatu. W środku stały dwa gokarty otoczone przez chłopców w niebieskich kombinezonach.

Pojazdy były poobijane i mocno pordzewiałe po dekadzie tułania się po alejkach i bezdrożach kampusu. Jednak zamiast pozwolić im umrzeć z godnością, wypatroszono je z akumulatorów i motorów elektrycznych, po czym wyposażono w motocyklowe silniki ze skrzyniami biegów, jak również rozmaite akcesoria zewnętrzne o wątpliwej wartości funkcjonalnej i estetycznej. Wyścigówka zespołu Jamesa straszyła czterema lusterkami, złotym kolorem oraz pasami krzyczącymi „Patrz, jak zasuwam” namalowanymi na

karoserii.

Bethany podeszła do muskularnych nóg Jamesa Adamsa wystających spod uniesionego na stojakach pojazdu.

– Co za kupa złomu – powiedziała dość głośno, by wszyscy ją usłyszeli.

– Cze, siora! – zawołał jedenastoletni Jake, odwracając się od wózka z narzędziami. – Przywiozłaś mi preziki?

– Trzy wory brudnego prania, jeśli jesteś zainteresowany – prychnęła Bethany, witając brata lekkim uściskiem. Jak niemal każde rodzeństwo ona i Jake kochali się gdzieś w głębi duszy, ale trzeba było batyskafu z potężnym reflektorem, żeby to zobaczyć.

James wysunął się spod gokarta i siadając, zwrócił się do swoich trzech kolegów z zespołu:

– Ścisnąłem przewód opaską i zawiązałem w pół rolki zbrojonej taśmy, z ciśnieniem oleju powinno być już okej.

– Wróciłam, James – powiedziała Bethany, szczerząc radośnie zęby i wyciągając ręce w karykaturze przyjaznego gestu. – Cieszysz się, że mnie widzisz?

James potrząsnął głową z niesmakiem i wcisnął przycisk podnośnika. Uniósłszy pojazd, wykopał spod niego stojaki, po czym opuścił gokart na posadzkę. Zmiana w wyglądzie Bethany trochę nim wstrząsnęła. Dziewczyna urosła co najmniej z osiem centymetrów, miała już naprawdę fajne piersi, a opalenizna sprawiała, że wyglądała na trzynastolatkę. Gdyby miała ze dwa lata więcej, byłaby w typie panny, do jakiej próbowałby startować.

– Nie da się ukryć, że trochę się zmieniłaś – zauważył sucho, zerkając spode łba na swoich dwóch trzynastoletnich współpracowników Rata i Andy'ego, którzy stali oniemiałymi z otwartymi ustami i oczami wyłażącymi z orbit.

– Bethany, tylko posłuchaj tej ślicznotki! – zapiał Rat, przyskakując do kabiny, żeby sięgnąć do przycisku rozrusznika.

– Ja, mam bliżej! – wypalił Andy i chłopcy przypadli do pojazdu

z dwóch stron, omal nie zderzając się głowami.

Andy był szybszy. Rozległ się grzechoczący dźwięk, po czym gokart parsknął pióropuszem gryzących spalin i zaryczał, wprawiając blaszane ściany warsztatu w nerwowe drżenie.

– Pan Campbell pokazał nam, jak przerobić wydech, żeby był jak najgłośniejszy! – wydarł się Andy, starając się przekrzyczeć hałas i bacznie obserwując reakcję Bethany.

– Ekstra, co nie?! – wrzasnął Jake.

Coral zasłoniła uszy dłońmi. Laura i Bethany spojrzały na siebie i pokręciły głowami. Laura nachyliła się, by krzyknąć przyjaciółce prosto do ucha:

– Zdaje się, że powinniśmy być pod wrażeniem!

Bethany potrząsnęła głową i roześmiała się.

– Są tacy mężczyźni! Jak mogłybyśmy im się oprzeć?

2. OKAZJA

Karen musiała zebrać sześć kuponów, które wycinało się z gazety. Kiedy miała już komplet, zasiadła przed komputerem, by podjąć walkę z przeciążoną witryną linii lotniczych. Stawką była okazja stulecia: cztery bilety do Nowego Jorku, które zamierzała przeznaczyć na weekend przedgwiazdkowych zakupów z synem, córką i teściową.

Oferta dotyczyła tylko niektórych lotów w niektóre dni tygodnia. Wkrótce okazało się, że Karen może zarezerwować bilety wyłącznie na wrzesień i nawet wtedy musi uiścić dopłatę za bilety na wcześniejszy lot powrotny, żeby dzieci straciły tylko jeden dzień szkoły (dyrektor posłał jej miazdzące spojrzenie, jakby utrata jednego poniedziałku miała zrujnować przyszłość jej dzieci).

Jednak Karen spodobał się pomysł wypadu z dziećmi do Nowego Jorku, a kiedy już zwęszyła okazję, potrafiła gryźć jak rottweiler. Pomimo kolejek do odprawy, paskudnego jedzenia na pokładzie i kilometrowych kolejek w urzędzie imigracyjnym na JFK to był udany weekend.

Odwiedzili Empire State Building, nocowali w eleganckim hotelu i roztrwonili limity dwóch kart kredytowych w outlet mallu dziesięć mil za miastem. Teściowa Karen rozpuszczała dzieci, jakby miało

nie być jutra, i dwie młode bestyjki były zachwycone każdą niedospaną, zasilaną hamburgerami minutą swojej wycieczki.

Angus miał jedenaście lat, a Megan dziewięć. Dostali prawą parę miejsc z czterech w centralnym pasie foteli, tuż obok mamy i babci chrapiącej w najlepsze na lewym końcu szeregu. Od Nowego Jorku dzieliły ich już dwie godziny lotu. Załoga przyciemniła światła w kabinie i podkręciła ogrzewanie, próbując ułatwić pasażerom zaśnięcie. Angus jednak wciąż był pod urokiem swojej nowej gry na gameboya, a Megan oglądała film na malutkim ekranie wbudowanym w oparcie fotela przed nią. Mama wolałaby, żeby spróbowali się zdrzemnąć, ale podróże lotnicze zawsze wywoływały u niej oślepiający ból głowy i dopóki dzieciaki były cicho, nie miała zamiaru z nimi walczyć.

Megan wybrała komedię romantyczną o harleyowcu zakochanym w lekarce, którą poznał po tym, jak rozbił się na swoim motocyklu. Motocyklista goli brodę, kupuje garnitur i stara się o godną szacunku pracę, co prowadzi do licznych sytuacji, jakie Megan uznała za przekomiczne, a jakie jej brat nazywał nudnym romantycznym szajsem. Angus obejrzał ledwie pięć minut i wrócił do swojego gameboya.

Jednak kiedy film dotarł do punktu kulminacyjnego – w którym motocyklista wdaje się w bójkę na ślubie i ucieka okryty wstydem i hańbą, by w końcu odkryć, że lekarka kocha w nim człowieka, jakim jest naprawdę, a nie tego, którego udaje – słuchawki Megan zaczęły przerywać, po czym z jednej strony dźwięk znikł całkowicie. Dziewczynka sięgnęła nad podłokietnikiem, by zgarnąć słuchawki z kolan brata.

– Hej! – wrzasnął Angus, łapiąc za plastikowy łącznik. – W kulki sobie lecisz?

– Moje się zepsuły – powiedziała Megan. – Przecież nie używasz.

– Ale mogę użyć później.

– To wtedy ci oddam, głupolu – odparowała dziewczyna,

wyciągając palec w stronę małego ekraniku LCD. – Mój film prawie się skończył i nie mogę przegapić zakończenia.

Karen otworzyła oczy i spojrzała krzywo na swoje pociechy.

– Przestańcie się kłócić. Angus, oddaj jej słuchawki.

– Wtedy będę miał przerąbane do końca lotu! Wiem, jaka ona jest. Teraz mówi, że to na chwilę, a potem nigdy mi ich nie odda!

Karen złapała własne słuchawki i pomachała nimi w powietrzu. Wciąż były zapakowane w celofan.

– Angus, kiedy będziesz potrzebował słuchawek, dam ci te – powiedziała twardo. – A teraz nerwy w konserwy. Zachowujecie się jak para rozwyrzonych smarkaczy.

Karen była zła na dzieci, ale po części także na teściową, która pozwalała im jeść niezdrowe rzeczy i robić, co im się żywnie podoba, co zawsze prowadziło do ich nadaktywności i ogólnego rozbestwienia.

Megan nie powstrzymała się od triumfalnego uśmiechu, wrywając słuchawki z rąk brata. Ale kiedy pociągnęła za przewód, podwójna wtyczka na końcu zaczepiła o spód gameboya i straciła go z kolan chłopca na wykładzinę między jego stopami.

– Uważaj, szmato jedna! – zasyczał Angus.

Oczy Karen otworzyły się szerzej.

– Angus, ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie mówił do siostry w taki sposób?! To bardzo nieładnie nazywać tak dziewczynkę!

Megan prychnęła pogardliwie.

– On jest głupi. Nawet nie wie, co to znaczy.

Angus zaśmiał się.

– To znaczy, że dajesz się obmacywać chłopakom.

Zanim skończył mówić, Karen złapała go za rękaw nowiutkiej koszulki New York Yankees i dość mocno ścisnęła ramię.

– Szlaban – syknęła. – Nie będę tolerowała takiego słownictwa, Angus. Dwa tygodnie. I przez ten czas żadnego kieszonkowego ani treningów rugby.

– Co?! Nie możesz mi tego zrobić! – zachłysnął się Angus. – To niesprawiedliwe! Dopiero co dostałem się do podstawowego składu.

Megan zsunęła się w głąb fotela, żeby móc oglądać film pod wyciągniętym ramieniem mamy. Karen puściła Angusa, widząc pełne dezaprobaty spojrzenie kobiety z rzędu pod oknem. Poczowała się jak zła matka – ponieważ straciła cierpliwość, ponieważ ścisnęła Angusa i ponieważ jej syn mówił głośno o obmacywaniu siostry.

Angus spojrział na mamę z wyzywającą miną.

– Tata zapłacił ponad stówę za nowe buty i strój. Nie możesz zabronić mi chodzić na rugby.

– Tak uważasz? No to poczekaj – odparła Karen, posyłając synowi spojrzenie, które nie pozwalało wątpić, że nie żartuje. – Gdybym się wyrażała tak jak ty, kiedy byłam w twoim wieku, twój dziadek przełożyłby mnie przez kolano i sprawił niezłe lanie.

Angus uznał, że prawdopodobnie mądrze będzie nie wystawiać cierpliwości mamy na kolejne próby, i sięgnął między nogi po upuszczonego gameboya. Przerwał grę na samym początku kłótni z Megan, ale pauza wyłączyła się przy upadku i teraz na małym wyświetlaczu migał napis: „Game over”.

– No i patrz, co zrobiłaś! – krzyknął rozżalony chłopiec i dźgnął siostrę między zębra.

– Na miłość boską, Angus, Megan! – krzyknęła Karen, odpinając pas i zrywając się na równe nogi. – Nie możecie usiedzieć spokojnie przez pięć minut? Megan, przejdź na moje miejsce. Usiądę między wami.

– Ale to już końcówka – zaprotestowała Megan. – Zostały najwyżej dwie minuty.

– Już! – krzyknęła Karen, po czym odpięła pas swojej córki i dźwignęła ją w górę.

Kiedy Megan stanęła na siedzisku fotela, Karen uświadomiła sobie, że krzyki obudziły parę siedzącą przed nimi, a karcące

spojrzenia sypią się już ze wszystkich stron. Megan przełożyła nogę nad podłokietnikiem i opadłszy na fotel mamy, pospiesznie podłączyła słuchawki do drugiego ekranu i podjęła gorączkowe poszukiwania odpowiedniego kanału.

Angus odpiął pas bezpieczeństwa i stanął w przejściu między fotelami.

– A ty dokąd się wybierasz? – zapytała Karen.

Chłopiec przewrócił oczami, jakby jego mama była najgłupszą istotą na całej planecie.

– W samolocie jest tyle miejsc, w które można chodzić, co nie? – zakpił. – A jak myślisz? Muszę się odlać.

Angus był rozgoryczony z powodu szlabanu, a jedynym sposobem na odegranie się na mamie było narobienie jej jeszcze większego wstydu, dlatego zadbał o to, by słowo „odlać” zostało usłyszane przez jak największą liczbę osób.

Jedenastolatek był bez butów, a samolotowe toalety nie należą do najczystszych miejsc na świecie. Angus nie miał ochoty na osuszanie skarpetkami kałuż cudzego moczu, więc sięgnął pod fotel po swoje najki.

W chwili gdy wsunął w but prawą stopę, rozległ się ogłuszający huk. Podłoga zadygotała i przy wtórze przeraźliwego zgrzytu samolot zaczął przechylać się na skrzydło. Angus spadł na fotel po drugiej stronie przejścia, boleśnie objając sobie biodro. Po sekundzie poczuł, że jego stopy odrywają się od podłogi, po czym strzaskał głową rozkładany stolik i rozpoczął bezradny ślizg w stronę okna po kolanach trojga pasażerów.

Już miał grzmotnąć głową w ścianę kabiny, kiedy przechwycił go mężczyzna ze środkowego fotela. Jedną ręką złapał za ściągacz spodni od dresu, a drugą wbił w pierś, przypierając do oparcia foteli przed sobą. Cios odebrał Angusowi dech, ale z pewnością było to mniej bolesne niż upadek na okno samolotu, które znalazło się dokładnie pod jego głową.

Samolot obracał się dalej. Ręce mężczyzny były wszystkim, co chroniło Angusa przed runięciem na schowki bagażowe i lampy. Paniczne krzyki wzmożyły się, kiedy ludzie zdali sobie sprawę, że maszyna odwróciła się i lecą teraz głowami w dół. Nogi Angusa zawisły bezwładnie nad plastikowym sufitem, na którym zagrzechotał deszcz jednorazowych kubków, okularów, iPodów i metalowych tacek. Długie włosy kobiety siedzącej o jeden rząd dalej wyprostowały się jej nad głową, a steward, który szedł przejściem, gruchnął na strop kabiny.

Samolot wykonał pełną beczkę i przestał się obracać. Przez kabinę przebiegł szmer ulgi. Choć maszyną wciąż wstrząsał złowieszczy dygot, powróciło poczucie normalności, kiedy ludzie zrozumieli, że znowu siedzą głowami do góry i nie wygląda na to, by w najbliższym czasie miało się to zmienić.

– Wszyscy na swoje miejsca i zapiąć pasy! – krzyknął oschle drugi steward, przedzierając się przez zaśmiecone przejście w stronę ранego kolegi.

We wnętrzu odrzutowca zapanował dziwny spokój. Nie wiedząc, czego się spodziewać, pasażerowie zwrócili oczy w górę, jak gdyby oczekiwali wskazówek od Boga.

Zbyt wstrząśnięty, by cokolwiek powiedzieć, Angus poczuł, że troje dorosłych, na których leżał, zdejmują go z siebie i ustawiają z powrotem w przejściu między rzędami foteli. Po chwili stanął na własnych nogach, zawstydzony z powodu opuszczonych do kolan spodni.

Pasażerowie mieli jednak ważniejsze rzeczy na głowie i nawet Megan była zbyt sparaliżowana strachem, by choćby się uśmiechnąć. Mama pociągnęła Angusa w stronę jego fotela.

– Usiądź i zapnij pas, kochanie. Nic ci nie jest?

Chłopiec czuł tępy ból w piersi, ale nie cierpiał za bardzo, więc pokręcił tylko głową, po czym zwrócił się z podziękowaniami do barczystego mężczyzny, który uchronił go od guza na głowie.

– Co się stało? – zapytała Megan drżącym głosem.

Babcia wyciągnęła rękę i położyła dziewczynce dłoń na kolanie.

– To na pewno tylko turbulencje, słoneczko.

– Ale przecież był huk – powiedział nerwowo Angus, rozglądając się za gameboyem, który zostawił na siedzeniu.

Głośniki w kabinie odezwały się spokojnym kobiecym głosem:

– Panie i panowie, mówi Maxine O'Connor, wasz drugi pilot. Wygląda na to, że doszło do awarii mechanicznej. W tej chwili moi koledzy i ja staramy się ustalić dokładną przyczynę. Tymczasem proszę pozostać na swoich miejscach w ciasno zapiętych pasach i nie blokować przejść, by załoga mogła szybko dotrzeć do pasażerów, którzy potrzebują pomocy. Wygląda na to, że mamy kilkoro rannych, zatem jeżeli na pokładzie jest lekarz lub inna osoba biegła w procedurach medycznych, byłibyśmy wdzięczni, gdyby niezwłocznie zgłosiła się do kabiny załogi.

3. CIUCHY

Laura miała ochotę na osobistą rozmowę z Bethany, więc była zadowolona, kiedy Coral oderwała się od niej, by pobiegać po parkingu z dwiema koleżankami.

Dwie czteroosobowe drużyny chłopców wypychały swoje golfowścigówki na plac przed warsztatem. Kilku pozbyło się kombinezonów i Bethany była zaskoczona wyglądem Jamesa. Podczas jej nieobecności pozwolił włosom nieco urosnąć, w jednym uchu miał srebrny kolczyk, a ubrany był w czarną koszulę z krótkim rękawem, podarte dżinsy Diesla i parę skateboardowych butów z grubymi czerwonymi sznurówkami.

– Co się stało z futbolowymi koszulkami i dresami? – zapytała Bethany, najwyraźniej pod wrażeniem transformacji, choć nigdy by się do tego nie przyznała.

– Wciąż chodzi z Daną – wyjaśniła Laura. – Ciągle się z niego nabijała, że się ubiera jak dresiarz, ale teraz zrobił się z niego straszny lansiarz. Widzisz, jak zostawił rozpięte dwa guziki pod szyją? Ostatnio pakował na klatę i chce, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

– To jest chore – zaśmiała się Bethany.

– Jak dla mnie niewielka gejoza – zgodziła się Laura z krzywym

uśmieżkiem.

– Ale i tak jest pewien postęp – skwitowała Bethany. – A co u ciebie i Rata?

Beth miała więcej doświadczenia z chłopcami niż Laura, która zawstydzona odruchowo cofnęła się o pół kroku.

– Wiesz... wciąż jesteśmy dobrymi kumplami.

– Kogo to obchodzi? – Bethany wesoło machnęła ręką. – Chcę słyszeć o splątanych językach i spoconych łapach błędzących w zakazanych rejonach garderoby.

– No więc... czasem coś tam robimy – wybąkała Laura, czując się coraz bardziej niezręcznie. – Na przykład jak są czyjeś urodziny i wszyscy się całują...

We wnętrzu warsztatu rozległ się okrzyk, po którym wszyscy umilkli. Spojrzenia zebranych skupiły się na Terry Campbellu. Długa siwa broda i ręcznie dziergany sweter nadawały mu wygląd człowieka, który spędził weekend na dłubaniu przy parowozach, ale wszyscy wiedzieli, że to największy geniusz w kampusie.

Jako szef działu technicznego CHERUBA Terry zajmował się wszystkim – od naprawy ekspresu do kawy w pokoju personelu, przez przygotowywanie sprzętu dla agentów, po pisanie oprogramowania integrującego setki kamer i czujników w system chroniący kampus przed intruzami.

Pasją Terry'ego było patronowanie bystrej młodzieży garnącej się do techniki, dlatego w wolnym czasie prowadził rozmaite projekty z grupami ochotników. W ciągu wielu lat swojej służby w CHERUBIE pomógł młodym entuzjastom zbudować wiele interesujących urządzeń, od motoszybowców po zasilane energią słoneczną chłodziarki do napojów.

– Posłuchajcie – zaczął Terry, przyciągnąwszy uwagę tłumu. – Wykonałem kilka obliczeń mocy, ciężaru i tak dalej, no i wyszło mi, że te maleństwa mogą z łatwością przekroczyć sto kilometrów na godzinę. Problem jednak w tym, że ściganie się wózkami golfowymi

z taką prędkością byłoby niezbyt bezpieczne, więc zamiast wyścigu urządzimy sobie próbę czasową: kto przejedzie szybciej z tego parkingu przez kampus do parkingu za dojo, a potem z powrotem obok głównego budynku.

Przez tłum przebiegł pomruk rozczarowania. Laura nachyliła się nad uchem Bethany.

– Ale przypał – wymamrotała. – Przyszłam tylko dlatego, że liczyłam na wybuchy i krwawą jatkę.

Terry potrzebował prawie dwudziestu minut na rozstawienie wartowników wokół zaimprovizowanego toru wyścigowego, by żaden przypadkowy przechodzień nie został zmieciony przez podrasowany wózek golfowy. W miarę zbliżania się wyścigu do warsztatu ściągało coraz więcej dzieci i dorosłych. Grupki gapiów rozstawiały się też w różnych miejscach wzdłuż trasy.

Ubrany w ognioodporny kombinezon i kask Rat uścisnął dłoń swojemu przeciwnikowi, czternastoletniemu Stuartowi Russellowi.

– Nienawidzę Russella – wycedziła Bethany. – Dlaczego on ma takie wielkie przednie zęby? Wygląda, jakby ogryzał pnie drzew.

Laura uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Shakeel jest kapitanem drugiej drużyny, ale chyba powinniśmy kibicować Jamesowi, Jake'owi i Ratowi.

– To nasi chłopcy – westchnęła Bethany, po czym zaczerpnęła powietrza i wrzasnęła ile sił w płucach. – Trzymaj się, Rat! Pokaż im!

Rat wcisnął się do swojego pojazdu. Andy pomagał mu dociągnąć pasy bezpieczeństwa, kiedy okrzyk Bethany pobudził tłum do gwizdów i wiwatów. Niełatwo było to ocenić, ale drużyna Jamesa wydawała się odrobinę bardziej popularna.

– Wygraj, to pokażę ci cycki! – krzyknęła Bethany.

Laura parsknęła śmiechem. Zdążyła już zapomnieć, do czego była zdolna jej przyjaciółka, kiedy ją poniosło.

Na okrzyk odpowiedziała stojąca z tyłu dziewczyna o imieniu Tiffany, która przyjaźniła się z Bethany, dopóki ta nie upuściła jej

iPoda do wanny.

– A kto by chciał oglądać twoje obwisłe cielsko, Parker?

W ciągu sekundy Beth przepchnęła się do Tiffany i napała piersią na swoją byłą przyjaciółkę.

– Koniecznie chcesz dostać w mordę? – warknęła.

Tiffany oparła dłonie na biodrach.

– Spróbuj. Zobaczymy, co ugrasz.

Bethany spróbowała i tłum natychmiast stracił zainteresowanie zbliżającym się wyścigiem, by skoncentrować się na walczących trzynastoletkach. Obie były ekspertkami w dziedzinie sztuk walki, co jednak nie zapobiegło rychłej przemianie starcia w zwyczajną babską szarpaninę z bijącymi na oślep pięściami, chrzęstem żwiru pod szczepionymi w kłęb ciałami, wyrywaniem włosów i szarpaniem ubrań długimi paznokciami.

– Wredne krówsko – sapnęła Bethany.

– I kto to mówi, ty niewyżyta zdziro! – ryknęła Tiffany.

Jake wyszczerzył się do Jamesa.

– Uwielbiam, jak laski się nawalają. Po prostu można paść ze śmiechu.

Po trzydziestu sekundach brak formy Bethany i długa przerwa w regularnych treningach samoobrony zaczęły dawać o sobie znać. Dziewczyna z trudem łapała powietrze, kiedy Tiffany powaliła ją na łopatki i kolanami przycisnęła ramiona do ziemi. Tylko cudem zdołała uchylić się przed ciosem w usta.

Laura zrozumiała, że jej przyjaciółka zostanie rozniesiona na strzępy. Niewiele myśląc, rzuciła się naprzód i złapała Tiffany w pasie. Tymczasem Terry Campbell przedarł się przez zbiegowisko, a za nim obaj kapitanowie.

– Natychmiast przestańcie! – krzyknął, podczas gdy Laura odciągała szarpiącą się Tiffany.

James i Shakeel w ostatniej chwili przechwycili Bethany, która, poderwawszy się z ziemi, natychmiast skoczyła do ataku.

– Puśćcie mnie! – wycharczała, parszając śliną. – Wydłubię jej oczy!

Tiffany nie uznała neutralności najlepszej przyjaciółki swojej przeciwniczki i wierzgała wściekle, usiłując trafić Laurę nogą lub łokciem, dopóki dwie starsze dziewczyny nie złapały jej za ręce.

– Przestańcie zachowywać się jak kretyнки! – zdenerwował się Terry Campbell, podczas gdy Bethany i Tiffany miotały w sobie mordercze spojrzenia przez blask gasnącego słońca. – Jeszcze jeden taki numer, a obie wylądujecie u prezeski.

Tiffany wycelowwała palec w Bethany.

– Masz szczęście, że uratowała cię twoja psiapsiółka. Jeszcze pięć sekund i bym cię zmiażdżyła.

James, który wciąż obejmował Bethany pod pachami, zacisnął uchwyt, kiedy dziewczyna wierzgnęła i zabalgotała z furją:

– I nic dziwnego. Sam twój tyłek waży więcej niż ja.

– Przestańcie! – rozkazał James.

Puścił Bethany, ale jednocześnie popchnął ją w bok, chcąc dać jej do zrozumienia, że nie jest zbyt silna i nie dotrze daleko, jeżeli spróbuje kolejnej szarży na Tiffany.

– Szlag by to trafił – prychnęła gniewnie Bethany, przeczesując palcami swoje ciemne włosy i obsypując sobie ramiona drobinami żwiru. – Nie mogę uwierzyć, że mnie powaliła. Ale jestem słaba. Muszę się szybko wziąć do treningów.

– Ona nie jest warta biegania karnych rundek – powiedziała uspokajająco Laura, kładąc przyjaciółce dłoń na ramieniu. – I wcale nie poszło ci tak źle. Ten pierwszy cios... Patrz, krew jej leci z tej szpetnej gęby.

Bethany chrząknęła niepewnie.

– Dzięki, Laura. Straciłabym połowę przednich zębów, gdyby nie ty.

Tymczasem większość zebranych przeniosła uwagę z powrotem na wyścig. Terry Campbell spojrział w niebo, by sprawdzić światło,

po czym wyjął stoper z kieszeni kombinezonu. Bruce wcisnął guzik uruchamiający silnik i w ciągu dziesięciu sekund powietrze wokół pojazdu wypełniły kłęby błękitnych wyziewów.

– Kolejny cios dla środowiska – zakaszłała Laura.

Terry machnął ręką na znak, że włączył stoper, a Rat wcisnął pedał gazu. James uśmiechnął się z dumą, kiedy z tłumy uniosło się kilka dopingujących okrzyków. Wszyscy zdawali się pod mocnym wrażeniem, kiedy wózek golfowy, który minioną dekadę spędził, tocząc się po kampusie z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę, wystrzelił w górę zbocza, syjąc spod kół ziemią i żwirem.

– Zasilamy silnik superwysokooktanową benzyną – wyjaśnił James dziewczętom, kiedy dołączyli do nich Jake i Andy. – Przerobiliśmy wtrysk, żeby cylindry dostawały bardzo bogatą mieszankę, no wiecie, żeby zwiększyć moc, a nawet ściągnęliśmy blokadę do oprogramowania jednostki sterującej i teraz silnik można wkręcać znacznie wyżej i...

– Tak, strasznie mnie obchodzi twój głupi silnik, świrze jeden – przerwała Laura. – Przyszliśmy, bo miałyśmy nadzieję, że coś wybuchnie.

James pojął, że zrobił z siebie sierotę, i zamilkł. Tymczasem Terry skończył odmierzać minutę i wypuścił na tor pojazd Stuarta. Drużyna Shaka pozbawiła swój wózek dachu i James niepokoił się, bo maszyna wyglądała na stabilniejszą, kiedy pędziła, rycząc, w górę wzniesienia.

– Gotowy do umoczenia tyłka? – rozpromienił się Shak, pokazując Jamesowi środkowy palec.

Choć o rok młodszy, Shak był wyższy od Jamesa i podobnie jak on mocno zbudowany.

– Fajnie, że jednak ścięliśmy ten dach – podjął po chwili. – A te opony, które znaleźliśmy na wysypisku, dają nam wiele lepszą przyczepność.

– Tak, a nasz chiptuning daje nam co najmniej dwadzieścia koni

ekstra – odparował James.

Shak entuzjastycznie potrząsnął głową.

– Nie chodzi o to, ile masz koni, mój mały, tylko jaką moc koła są w stanie przenieść na drogę.

Bethany i Laura porozumiały się wzrokiem, po czym rozdziawiły usta w udawanym ziewnięciu. Ryk podrasowanych wyścigówek przemieniał się w cichnące odległe brzęczenie.

– Chyba wolałam, jak James miał fioła tylko na punkcie spódniczek – stwierdziła Laura.

– Hej, a propos, znam fajny kawał. Kto chce usłyszeć? – ożywił się Shak.

– Nikt – powiedział twardo Jake. – Ty i te twoje czerstwe kawały...

– Dlaczego motocykle są lepsze od kobiet? – zapytał Shak, ignorując protest.

Laura westchnęła z politowaniem.

– Bo motoru nie trzeba pytać o pozwolenie, kiedy chce się na nim pojeździć – powiedziała zmęczonym głosem.

Shak był rozczarowany.

– Słyszałaś to.

– Opowiadałeś wczoraj przy kolacji – przypomniał Jake.

– I wiesz co? Wtedy też nie był śmieszny.

– A w ogóle to gdzie jest Dana, James? – zapytał Shak.

– Czyżby twoja dama nie chciała oglądać, jak twój mały frajerski samochodzik dla dzieci zostaje zmiażdżony razem z twoim ego?

James wzruszył ramionami.

– Czyta jakąś książkę. Powiedziała, że będzie zachwycona projektem, w którym biorę udział, pod warunkiem że nic więcej o nim nie usłyszy i że nie będę się do niej zbliżał, dopóki nie zmyję z siebie smrodu benzyny.

– Mądra dziewczyna – skinęła głową Laura. – Choć jeśli chodzi o gust w wyborze chłopaków...

– I to jest właśnie jedna z najfajniejszych rzeczy w Danie – ciągnął

James. – Lubi mieć swoją przestrzeń i bez problemu akceptuje, kiedy czasem nie jestem z nią, tylko zajmuję się swoimi sprawami.

– Myślałem, że idzie z tobą na praktyki do tej ekipy wyścigowej – powiedział Andy.

James skinął głową.

– Może pójdzie, jak dostanie swój drugi wybór.

– Jakie praktyki? – zainteresowała się Bethany.

Laura wyciągnęła palec w stronę Jamesa.

– Wszystkie piętnasto- i szesnastolatki idą na dwutygodniowe praktyki do jakiejś pracy. Pan Campbell nagrał Jamesowi motocyklową stajnię wyścigową, którą prowadzi jego kolega ze studiów.

Jake pokręcił głową.

– Ale farciarz. Większość ludzi kończy w sklepie z ciuchami albo czymś takim.

– James zawsze miał fart – przytaknął Shak. – Więcej szczęścia niż rozumu.

Wszyscy nadstawili uszu, bo w tej samej chwili odległe brzęczenie dwóch motocyklowych silników zmieniło się w odległe brzęczenie jednego silnika. Tłum widzów ucichł i członkowie konkurencyjnych ekip wymienili nerwowe spojrzenia, zastanawiając się, kto poległ.

James poczuł wibrowanie telefonu w kieszeni. Palcem przesunął ekran i usłyszał głos swojej dziewczyny.

– Czy wózek golfowy płonący na drodze do głównego budynku ma może coś wspólnego z tobą? – zapytała Dana najwyraźniej ubawiona perspektywą oglądania, jak duma i radość Jamesa idzie z dymem do nieba.

– Płonący?! Jak to?! – zachłysnął się James. – Widzisz kierowcę? Nic mu nie jest? Możesz powiedzieć, czy to Stuart, czy Rat?

Wiadomość o ogniu zaniepokoiła Jamesa. Sam mocował przewody paliwowe do gaźników i jeśli nie zrobił tego jak należy, jedna z rurek mogła spaść albo się przetrzeć, zalewając benzyną

gorący silnik i wywołując pożar.

Laura została odepchnięta na bok, kiedy dwie grupy zdenerwowanych chłopców otoczyły Jamesa przyciskającego telefon do ucha.

– To kawałek drogi od miejsca, w którym jestem – powiedziała Dana. – Kierowcy chyba nic się nie stało i dwie osoby z kadry już biegną tam z gaśnicami.

James musiał się dowiedzieć, czy to jego pojazd stanął w ogniu.

– Nie mogłabyś tam podbiec i przyjrzeć się dokładniej? – jęknął błagalnie.

– Jestem na górze w swoim pokoju – odparła Dana. – Musiałabym włożyć spodnie i poczekać na windę. Ale czekaj, pierwszy wózek, który przejechał pod budynkiem, miał dach, a ten wygląda tak, jakby nie miał.

Na twarz Jamesa wypłynął szeroki uśmiech.

– Gokart z dachem przejechał przed tym spalonym? – Kiedy tylko to powiedział, Andy i Jake wyszczerzyli się radośnie.

– Zdecydowanie tak – potwierdziła Dana.

– Trzeba było tak od razu – jęknął James. – Mój gokart ma dach, a Shak swój obciął.

Shak, który nie zamierzał wysłuchiwać drwin i przechwałek drużyny Jamesa, biegł już w stronę swojego unieruchomionego pojazdu, a za nim podążyli jego dwaj młodsi pomocnicy.

– Ale w sumie to przykre, że zespół Shaka tak skończył, co nie? – powiedział James, po czym odczekał chwilę, by wybuchnąć szatańskim rechotem.

Zanim drużyna Jamesa skończyła się obściskować, klepać po plecach i skakać z radości, u stóp wzgórza pojawił się Rat kończący swoje okrążenie. Po drodze zauważył gorejący wrak swojego rywala i jechał ostrożnie, wiedząc, że nie musi już ryzykować.

Choć James i jego zespół wpadli nieledwie w ekstazę, z wolna rzedniejący tłumek gapiów był wyraźnie niepoczyszony. Ludzie

czekali ponad godzinę. Nie było porządnego wyścigu i mieliby lepszy widok na pożar, gdyby zostali w swoich pokojach w głównym budynku.

– Nudy – jęknęła Laura, zbierając się do odejścia.

Bethany wzruszyła ramionami.

– Pamiętasz parę lat temu, kiedy Arif zbudował tę motorówkę? Jak ster się zaciął i zasuwała w kółko, aż zatoneła?

Laura pokiwała głową.

– No, wtedy to było coś. Warto było ruszyć się z domu.

4. TATA

Od pewnego czasu wydawało się, że sytuacja wraca do normy. Ludzie byli wstrząśnięci; kilkoro pasażerów przepatrywało przejście albo miejsce pod nogami w poszukiwaniu swoich telefonów. W pobliżu kuchni pomiędzy sekcjami klasy biznes i ekonomicznej lekarz o azjatyckich rysach klęczał nad stewardem, który spadając na sufit, skręcił sobie szyję.

Ale w kabinie hulał wicher, a pasażerów niepokoił złowieszczy dygot, jaki sporadycznie wstrząsał płatowcem. Załoga z kabiny chodziła po samolocie, prosząc siedzących przy oknach, by wyglądali na zewnątrz, wypatrując wszelkich nietypowych objawów. Angus patrzył, jak jego babcia muska dłonią przechodzącą stewardesę, która zatrzymała się i odwróciła.

– Czy niedługo będzie kolejny komunikat dla pasażerów? – zapytała babcia.

Stewardesa bała się tak samo jak inni, ale robiła wszystko, by nie dać tego po sobie poznać.

– Piloci sprawdzają, co spowodowało ten huk i obrócenie samolotu. Damy państwu znać, kiedy tylko ustalimy, co się dzieje.

Na drugim końcu rzędu czterech foteli zgarbiony Angus macał wykładzinę, szukając gameboya, który gdzieś przepadł.

Przepętniony pęcherz doskwierał mu coraz bardziej. Karen sięgnęła za podłokietniki swojego fotela i ścisnęła dłonie swoim dzieciom.

Wzmocniła uścisk, kiedy przez kadłub przebiegł kolejny jęk udręczonej konstrukcji. Plastikowy osprzęt kabiny naprężył się tak bardzo, że kilka schowków bagażowych otworzyło się z głośnym klaśnięciem, zasypując przejście między fotelami gradem toreb i plecaków.

Amerykanin przy oknie szarpnął się gwałtownie i zawołał stewardesę.

– Proszę pani, chyba coś nam odpadło.

– Czy widział pan, jak to wyglądało? – zapytała dziewczyna, pospiesznie ruszając w stronę mężczyzny. – Jest pan całkowicie pewien?

– Raczej tak – skinął głową Amerykanin. – Szybko lecimy, ale zdecydowanie coś tam było. Błysnęło mi w słońcu.

– Ja też chyba coś widziałam – dodała kobieta z tylnego rzędu. – Tak jak mówi ten pan. To było prostokątne, jak pasek metalu czy coś...

Stewardesa pokiwała głową.

– Pójdę do kabiny i powiem kapitanowi – powiedziała, po czym podniosła głos. – Bardzo proszę, żeby pasażerowie przy oknach obserwowali, co się dzieje na zewnątrz, i zgłaszali wszystko, co wyda im się niezwykle.

Angus poczuł przyptyw otuchy, kiedy napis: „Proszę słuchać komunikatów” znikł z wyświetlacza przed nim. Może piloci uznali, że wszystko jest w porządku? Wysunął dłoń z uścisku mamy i zaczął przerzucać kanały, aż dotarł do ekranu pokazującego parametry lotu. Czerwona linia znacząca trasę lotu łamała się pod ostrym kątem, zaś rysujący ją malutki samolocik był zwrócony nosem w stronę Ameryki Północnej.

– Zawróciliśmy – zauważył chłopiec.

Megan zaczęła gorączkowo stukać w przycisk swojego ekranu,

szukając kanału informacyjnego. Kiedy go znalazła, odezwała się kobieta siedząca przed nią. W jej głosie słychać było lęk.

– Tracimy wysokość. Cztery tysiące metrów.

Angus spojrział na pozycję samolotu nad północnym Atlantykiem. Z odległości, jaką pokonali przez dwie godziny od opuszczenia Nowego Jorku, wywnioskował, że od suchego lądu dzieli ich jeszcze co najmniej godzina lotu, nawet jeżeli lotnisko było na samym wybrzeżu.

Wszyscy umilkli, kiedy głośniki interkomu odezwały się pogodnym kobiecym głosem:

– Proszę państwa, tu Maxine, wasz drugi pilot. Wciąż próbujemy ustalić, co dokładnie stało się z samolotem, ale mogę potwierdzić, że mamy pewne kłopoty ze sterownością z powodu częściowej awarii układów hydraulicznych. Na wszelki wypadek obraliśmy kurs na najbliższe lotnisko i podejmiemy do lądowania w Nowej Funlandii za około osiemdziesiąt pięć minut. Aby ułatwić państwu odprężenie się, przełączyliśmy system rozrywki na normalny tryb działania. Prosimy jednak, by przez resztę lotu wszyscy pasażerowie pozostali na swoich miejscach.

Głos kobiety nie zdradzał napięcia. Karen raz jeszcze sięgnęła do kolan Angusa i Megan, ale tym razem dzieci poczuły miły, łagodny dotyk jej dłoni zamiast kurczowego uścisku.

– Zaraz zleję się w majty, serio – ostrzegł Angus.

Megan pochyliła się w przód, by na niego spojrzeć, i zdobyła się na słaby uśmiech.

– Co jest z tymi chłopcami? Latasz co dwie minuty.

Karen przejęła się bardziej.

– Cóż, jeżeli naprawdę musisz, zapytam stewardesę, kiedy będzie przechodzić.

Angus zerknął na ekran i odkrył, że samolot opadł o kolejnych pięćset metrów.

– Wciąż spadamy – zauważył

Jego babcia spojrzała na niego nad kolanami siostry i mamy.

– Piloci wciąż zmieniają wysokość, żeby uniknąć dziur powietrznych – wyjaśniła. – To takie turbulencje. Parę lat temu, kiedy leciałam do Australii w odwiedziny do twojej ciotki Marian, jak zaczęło rzucać, to dziadkowi wypadła sztuczna szczęka.

Karen słyszała już tę historię, ale dzieci nie i uznały, że jest prześmieszna.

– Sztuczne szczęki są obrzydliwe – orzekł Angus. – Pamiętacie, jak byliśmy w hotelu i leżała na stoliku koło łóżka dziadka?

Megan wzdrygnęła się.

– Nie przypominaj mi.

Angus poczuł się trochę lepiej; przynajmniej wiedział, dokąd lecą, a jakby na potwierdzenie słów babci liczby na ekranie znowu się zmieniły.

– Wróciliśmy na cztery tysiące – powiedział radośnie chłopiec.

– Ożeż w mordę! – krzyknął gdzieś z tyłu liverpoolczyk w koszulce Freda Perry'ego. – Halo, proszę pani!

Angus obejrzał się i zobaczył mężczyznę szarpiącego się z pasami, by wstać ze swojego miejsca przy oknie dwanaście rzędów za nimi. Kilkoro pasażerów w pobliżu również zerwało się z foteli. W zamieszaniu trudno było zrozumieć kogokolwiek z krzyczących, ale wieści rozchodziły się po samolocie niczym kręgi na wodzie.

Co powiedział?

– Kto?

– No ten, z tyłu. Coś o pęknięciu.

– Wielkim pęknięciu na skrzydle?

– Jezu, żartuje pan!

– Nad skrzydłem jest pęknięcie.

– To dlatego tak nami rzuca?

Nowiny spadły na Angusa jak kowadło na królika z kreskówki. Obrączka ślubna mamy wbiła mu się w nadgarstek, ale on tego nie poczuł. Stewardesa pognęła do kabiny pilotów, a chłopiec

zauważył, że samolot znów traci wysokość.

– Panie i panowie, mówi Maxine, drugi pilot – powiedziały głośniki interkomu, ale tym razem głosem drżącym z emocji. – Z przykrością informuję, że otrzymaliśmy wiadomość o poważnym uszkodzeniu płatowca. Choć do pewnego stopnia panujemy nad samolotem, w chwili obecnej nie jesteśmy w stanie utrzymać wysokości. Jesteśmy w stałym kontakcie z mechanikami z bazy w Londynie i robimy, co w naszej mocy, ale bardzo państwa proszę o uważne wysłuchanie załogi kabinowej, która pokaże państwu, jak bezpiecznie posługiwać się kamizelką ratunkową.

– No i jestem trupem – wypaliła Megan.

Dziewięcioletka używała tego zwrotu, kiedy wylała mleko na nowy dywan albo porysowała jedną z płyt taty, ale po raz pierwszy nie wydawał się on przesadzony.

Angus patrzył, jak wysokość podawana na ekranie spada poniżej dwóch tysięcy metrów. Jeden ze stewardów przejął mikrofon interkomu.

– Chciałbym poprosić wszystkich pasażerów, by wyjęli kamizelki ratunkowe z kieszeni pod swoimi fotelami i włożyli je przez głowę w oczekiwaniu na wodowanie. W żadnym wypadku proszę nie napełniać, powtarzam, proszę nie napełniać kamizelki przed opuszczeniem samolotu. Proszę usunąć wszystkie rzeczy z kolan i oczekiwać na komunikat pilotów. Niech każdy będzie gotowy do przyjęcia pozycji ochronnej, kiedy tylko padnie takie polecenie. Załoga kabinowa zajmuje w tej chwili swoje miejsca i odtąd nie będzie w stanie asystować pasażerom.

– Przecież nie da się wylądować na morzu – powiedział nerwowo Angus. – Widziałem na Discovery. Wsadzają kamizelki ratunkowe do samolotów, ale jeszcze nigdy żadna nikogo nie uratowała.

Podczas gdy reszta rodziny wyjmowała swoje kamizelki, Angus wsunął rękę do kieszeni na oparciu fotela i wyciągnął zestaw dla dzieci, który wręczono mu, kiedy wchodził na pokład. Odsunął

suwak plastikowego opakowania, by wyjąć mały kołonoatnik i tani długopis.

– Angus, włóż kamizelkę – rozkazała Karen.

Nie wierzył, że ma to jakikolwiek sens, ale nie chciał kłócić się z mamą, więc wyrwał żółtą kamizelkę spod fotela i zaczął naciągać ją na tors. Roztaczała nieprzyjemny zapach nowego plastiku.

Wytknąwszy głowę przez otwór kamizelki, Angus spostrzegł, że wyświetlana na ekranie wysokość gwałtownie zbliża się do tysiąca metrów. Przez szczelinę między fotelami widział siedzącą przed nim parę zwartą w namiętym pocałunku i dorosła natura tej czynności sprawiła, że poczuł się bardzo młody. Już nigdy nie będzie miał dziewczyny ani nie zarośnie włosami jak tata. Nie będzie miał żony, nie kupi samochodu. Wszystko, co mu zostało z życia, to kilka minut pocenia się i wstrzymywania moczu na lotniczym fotelu.

Położył notatnik na kolanie i drżącą dłonią ujął długopis. Chciał napisać o tym, jak bardzo się boi, ale pomyślał, że tacie i tak będzie smutno, kiedy zacznie to czytać, i nie chciał, żeby przez niego poczuł się jeszcze gorzej. Dlatego napisał po prostu o tym, co się działo wokół niego, a zakończył, pisząc tacie, że bardzo go kocha.

– Co robisz? – zapytała Megan, patrząc, jak jej brat wyrywa małą kartkę z notatnika i wsuwa do foliowej torebki.

– Napisałem list do taty – wyjaśnił Angus. – Zamknę w torebce, żeby nie zamókł i żeby atrament się nie rozmazał, kiedy walniemy w wodę.

Megan zaczęła rozglądać się za swoim zestawem.

– Ja też chcę – oznajmiła.

– Masz powiedział Angus, podając siostrze długopis i notatnik nad kolanami mamy. Czas wydawał się odpowiedni do tego, by być miłym dla młodszej siostry.

– Co napisałeś? – zapytała Megan.

– Narysuj obrazek – zaproponował Angus. – Spodoba mu się.

– Na pewno nie zginiemy – powiedziała ciepło Karen. – Mamy kamizelki i tratwy ratunkowe. Pewnie już ktoś płynie nam na ratunek.

Megan napisała „Nowy Jork” i zaczęła rysować drapacz chmur, podczas gdy jej babcia szukała kolejnej torebki, w której można by zabezpieczyć list. Angus spojrzął na ekran przed sobą, ale tam, gdzie wcześniej była podawana wysokość, teraz widniał napis „ERROR”.

Szum samolotu wzmógł się, sugerując bliskość powierzchni morza.

– Pozycja ochronna! Pozycja ochronna! – krzyknął ktoś przez interkom.

Angus docisnął głowę do oparcia fotela przed sobą i usłyszał gniewny okrzyk swojej siostry.

– Nie, muszę skończyć rysunek! – protestowała Megan, podczas gdy mama usiłowała zmusić ją do pochylecia się w przód.

Uderzyli w wodę. Powietrzem targnął huk tysięcy razy głośniejszy od czegokolwiek, co Angus kiedykolwiek słyszał. Chłopiec poczuł, że włoski w uszach stają mu dęba. Z jakiegoś powodu przypomniał sobie o obolałym pęcherzu i przez ułamek sekundy miał nadzieję, że to jeden z tych snów, kiedy ciągle myśli się o sikaniu, a potem człowiek się budzi i pędem leci do łazienki.

Pas Angusa gwałtownie ścisnął mu żołądek, a głowa wbiła się w fotel przed nim z taką siłą, że strzaskała plastikową osłonę. Mężczyzna siedzący za nim był otyły; ogromny brzuch nie pozwolił mu na złożenie się wpół i przyjęcie prawidłowej pozycji ochronnej. Czaszka trzasnęła mu jak skorupka jajka, kiedy uderzył twarzą w oparcie Angusa z prędkością ponad trzystu kilometrów na godzinę. Oparcie złamało się pod ciężarem mężczyzny, miażdżąc drobne ciało chłopca i krusząc mu żebra.

Ciepła krew wypełniła Angusowi płuca i podeszła do gardła.

Światła w kabinie zgasły, ale tuż przedtem chłopiec poczuł absurdalną ulgę, kiedy pod fotelem mignął mu jego gameboy. Nie mógł już oddychać, a wrzaski ludzi słyszał tylko jednym uchem, bo drugie było pełne krwi.

I wtedy samolot zaczął koziółkować. Nogi Angusa znalazły się nad głową, a jego mama wydała z siebie dziwne przeciągłe chrząknięcie. Błysnęło słońce – może to kadłub przełamał się na pół. Angus chciał sprawdzić, ale głowę miał całkiem bezwładną, a oczy zalała mu jego własna krew. Na sklejonych powiekach gasnący umysł wyświetlał mu kalejdoskop zwariowanych światełek i pełzających wzorów.

Były ostatnią rzeczą, jaką zobaczył.

5. WIEDZA

Poniedziałkowe poranki w kampusie zawsze upływały ślimaczej atmosferze ogólnego zniechęcenia. Dzieci dźwigały na obwisłych barkach ciężar rozpoczynającego się tygodnia i miały worki pod oczami od niedospanych weekendowych nocy. W soboty i niedziele cherubinom nie groziła kara za granie do rana w hokeja na Xboksie albo urządzenie całonocnej imprezy, ale nie mógł liczyć na współczucie kadry ten, kto potem był zbyt zmęczony, by przyjąć na klatę nowy tydzień.

Na zewnątrz dzień wciąż nie zaczął się jeszcze na dobre. Szalejąca wichura bezlitośnie chłostała pobliskie drzewa, od czasu do czasu bębniąc w okna kampusowej stołówki gradem czerwonych jarzębin. James siedział na swoim zwykłym miejscu. Towarzyszyła mu Dana oraz bliźniaki Callum i Connor, a wszyscy łypali jednym okiem na plazmowy telewizor wiszący na ścianie pięć metrów dalej.

Zazwyczaj głośność była ustawiona na minimalną i żeby cokolwiek słyszeć, trzeba było usiąść bardzo blisko. Ale telewizor pogłaśniano zawsze, kiedy pokazywał coś interesującego, a tego wrześnieowego poranka stacje informacyjne miały prawdziwe użycie. Na jednej połowce podzielonego ekranu ciemnoskóry reporter przepytывał rzecznika FBI, podczas gdy na drugiej

pokazywano nakręcone ze śmigłowca ujęcie przedstawiające kołyszący się na falach fragment kadłuba samolotu ozdobiony znakiem Anglo-Irish Airlines.

– ...i może pan potwierdzić, że nie ocalał nikt spośród trzystu trzydziestu czterech pasażerów i jedenastu członków załogi na pokładzie? – zapytał reporter.

Rzecznik FBI miał dziwnie piskliwy głos, jakby nawdychał się helu z balonika.

– Oficjalna akcja poszukiwawczo-ratownicza została zakończona. Jednostki straży przybrzeżnej i marynarki wojennej koncentrują się na wyławianiu jak największej ilości szczątków potrzebnych do przeprowadzenia wnikliwego śledztwa.

Reporter skwapliwie pokiwał głową.

– We wcześniejszych informacjach podano, że załoga usłyszała eksplozję na pokładzie mniej więcej dziesięć minut przed tym, jak samolot wpadł do Atlantyku. Czy na tym etapie można mówić o jakichkolwiek innych poszlakach sugerujących, że przyczyną katastrofy była bomba?

– Mogę potwierdzić informację o usłyszanej przez załogę eksplozji, jednak jak dotąd żadna organizacja terrorystyczna nie przyznała się do związku z katastrofą. Obecnie FBI ściśle współpracuje z Zarządem Lotnictwa Cywilnego i władzami brytyjskimi w celu ustalenia przyczyn wypadku.

– A ponieważ jutro przypada szósta rocznica ataku na World Trade Center, podejrzenia z całą pewnością kierują się w stronę al Kaidy tudzież innej grupy islamskich bojowników?

Rzecznik odchrząknął i powiedział twardo:

– Na tym etapie niczego nie zakładamy ani nie wykluczamy.

James oderwał wzrok od ekranu i spojrział nad stołem na Danę.

– Na sto procent terroryści – stwierdził z przekonaniem. – Zbyt idealnie dobrany moment.

Dana pokiwała głową, gmerając łyżką w swojej miseczce, by

wmieszać miód w owsiankę.

– W sumie nie boję się latać – powiedziała po chwili. – Ale kiedy zapnę pasy i spojrzę, ile ludzi jest między mną i najbliższym wyjściem, to normalnie skręca mi żołądek.

Callum, który przekłuł sobie ucho tego samego dnia co James, przytaknął skinieniem głowy, ale jego brat bliźniak wzruszył ramionami.

– Wszyscy kiedyś zginiemy – stwierdził filozoficznie. – Ja tam wolę szybką śmierć w katastrofie, niż żeby wykończyło mnie coś takiego jak rak.

Do stołu podszedł Shakeel z tacą pełną smacznego jedzenia i uśmiechem na pucołowatej buzi.

– Siema – rzucił James. – Wyglądasz bardzo radośnie jak na gościa, którego wyścigowy bolid skończył jako płonący wrak.

Shak wzruszył ramionami i usiadł.

– Nie traktowałem tego tak poważnie jak ty. Ale wiesz, że fortuna kołem się toczy? Los ma swoje sposoby na wyrównywanie rachunków. Właśnie spotkałem Meryl Spencer, jak przypinała na tablicy listę przydziałów na praktyki.

Brwi Dany wystrzeliły w górę – niecodzienny gest u osoby, która z zasady zachowywała się tak, jakby absolutnie nic jej nie obchodziło.

– Co dostałeś?

– Angel Graphics – wypalił radośnie Shak. – To firma byłego cherubina. Robią głównie grafikę komputerową i projekty. Trójwymiarowe animacje do reklam, programów dla dzieci, takie rzeczy.

– Brzmi nieźle – powiedziała Dana. – Sprawdziłeś, co dostali inni?

– Ty idziesz do Copthorne Racing.

Twarz Jamesa rozjaśnił promienny uśmiech.

– Ekstra! Będziemy razem.

Shak chrząknął.

– Tak pan sądzi, panie Adams?

James skamieniał na pół sekundy, z grudą jajeczniczy na widelcu zawieszoną w połowie drogi między talerzem a ustami, ale zaraz uświadomił sobie, że Shak pewnie go wkręca. Widocznie porażka w wyścigu poruszyła go bardziej, niż gotów był przyznać, i chciał choć częściowo się odegrać.

– Kitujesz, aż brzeczy – skwitował drwiąco James.

Shak uśmiechnął się promiennie.

– No to idź i sprawdź sam. Wszystko jest na tablicy na przeciwko gabinetu Meryl.

James nie zamierzał dać się wciągnąć, ale Dana nie miała nic do stracenia i postanowiła zgłębiać temat dalej.

– No to kto jest ze mną, skoro nie James?

– Clare Lowell – powiedział Shak, po czym nadział na widelec cały plaster bekonu i wcisnął go sobie do ust.

– O, myślałem, że jesteś muzułmaninem – zdumiał się Connor.

Shak uśmiechnął się.

– Czasem jestem bardziej muzułmaninem, a czasem mniej.

– No dobra – powiedział James wciąż przekonany, że Shakeel go nabiera. – Skoro nie dostałem praktyk w Copthorne Racing, to co mi dali?

– Aaa, to jest najpiękniejsze.

Dana, której cierpienie Jamesa zaczynało sprawiać frajdę, uśmiechnęła się.

– Co dostał?

– Deluxe Chicken – powiedział Shak. – Kojarzysz ten syfiasty fast food na parkingu koło parku rozrywki?

– Tak, jasne – burknął James, potrząsając głową.

Shak sięgnął nad stołem, oferując dłoń do uściśnięcia.

– Moje pięć funtów twierdzi, że nie kłamię.

Jego determinacja miała moc przekonywania i mina głosząca: „Nie wierzę w ani jedno twoje słowo”, powoli spłynęła Jamesowi

z twarzy.

– Mówisz poważnie?

Shakeel wyciągnął dłoń, zachęcając kolegę do przyjęcia zakładu.

– Pięć funtów, James.

– Przecież rozmawiałem z Terrym Campbellem – jęknął James. – Wie, jak uwielbiam motocykle, i jest starym kumplem Jaya Cophorne'a. Obiecał, że postara się o ten przydział dla mnie.

– Właśnie, postara – zaznaczył Connor. – Zresztą kto wie, może z czasem nauczysz się kochać swoją koszulkę z syntetyku i baseballówkę w pomarańczowo-brązowe prążki...

– Jest kurczaktastyczna – dodał Callum, pogłębiając tembr głosu w naśladowaniu aktora z reklamy telewizyjnej. – Nasyć całą rodzinę za mniej niż dziesięć funtów naszymi skwierczącymi frykasami.

– To nie jest reklama Deluxe Chicken – powiedział James z goryczą. – Są tak nędzni, że nie stać ich nawet na własną reklamę w telewizji.

– No, ale wciąż nie słyszeliście najlepszego – promieniał Shak. – Zgadnijcie, kto ma być praktykowym partnerem naszego kochanego Jamesa?

W Jamesie wzbierał już gniew.

– Skąd mam, kurde, wiedzieć? Królik Bugs?

– To ktoś, z kim dawniej byłeś bardzo blisko. A mówiąc: blisko, mam na myśli drżące dłonie wsuwające się z tyłu pod dzinsy...

Dana parsknęła śmiechem.

– No przecież nie Kerry.

– Bingo bongo! – zawołał triumfalnie Shak.

James wystrzelił z krzesła.

– Meryl chyba jaja sobie robi. Przecież wie, jak niezręcznie czujemy się w swoim towarzystwie, odkąd ze sobą zerwaliśmy.

– Chciałeś powiedzieć, odkąd ją rzuciłeś – powiedział Callum. – Kerry może i chodzi teraz z Bruce'em, ale wciąż cię nienawidzi.

James potrząsnął głową.

– Chyba trochę przesadziłeś. Nie wydaje mi się, żeby Kerry mnie nienawidziła.

Dana i Shak przemówili jednocześnie:

– A jednak, James.

– Totalnie – kiwnął głową Connor. – Nie zdziwiłbym się, gdyby miała w pokoju małą laleczkę Jamesa z powbijanymi szpilkami.

– Musiała zająć jakaś pomyłka – powiedział James z niedowierzaniem. – Jeśli to naprawdę Kerry w jakimś syfiastym Deluxe, to mam gdzieś takie praktyki. Nigdzie nie idę.

Connor potrząsnął głową.

– Praktyki są elementem programu nauczania. Są obowiązkowe. Jak je olejesz, Meryl zamęczy cię karnymi okrażeniami.

James zgarnął swoją tacę ze stołu, rzucił ją na przenośnik taśmowy prowadzący do zmywalni i pobiegł do windy. Wysiadłszy na szóstym piętrze, stanął przed wydrukiem przypiętym do korkowej tablicy. Tak jak zapewniał Shak, jego nazwisko widniało naprzeciwko Deluxe Chicken. Kerry wpisano poniżej.

– Szlag! – zaklął, a potem odwrócił się na pięcie i załomotał w matową szybę drzwi gabinetu Meryl.

Ale w środku nie paliło się światło, a kiedy zagrzechotał klamką, przekonał się, że drzwi są zamknięte. Było zbyt wcześnie, by Meryl prowadziła zajęcia, nie było jej też w stołówce; James uznał zatem, że najprawdopodobniej znajdzie ją w pokoju personelu na pierwszym piętrze.

Kiedy dziarskim krokiem ruszył w stronę windy, z pokoju nieopodal wychynęli Rat i Andy.

– Piękny dzionek, James? – zawołał radośnie Rat.

– Może być – powiedział James bez entuzjazmu. – Co słyhać?

Był pewien, że zachwyty kolegów ma swoje źródła w wygranym niedzielnym wyścigu wózków golfowych, ale kiedy tylko ich minął, zaczęli wydawać gdaczące odgłosy i machać łokciami niczym małymi skrzydełkami.

– A może frytki do tego? – krzyknął Rat, po czym zanurkował z powrotem do swojego pokoju wraz z rechoczącym Andym.

Chłopcy zatrzasnęli drzwi i stali za nimi, wyjąc ze śmiechu. James chciał się odegrać, ale winda czekała, a on musiał dopaść Meryl przed pierwszą lekcją.

Cherubinom nie wolno było wchodzić do pokoju personelu i James musiał poczekać przed drzwiami na kogoś dorosłego, kogo mógłby poprosić, by wywołał Meryl na zewnątrz. Upłynęły długie dwie minuty, nim ktoś się zjawił, a potem Meryl wcale nie spieszyło się do wyjścia, co dodatkowo podsycało gniew Jamesa.

Oprócz stanowiska opiekunki zajmującej się codziennymi problemami i potrzebami trzydziściora pięciorga cherubinów Meryl sprawowała funkcję trenerki sportowej. Wyszła z pokoju w ortalionach Nike i z zawieszonym na szyi gwizdkiem.

– O co chodzi, James? – zapytała z westchnieniem.

Zazwyczaj była całkiem pogodna, ale tym razem wydawała się trochę nieobecna, jakby wolała być gdziekolwiek indziej, byle nie na korytarzu, wysłuchując pretensji nadąsanego nastolatka.

– O mój przydział na praktyki – wypalił James wzburzonym tonem. – Co się stało z Copthorne Racing? Obgadałem wszystko z Terryem Campbellem i w ogóle...

Meryl współczująco pokiwała głową.

– Wiem, że bardzo ci zależało na tej pracy, ale Jay Copthorne zadzwonił i powiedział, że co roku dostaje chłopaków, a teraz chciałby zacząć przekonywać do mechanik także dziewczyny.

– No ale dlaczego Deluxe Chicken? Skąd pomysł, że właśnie tam mi się spodoba?

Meryl popatrzyła na Jamesa dziwnym wzrokiem.

– W ciągu następnych dwóch miesięcy dwadzieścioro sześcioro cherubinów będzie musiało odbyć obowiązkowe dwutygodniowe praktyki w kilku dostępnych miejscach. Zwołaliśmy zebranie opiekunów i przyjrzeliliśmy się waszym zgłoszeniom. Komu tylko

mogliśmy, daliśmy jego pierwszy wybór, ale chyba rozumiesz, że nie wszyscy mogli je dostać i niektórym musieliśmy przydzielić mniej pożądane miejsca, jak Deluxe Chicken albo kregielnia.

– Ale to straszne frajerstwo – prychnął James. – Nie mam nawet szesnastu lat, a już zdałem celująco egzaminy maturalne z matmy i matmy zaawansowanej. To chyba mało prawdopodobne, żebym spędził życie, smażąc kurczaki i wycierając blaty, nie sądzisz?

– Może i tak – powiedziała Meryl. – Ale praktyki nie mają wprawiać was w przyszłym zawodzie, tylko wprowadzać w świat dorosłych i pokazywać, jak wygląda prawdziwa praca. Wykorzystujemy wszelkie koneksje, by zdobyć jak najwięcej miejsc w interesujących zawodach, i byłabym przeszczęśliwa, mogąc posłać każdego do pracy jego marzeń. Niestety, w tym roku ułożyło się nam trochę inaczej.

– Boże, co za syf – jęknął James.

– Skąd wiesz, że nie będzie ci się podobać, skoro nawet nie spróbowałeś?

– Bo mam tam chodzić z Kerry, a jakbyś nie wiedziała, ostatnio nie układa się nam zbyt dobrze. A jeśli namówię kogoś, żeby się ze mną zamienił?

– To wykluczone – powiedziała twardo Meryl. – Ustawienie przydziałów zajęło nam wieki. Jeśli pozwolę ci się zamienić albo odpuścić praktyki, wszyscy zaczną mnie prosić. I wiem, że ty i Kerry macie jakieś problemy, ale oboje kręcicie się w tej samej grupie znajomych, więc na pewno nie jest aż tak źle. Zresztą to tylko dwa tygodnie w smażalni kurczaków; przecież nie zostawiamy was samych na bezludnej wyspie.

Jamesa gniewało, że nie dostał przydziału do Cophorne Racing, ale Meryl zawsze była w porządku. Robiła wszystko, żeby wszyscy byli zadowoleni, a poza tym, tak jak powiedział Shak, los miał swoje sposoby na wyrównywanie rachunków.

– No to zdaje się, że zostałem młodszym kurczakowym westchnął

James.

– Jaką masz dziś pierwszą lekcję? – zapytała Meryl.

James wzruszył ramionami.

– Hiszpana. Normalnie jest całkiem okej, tyle że Laura jest w mojej grupie i jest tysiąc razy lepsza.

– Cóż, wygląda na to, że twój dzień może być już tylko lepszy – uśmiechnęła się Meryl. – Jeśli to wszystko, czy mogę już wrócić do swojej kawy?

Mówiąc to, Meryl pchnęła drzwi do pokoju personelu. James spojrzał na zebranych w środku dorosłych i zdumiał się, dostrzegłszy siwą głowę byłego prezesa CHERUBA siedzącego przy oknie wykuszu.

– Hej, czy to nie doktor McAfferty? – ożywił się James. – Nie widziałem go od wieków. Bardzo mi pomógł, kiedy dopiero zaczynałem w CHERUBIE. Będzie później? Chętnie bym się z nim przywitał.

Meryl zacisnęła usta. Puściła drzwi, pozwalając, by się zamknęły, podeszła do Jamesa i rozejrzawszy się na boki, żeby sprawdzić, czy na pewno są sami, zaczęła mówić szeptem.

– Dziś z samego rana Zara Asker musiała pojechać po niego do domu. Jego żona, synowa i dwoje wnuków byli w tym samolocie, który wczoraj spadł do Atlantyku.

James poczuł się tak, jakby przejechał go walec drogowy.

– Ja cię sunę... – skrzeknął, otwierając szeroko oczy i nagle uświadamiając sobie, dlaczego Meryl zachowywała się tak dziwnie.

– Musi być w niezłym szoku.

Meryl kiwnęła głową.

– Mac ma sześcioro dzieci, ale żadne z nich nie mieszka w pobliżu kampusu. Kiedy usłyszał wieści, kompletnie się załamał. Zara przywiozła go tutaj, bo nie było mowy, żebyśmy zostawili go samego.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Nikt nie może – powiedziała Meryl. – Mac nie jest w stanie prowadzić, więc zorganizowaliśmy mu transport do domu syna w Londynie. Wszyscy w kampusie na pewno w końcu się dowiedzą, ale dopóki Mac jest u nas, trzymamy język za zębami. Nie chcemy, żeby sytuacja zrobiła się dla niego jeszcze bardziej niezręczna, niż jest teraz, tym bardziej że niektórzy juniorzy nie należą do mistrzów tak tu i wyczucia.

– Nie martw się, nikomu nie powiem – powiedział James, kręcąc głową. – Biedny stary Mac.

6. CIOS

Fahim Bin Hassam usiadł na brzegu łóżka, by wciągnąć szarą szkolną skarpetę na swoją pulchną łydkę. Jedenastolatek mieszkał w niedawno zbudowanym domu z sześcioma sypialniami, z widokiem na Hampstead Heath, sześć kilometrów od centrum Londynu.

Miał przestronny pokój z komputerem, telewizorem LCD, ścianami obwieszonymi plakatami Nirvany i podłogą zasypaną płytami CD i gramami na Playstation. Szlak mokrych odcisków stóp prowadził z przy pokojowej łazienki do luksusowego łososiowego ręcznika i designerskiego szlafroka zwiniętych w kulę na dębowym parkiecie. Mama byłaby niezadowolona, gdyby zobaczyła ten bałagan, ale Fahim spodziewał się, że sprzątaczką zajrzy do niego pierwsza.

W garderobie znalazł parę szarych szortów i beżową koszulę z krótkim rękawem, po czym podniósł z podłogi wstępnie zawiązany brązowo–żółty krawat. Był to mundurek Warrender Prep, prywatnej szkoły szczytującej się sukcesami w przygotowywaniu uczniów do rozpoczęcia nauki w najlepszych szkołach średnich w Anglii. Jeśli zaplanowane na godzinę trzynastą starcie Fahima, jego mamy i dyrektora miało pójść źle, chłopiec

wkładał szacowny uniform po raz ostatni.

Zapiąwszy elektroniczny zegarek na przegubie, Fahim wyszedł przez podwójne drzwi na wysłany grubym dywanem balkon nad okazałym holem jego domu. W dole rozciągała się gładź białego marmuru, powyżej wznosiła nieduża kopuła.

Rozkoszując się sprężystym dotykiem dywanów, chłopiec ruszył w dół po łukowato zakrzywionych schodach. Na dole gospoia w niebieskim fartuchu na czworakach polerowała marmurowe płytki. W domu była froterka, ale ojciec Fahima nie znosił jej hałasu.

– Dzień dobry, Fahim – powiedziała kobieta z mocnym szkockim akcentem.

Wolał jej młodą polską poprzedniczkę, którą ojciec wyrzucił po przyłapaniu na dzwonieniu z domowego telefonu do jej chłopaka w Warszawie.

– Zostawiłem ci kleksa w moim klopiku – oznajmił Fahim, szczerząc zaczepnie zęby. – Miłego skrobania!

Kobieta zacmokała z dezaprobatą, ale nie dziwiła się postawie chłopca. Przejął ją od ojca, który oczekiwał od niej pracy po godzinach bez zapłaty, mimo iż mieszkał w domu za trzy miliony funtów, z dwoma bmw i bentleyem w garażu.

Fahim powstrzymał chęć, by rozpędzić się i wjechać do kuchni ślizgiem na skarpetkach. Miał kłopoty w szkole, więc nie był to dobry czas na dokazywanie.

– Mamo! – wrzasnął, gdy wszedłszy do kuchni, zastał ją pustą. – Mamo, jestem głodny!

Pomieszczenie mające ponad dziesięć metrów długości wyposażone było w eleganckie czarne szafki i granitowe blaty. Fahim otworzył drzwi gigantycznej lodówki Sub Zero, kosztującej tyle, ile przeciętna angielska rodzina wydaje na samochód.

Chrząknął z zadowoleniem, odszukawszy wzrokiem paczkę naleśników z Waitrose'a, które bardzo lubił. Wytrząsnął placki na talerz, wetknął na trzydzieści sekund do mikrofal, po czym zalał

czekoladowym sosem i zasypał z wierzchu garścią przejrzalnych truskawek.

Zasiadł przy barku śniadaniowym, z którego zgarnął pilot do wiszącego na ścianie telewizora. Jak zwykle tata przestawił kanał na informacyjną Al-Dżazirę. Fahim chciał przełączyć i poszukać kreskówek, ale zaintrygowały go zdjęcia wraku samolotu pasażerskiego. Zaczął stukać w przycisk zwiększający głośność, jednocześnie czytając tekst przewijający się na pasku pod obrazem, i nagle zmartwiał, kiedy dotarła doń jego treść:

„RZECZNIK BRYTYJSKIEGO RZĄDU: BLISKOŚĆ 6. ROCZNICY 11.09 CZYNI UDZIAŁ TERRORYSTÓW »WYSOCE PRAWDOPODOBNYMI«”.

W Warrender Prep nie było żadnego innego arabskiego chłopca i bez względu na to, ile razy Fahim tłumaczył, że „Bin” w jego nazwisku oznacza po prostu syna, a „Bin Hassam” brzmi dla Araba tak samo jak dla Anglika „Johnson” czy „Stevenson”, koledzy nie mogli oprzeć się pokusie nazywania go Bin Ladenem. Dowcipkowali też na temat jego pudełka na lunch, ich zdaniem wypchanego materiałami wybuchowymi, oraz odmawiali siadania obok niego podczas szkolnych wycieczek, na wypadek gdyby postanowił wysadzić się w powietrze. Katastrofa samolotu musiała jeszcze bardziej pogorszyć jego sytuację.

Odstawiwszy talerz do zmywarki, Fahim ruszył w stronę oficyny, w której pracował jego tata. Tę część domu urządzono w stylu biurowym, z płytkami dywanowymi, świetlówkami i dwoma gabinetami: jednym dla taty i drugim dla stryja Asifa.

Zbliżając się do gabinetu, Fahim usłyszał głosy kłócących się rodziców – Jaśminy i Hassama.

- Skąd w ogóle możesz to wiedzieć?! – wykrzyknął Hassam.
- Jestem twoją księgową – odpowiedziała chłodno mama Fahima.
- W naszym systemie są faktury dla Anglo-Irish Airlines.
- Prowadzę firmę spedycyjną – odparł Hassam, uderzając pięścią

w biurko, podczas gdy jego syn podsłuchiwał, stojąc tuż za drzwiami. – Codziennie wystawiamy faktury setkom firm.

– Przeprowadzą śledztwo... – zaczęła Jaśmina, ale mąż przerwał jej w pół zdania.

– To nie jest twoja sprawa – powiedział z naciskiem. – Moja firma działa znakomicie, podczas gdy nasz syn dziczeje. Rozpuściłaś go. Może tym się zajmiesz, a ja będę się martwił o moją firmę?

– Wiesz, jak się prowadzi takie śledztwa – powiedziała Jaśmina. – Wyławiają nawet najmniejsze szczątki. Wszystko układają w hangarze tak, że właściwie odbudowują samolot.

– Nie ma tam nic, co doprowadziłoby ich do nas! – zagrział Hassam. – Jestem teraz bardzo zajęty, daj mi pracować.

– Brzydzą się tobą. Tam zginęli ludzie, ponad trzysta osób.

– Wyjdź z mojego biura i daj mi pracować, kobieto.

– Nie jesteś już człowiekiem, którego poślubiłam – powiedziała gorzko Jaśmina. – Brzydzą się tobą.

Fahim zaczął cofać się lękliwie w głąb korytarza, byle dalej od ryczącego ze złości ojca. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Po wszystkich upokorzeniach, jakie musiał znieść z powodu swojego arabskiego pochodzenia, myśl, że jego rodzice mają coś wspólnego z rozbitym samolotem, wydawała się chorym żartem.

– Puszczaj! – krzyknęła Jaśmina, by zaraz potem zaszlochać z bólu.

Fahim nie mógł tego widzieć, ale wiedział, że ojciec wykręca jej palce dłoni. Zawsze tak robił.

– Dziwka! – ryknął Hassam, z rozmachem uderzając żonę wierzchem dłoni w twarz.

Jaśmina runęła w tył na skórzaną kanapę i głośno zaszlochała.

Fahim poczuł mdłości i puścił się biegiem w stronę kuchni. Żałował, że nie jest na tyle duży, by móc stanąć w obronie mamy. Jedyne, na co było go stać, to czmychnąć na górę i schronić się

w swoim pokoju.

– Co za diabeł w ciebie wstąpił? – zapytała gosposia, kiedy wparował do środka, ślizgając się w skarpetkach na wyświeconej podłodze.

– Nie twoja sprawa! – krzyknął łamiącym się głosem, po czym wcisnął twarz w poduszkę, z całych sił starając się powstrzymać łzy.

*

Jaśmina Hassam wychowała się w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Od zawsze wiedziała, że jej obowiązkiem jest wyjść za mąż, urodzić dzieci i być wierną żoną. Choć często ogarniała ją nienawiść do Hassama Bin Hassama, nigdy nawet nie pomyślała o rozwodzie.

– Zjadłeś śniadanie? – zapytała, wchodząc do pokoju syna, który w swoim szkolnym mundurku kulił się wśród poduszek.

Fahim obrócił się na plecy. Zauważył, że mama zasłoniła podbite oko brzegiem chusty, ale żadna ilość makijażu nie była w stanie zamaskować spuchniętej wargi.

– Oj, Fahim, Fahim, tylko popatrz na siebie – powiedziała wesoło, przysiadając na brzegu łóżka i wyjmując z kieszeni jedwabny kwadrat.

Jaśmina popłuła na chustkę i pochyliła się, by zetrzeć z ust syna resztki czekoladowego sosu. Fahim nie cierpiał, kiedy mama czyściła go śliną, ale po tym, co właśnie przeszła, za nic nie chciał jeszcze bardziej uprzykrzać jej życia.

– Zrobiłem sobie – powiedział, starając się opanować drżenie głosu. – Pomyślałem, że pewnie poszłaś do biura pomóc tacie, i nie chciałem przeszkadzać.

Jaśmina skinęła głową.

– Twój ojciec jest w tej chwili zawałony pracą. Myślę, że byłoby najlepiej, gdybyś przez dzień lub dwa omijał go szerokim łukiem. I wujka Asifa też.

Fahim chciał zapytać o rozbity samolot i rozmowę, którą

podśluchał, ale wiedział, że mama niczego mu nie powie. Zresztą w głębi duszy pragnął po prostu wyprzeć to wspomnienie z pamięci i udawać, że niczego nie usłyszał.

– Wkładaj buty – powiedziała Jaśmina, zerkając na zegarek. – Może być spory ruch. Jeśli chcesz, to możemy po drodze zajechać do McDonalda.

Fahim zdobył się na słaby uśmiech, ale kiedy wstał, by wyciągnąć spod łóżka swoje szkolne buty, mama zauważyła, że trzęsą mu się ręce.

– No już, kochanie – powiedziała łagodnie Jaśmina, przyciągając syna i przytulając do piersi. – To zwykłe spotkanie z dyrektorem. Nie ma się czego bać.

7. SZACUNEK

– Proszę usiąść – powiedział dyrektor Warrender Prep, kiedy Fahim i Jaśmina Hassamowie przekroczyli próg jego ciasnego gabinetu. Osiemnastowieczne mury szkoły przytłaczały swoim majestatem, a niskie jesienne słońce opromieniało drobiny kurzu tańczące w powietrzu nad biurkiem pryncypała. – Przepraszam, że kazałem pani czekać, pani Hassam. Czy dołączy do nas pani mąż?

Jaśmina potrząsnęła głową.

– Przykro mi, panie Ashley, sprawy firmy zabierają mu cały jego czas.

– Mogę to sobie wyobrazić – uśmiechnął się pan Ashley.

Dyrektor pogłaskał gęste szare wąsiska i zebrawszy poły czarnej nauczycielskiej togi, zasiadł za biurkiem naprzeciwko gości.

– Fahim chciałby panu coś powiedzieć – oznajmiła Jaśmina i szturchnęła syna łokciem.

Chłopiec wbił wzrok w swoje nagie kolana i przemówił, drętwą intonacją zdradzając fakt, że to mama wyuczyła go jego kwestii w drodze do szkoły.

– Chciałbym przeprosić za moje zachowanie w zeszłą środę. Choć zostałem sprowokowany, moja reakcja była niestosowna i szczerze przepraszam za nią wszystkich nauczycieli i uczniów Warrender

Prep.

Dyrektor skinął głową.

– Dziękuję ci, Fahim – powiedział, po czym sięgnął przez biurko, by przysunąć sobie grubą teczkę zawierającą dokumenty osobowe młodzieńca. Spojrzał spod brwi na Jaśminę. – Kłopot w tym, że nie był to pierwszy incydent tego rodzaju z udziałem Fahima. W poprzednim semestrze został zawieszony, a ten wypadek był wyjątkowo szokujący.

– Fahim ma poważne problemy z rówieśnikami – wyjaśniła Jaśmina. – W domu jest grzecznym chłopcem. Nie pamiętam, by kiedykolwiek sprawiał kłopoty.

– Fahim złamał Martinowi Headowi trzy palce – przypomniał pan Ashley.

Fahim spojrzał wzrokiem winowajcy na mamę, która wiedziała aż za dobrze, od kogo nauczył się sztuczki z wykręcaniem palców.

– Dobrze, a co pan zrobił w sprawie nękania mojego syna? – zapytała Jaśmina z mocą. – Wiem, że Fahim postąpił niewłaściwie, ale nie wolno panu ignorować źródła problemu.

Dyrektor odchylił się w swoim fotelu i głęboko zaczerpnął tchu.

– Warrender Prep to mała szkoła, w której panuje przyjazna atmosfera. Przepytałem kilku chłopców z klasy Fahima i szczerze mówiąc, trudno mi uwierzyć, że mamy do czynienia z jakąś, bo ja wiem, kampanią skierowaną przeciwko niemu. Nie ma mowy o żadnym dręczeniu w skali, jaką sugeruje chłopiec, ani na tle jego etnicznego pochodzenia, ani jakimkolwiek innym.

– Panu się raczej nie przyznają, prawda? – powiedział z goryczą Fahim. – Poza tym to nie jest tak, że robią jakieś straszne rzeczy; nie biją mnie po lekcjach ani nic takiego. Tylko że ciągle wbijają mi szpile. Na przykład jak rozbieram się przed rugby, słyszę, że śmierdzi curry. Albo wołają na mnie szmatogłów. Albo żeby uważać, bo zaraz wysadzę się w powietrze.

– Zdarzało się też, że chowali mu rzeczy – dodała Jaśmina. –

W poprzednim semestrze trzy razy musiałam kupować mu nowe buty na WF. A potem, na dzień przed wakacjami, ktoś podrzucił trzy zgubione pary do jego torby.

– Nie będę zaprzeczał, że chłopcy w tym wieku potrafią być złośliwi – powiedział pan Ashley, powoli kiwając głową. – Ale właściwą reakcją jest zgłoszenie problemu wychowawcy. Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla stosowania przemocy.

Fahim zerwał się na równe nogi.

– Jak powiedziałem panu Williamsowi, że drugi raz ukradli mi buty, to powiedział, że je zgubiłem, i kazał grać w kosza na bosaka. A wtedy wszyscy deptali mi po nogach!

– Nie krzycz, Fahim – powiedziała łagodnie Jaśmina, pociągając syna z powrotem na krzesło, po czym spojrzała na dyrektora. – Czy pan nie widzi, jak ciężko mój syn znosi takie traktowanie? Jestem pewna, że właśnie w tym tkwi przyczyna jego nocnych koszmarów i innych problemów. Dwie noce temu znalazłam go na dole schodów zlanego potem i trzęsącego się jak osika.

– Czytałem raport pedagoga szkolnego, z którym Fahim widział się w piątek – powiedział pan Ashley, wysuwając z teczki spięty zszywaczem dokument. – Doktor Coxon zauważył, że Fahim często sprawia kłopoty i w klasie próbuje zwrócić na siebie uwagę złym zachowaniem. Wydaje się także reagować niepotrzebną agresją na drobne prowokacje, zaś jego wyniki w nauce znacznie się pogorszyły w ciągu minionego roku. Problemy Fahima w domu, takie jak koszmary nocne czy somnambulizm, sugerują, że chłopiec potrzebuje fachowej pomocy terapeutycznej, a nie jest wykluczone, że także leków poprawiających koncentrację.

– Nie jestem psychiczny – zaprotestował Fahim. – Nic by mi nie było, gdyby tylko wszyscy przestali się na mnie wyżywać.

Mina Jaśminy wyrażała niepewność.

– Sądzę, że moglibyśmy spróbować terapii i sprawdzić, czy pomoże, ale mam poważne wątpliwości co do leków. Czytałam

różne artykuły na temat tego, że łatwo w ten sposób zamienić dziecko w zombi...

Pan Ashley zamknął teczkę.

– O potrzebach emocjonalnych Fahima może pani porozmawiać z doktorem Coxonem, jeżeli takie jest pani życzenie. Jednakże Warrender Prep stosuje wymagający program nauczania skomponowany tak, by jak najlepiej przygotować chłopców do nauki w czołowych szkołach średnich, takich jak Eton i Rugby. Omawiałem tę sprawę z kolegami i wspólnie uznaliśmy, że ta szkoła nie jest już w stanie zapewnić najlepszej edukacji komuś o tak szczególnych wymaganiach jak Fahim.

Upłynęło dobrych kilka sekund, zanim Fahim rozsupłał słowa i zrozumiał, że dyrektor wyrzuca go ze szkoły. Jaśmina wyglądała na zdruzgotaną, ale jej syn od dawna nienawidził Warrender Prep i teraz poczuł się tak, jakby zdjęto mu z piersi olbrzymi ciężar.

– No i zajebicie! – ryknął Fahim, zrywając się z miejsca i piorunując dyrektora wzrokiem. – I tak wasza szkoła to najgorszy syf świata.

– Fahim, zachowuj się! – krzyknęła gniewnie jego mama, ale chłopiec za bardzo się rozpędził.

– Mam gdzieś, czy mi wierzysz, czy nie! – wydzierał się, pryskając śliną. – Oni naprawdę chowali moje rzeczy; naprawdę dręczyli mnie, tak jak powiedziałem. Ty i reszta nauczycieli nie zrobiliście niczego, bo zależy wam tylko na reputacji waszej przyjaznej szkółki.

Fahim spodziewał się, że za coś takiego zarobi od mamy w głowę, ale kiedy ostrożnie zerknął za siebie, spostrzegł, że Jaśmina wygląda raczej na dumną z odwagi syna. Nie miał ochoty oglądać głupiej gęby pana Ashleya ani chwili dłużej, więc po prostu wymaszerował z gabinetu do głównego holu szkoły.

Otoczyło go trzysta lat historii: listy nazwisk na ścianach od dawnych dyrektorów po uczniów, którzy zginęli zaszczytną śmiercią podczas pierwszej wojny światowej oraz szklane gabloty

wypełnione trofeami, wyblakłymi proporcami i nadjedzonymi przez mole kokardami.

– Głupia buda! – huknął Fahim, napędzając stracha bladolicemu rudzielcowi o imieniu David, z którym chodził do klasy.

David siedział na miękkim krześle przed gabinetem pielęgniarki, ubrany w strój gimnastyczny, wystawiając przed siebie paskudnie pokaleczoną łydkę. Był chudym dzieciakiem, który obrywał od Martina Heada i jego kumpli równie często jak Fahim.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Właśnie mnie wywalili. – Fahim wyszczerzył zęby w obłąkanym uśmiechu.

David był wstrząśnięty.

– Rany, przykro mi, stary – powiedział współczującym tonem.

– A mnie wcale – odparł Fahim, uświadamiając sobie jednocześnie, że nikt nie wyszedł za nim z gabinetu pana Ashleya. Zaskoczony wsłuchał się w głos mamy i choć nie był w stanie rozróżnić słów, jej ton nie pozwalał wątpić, że wyłuszcza dyrektorowi swoją opinię, nie przebierając w słowach.

– Ale super, że wyłamałeś palce Martinowi – powiedział David. – Myśli, że jest taki ważny. A teraz nie może nawet pisać.

Fahim potrząsnął głową, patrząc na małą zieloną gaśnicę zawieszoną na ścianie.

– On jest ważny – powiedział. – Na tym polega problem.

David cmoknął.

– A pamiętasz, jak kopnął Grega w brzuch? I dostał tylko kożę? Wszyscy go faworyzują, i to tylko dlatego, że jest kapitanem drużyny rugby.

– Wiesz co? – stęknął Fahim, wyrywając gaśnicę z zapiętych na rzepy pasków. – Walić tę budę.

David krzyknął ze strachu, kiedy jego kolega wbił metalowy cylinder w szklany front głównej gabloty z trofeami. Brzęk tłuczonej szyby poniósł się echem po korytarzu. Fahim wyciągnął gaśnicę ze

szczętków gabloty, wziął zamach i strzaskał tarczę stojącego obok szafkowego zegara, by następnie wziąć na cel ramę z fotografią zwycięskiej drużyny Hokejowych Mistrzostw Hrabstw Południowo–Wschodnich z roku 1994.

Pan Ashley wybiegł z gabinetu, ale był tak wstrząśnięty tym, co zobaczył, że stanął jak wryty, jakby zderzył się z niewidzialną ścianą.

– Fahim! – krzyknęła błagalnie Jaśmina, kiedy jej syn zaatakował ostatnią gablotę, tłukąc szkło i łamiąc drewnianą półkę w środku. Na podłogę posypało się pół tuzina pamiątek i stojak medali wojennych. – Czyś ty oszalał?

– Coś nie tak? – wrzasnął Fahim. – Traktuję tę szkołę tak samo, jak ona traktowała mnie.

– Hassam, oddaj mi to natychmiast! – krzyknął pan Ashley.

– Wsadź to sobie w dupę! – Fahim uśmiechnął się szyderczo, uniósł dyszę gaśnicy i nacisnął dźwignię.

Dyrektor zatoczył się w tył, ramionami osłaniając twarz przed tumanem białego proszku.

– Fahim, proszę – jęknęła Jaśmina z rozpaczą.

W jej oczach błyszczały łzy i Fahimowi na chwilę zrobiło się przykro, ale chłopiec był wściekły z powodu sposobu, w jaki go potraktowano, a poza tym nie miał zamiaru dawać dyrektorowi satysfakcji złapania go. Kiedy pan Ashley zgiął się wpół w ataku kaszlu, Fahim odwrócił się i wystrzelił sprintem w górę głównych schodów. Gaśnica była ciężka, ale zamiast ją puścić, Fahim cisnął ją w witrażowe okno na półpiętrze. Rozległ się głośny trzask, kiedy zielony walec wybił dziurę w mozaice barwnych szybek.

Przesadziwszy kilkoma susami resztę schodów, Fahim skręcił na główny korytarz pierwszego piętra.

– Gonić łobuza! – ryknął dyrektor, dopadając poręczą na szczycie schodów.

Sam nie był w stanie kontynuować pościgu, ponieważ znów się

rozkaszał.

Długi korytarz miał dobrą akustykę i okrzyk dyrektora przyciągnął uwagę kilkorga pedagogów. Drobną nauczycielką francuskiego była najbliższą i podjęła próbę przechwycenia uciekiniera, ale rozpedzony Fahim wyrwał się jej bez trudu.

Następny nauczyciel stanowił większe zagrożenie. Profesor Linton uczył przyrody, ale pełnił też funkcję trenera rugby i w swoim czasie kładł na łopatki znacznie roślejszych uczniów niż Fahim. Jego potężne ramię zacisnęło się wokół talii jedenastolatka i oderwało go od parkietu.

– Puszczaj, cwelu jeden... – zacharczał Fahim.

Linton przyciągnął go do siebie i ścisnął lewym ramieniem pod szyją, ale wtedy Fahim zatopił zęby w białym rękawie jego laboratoryjnego fartucha.

– Uspokój się! – krzyknął Linton, próbując odepchnąć głowę rozwścieczonego Fahima, ale ten kopał, prychał i wbijał zęby coraz głębiej.

Na korytarz zaczęli przesączać się uczniowie z klasy Lintona, ciekawi źródła hałasów. Kolejny nauczyciel ruszył na pomoc koledze i złapał Fahima za kostki. Chłopiec zawisł pomiędzy dwoma mężczyznami, wciąż wczepiony zębami w ramię Lintona. Nauczyciel przyrody nie wytrzymał bólu i wolną ręką z całej siły odciągnął głowę Fahima, zmuszając go do rozwarcia szczęk.

– Nienawidzę was! – zaskowytał Fahim. – Nienawidzę tej szkoły! Wszyscy możecie zgnieć w piekle!

Fahim pienieł się jak wściekły rottweiler; pan Linton, nie chcąc ryzykować kolejnego ukąszenia, puścił go i cofnął się o krok. Niestety, drugi nauczyciel wciąż trzymał chłopca za kostki i głowa Fahima huknęła o drewnianą podłogę. Wierzganek i plucie ustało w jednej chwili.

– Ożeż w mordę – jęknął pan Linton, przyciskając dłonią krwawiącą ranę na ramieniu i przyklękając nad nieprzytomnym

chłopcem.

– Normalnie toczył pianę z ust – powiedział drugi nauczyciel i wyjął z kieszeni telefon, żeby zadzwonić na pogotowie. – Co mogliśmy zrobić?

W tym momencie na miejsce starcia dotarła Jaśmina i natychmiast przypadła do leżącego na podłodze syna.

– Idioci! – krzyknęła chrapliwie. – Co zrobiliście mojemu chłopcu?!

8. DOMYSŁY

Doktor McAfferty wymierzał kary większości dzieci w kampusie i w swoim czasie wiele z nich – w tym James i Laura – przeklinało jego decyzje. Jednak czasy jego rządów odeszły już w przeszłość na tyle daleko, by w głowach wszystkich wspomnienie o nim nabrało różowych barw, a poza tym Mac naprawdę był bardzo dobrym prezesem. Zawsze uważnie słuchał racji wszystkich stron i miał tyle klasy, by przyznać się do błędu w tych rzadkich wypadkach, kiedy naprawdę go popełnił.

Do wieczora fakt, że Mac stracił żonę, synową i dwoje wnuków w katastrofie lotniczej, był już powszechnie znany w całym kampusie. Wiadomość w mniejszym lub większym stopniu dotknęła każdego i nawet agenci, którzy wstąpili do CHERUBA już po odejściu Maca, przejęli od innych nastrój przygnębienia.

O tej porze stołówkę zwykle wypełniał gwar dzieciaków relaksujących się po długim dniu nauki i treningów, ale w ten poniedziałkowy wieczór było tak, jakby ktoś zmniejszył głośność do trójki. Wszyscy z wyjątkiem najmłodszych cherubinów oglądali News 24.

W telewizyjnym studiu mężczyźni w garniturach dyskutowali o tym, kto może być odpowiedzialny za katastrofę samolotu Anglo-

Irish Airlines. Ktoś wykopał skądś archiwalne zdjęcia samolotu, a kilkoro pogrążonych w żałobie bliskich ofiar miało dość odwagi, by zgodzić się na występ przed kamerami. James siedział pomiędzy Daną a resztą przyjaciół, jedząc spaghetti po bolońsku i raz po raz spoglądając na ekran w nadziei na przełomowe nowiny.

– Nie cierpię tego kanału – poskarżył się kolegom. – Nic tylko bla-bla-bla, a jak za miesiąc będzie wreszcie coś wiadomo, to oni będą już wałkować jakiś nowy temat.

– Cześć – pisnął radośnie mały chłopczyk, wciskając się w szczelinę między krzesłami Jamesa i Dany.

– Joshua! – ucieszył się James na widok syna prezeski Zary Asker. – Ale się robisz wielki.

Joshua, któremu brakowało dwóch miesięcy do ukończenia czwartego roku życia, już w bardzo młodym wieku zdecydował, że James jest najwspanialszą istotą we wszechświecie.

– James – wykrztusił malec, podrygując nerwowo. Widać było, że chce zapytać o coś szalenie ważnego, ale jest tak podekscytowany, że słowa z trudem przechodzą mu przez gardło. – Po kolacji, dobrze?

Wszyscy przy stole spojrzeli na malucha, a James uspokajającym gestem położył mu dłoń na ramieniu.

– Coś taki zestrachany? Oni nie gryzą.

– Po kolacji – powtórzył Joshua. – Pójdiesz nad jezioro ze mną i tatą, i Klopsem?

James uśmiechnął się i wskazał palcem Danę.

– Czy ona też może pójść?

Joshua zamyślił się na kilka sekund, po czym skinął głową.

– Ale musisz się bawić ze mną – powiedział poważnym tonem. – I bez całowania.

Dana parsknęła śmiechem.

– Nie bój się, nie pocałuję Jamesa. Jest obrzydliwy.

James potraktował to jako zachętę do ostentacyjnego cmoknięcia

Dany w policzek. Joshua skrzywił się i zasłonił oczy dłońmi.

James zwrócił się do wszystkich przy stole:

– Ktoś jeszcze ma ochotę na przechadzkę nad jezioro po kolacji?

Callum i Shakeel mieli za dużo zadane, ale Connor i inni zdecydowali się pójść. Do grupy chętnych dołączyła też Laura – kiedy dowiedziała się, że Klops, pies Askerów, jest w kampusie – a także Bethany i kilka dziewcząt z ich towarzystwa.

Miał to być tylko spacer, ale Joshua potraktował sprawę ze śmiertelną powagą. Pobiegł po kurtkę i czapkę, a kiedy wrócił, zaczął popędzać maruderów, żeby jedli szybciej, przez cały czas podgryzając okruchy z torebki z czerstwym chlebem przeznaczonym dla kaczek, którą dostał od jednej z kucharek.

Joshua i Klops poprowadzili grupkę jedenastu cherubinów na dwukilometrową przechadzkę nad jezioro. Tata Joshuy Ewart Asker podążał za całym towarzystwem, pchając wózek, w którym drzemała jego córeczka Tiffany. Wieczór był przyjemny, choć mroźne powietrze szczypało im twarze.

Kiedy Laura i młodsze dzieciaki rozbiegli się wokół, rzucając Klopsowi patyki i wygłupiając się, James zaczekał chwilę, by zrównać się z Ewartem, po czym ruszył obok niego betonową ścieżką, z dłońmi ukrytymi w kieszeniach bluzy. W ciągu minionych lat między nim a mężem prezeski doszło do kilku zgrzytów, ale od pewnego czasu dogadywali się całkiem nieźle.

– Czy Zara słyszała coś nowego o tej katastrofie, o której mówili w wiadomościach? – zapytał James.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odrzekł Ewart, potrząsając głową. – Wiem tylko, że pojechała do Londynu na kryzysowe spotkanie sztabu antyterrorystycznego.

– Czyli uważają, że to był zamach?

– Zapewne przyjęli takie założenie – powiedział Ewart.

– Biedny Mac – westchnął James, podnosząc wzrok, by spojrzeć w chmury. – Jego żona miała dopiero sześćdziesiąt dwa lata. Mogli

być razem jeszcze bardzo długo.

– To smutne – skinął głową Ewart. – Ale przynajmniej posmakowali trochę życia. Angus i Megan nie byli nawet nastolatkami.

– Poznałeś ich?

– Widziałem ich tylko raz. Kilka lat temu Mac urządził barbecue i ganiali po ogrodzie razem z resztą jego wnuków.

– Słyszałem, że ma sześcioro dzieci i co najmniej tuzin wnuków – powiedział James. – Przypuszczam, że to jest jakieś pocieszenie, jak się ma tak dużą rodzinę.

– Słuchaj, James... – zaczął Ewart, zmieniając temat. – Chciałbym cię o coś poprosić. Coś w rodzaju przysługi.

James był zaintrygowany.

– Ale o co chodzi?

– Joshua zawsze cię uwielbiał. Widzisz, przez to, że często jeździliśmy na misje, Zara urodziła Tiffany, a później została prezeską, jakoś nigdy nie mieliśmy okazji, żeby ochrzcić dzieciaki.

Klops przemknął pomiędzy nimi w pogoni za gumową piłką z dzwonkiem w środku.

– Wariat, a nie pies – parsknął James.

Ewart odchrząknął i podjął przerwana wypowiedź.

– Zara i ja byliśmy cherubinami, żadne z nas nie ma rodziny. Chcielibyśmy zapytać, czy może zechciałbyś zostać ojcem chrzestnym Joshuy.

James zdębiał, ale zmusił się do szerokiego uśmiechu.

– No, chyba tak... Będę zaszczycony. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że mnie, no wiesz... lubisz.

– E tam. – Ewart wzruszył ramionami. – Różnie między nami bywało, ale uratowałeś mi życie, a to już jest coś, prawda? I zawsze miałeś czas dla Joshuy, a większość chłopców w twoim wieku kazałaby mu się po prostu odczepić. On nie ma żadnych braci ani kuzynów, a kiedy wyjeżdżasz na misje, zawsze dopytuje się, kiedy

wrócisz. Wiele znaczysz dla tego małego łobuza, wiesz?

– Bardzo urósł ostatnio – zauważył James. – Nie widziałem go ze dwa tygodnie, ale przysięgam, że jest większy. Rzeczywiście, trochę przyspieszył z rośnięciem – przyznał Ewart. – Niestety, zaczyna też zadawać kłopotliwe pytania.

James wyszczerzył się w uśmiechu.

– Że niby skąd się biorą dzieci i tak dalej?

– Z tymi daję sobie radę. – Ewart odpowiedział uśmiechem. – Gorzej, że pyta też o kampus. Na przykład ostatnio był ciekaw, dlaczego nikt w kampusie nie ma mamusi ani tatusia. Albo ciągle pyta, gdzie jesteśmy, kiedy jeździmy na misje.

– Zdaje się, że zbliża się moment, kiedy nie będzie mógł już przychodzić do kampusu.

Ewart ściszył głos.

– Zara i ja rozmawiamy z komisją etyki na temat zmiany reguł rekrutacyjnych CHERUBA.

– Żeby wasze dzieci też mogły zostać agentami? – zapytał James.

Ewart skinął głową.

– I dzieci innych byłych cherubinów też. I członków personelu. CHERUB zawsze miał kłopoty z rekrutowaniem odpowiedniej liczby agentów. To mogłoby częściowo rozwiązać problem.

James nie był przekonany do pomysłu.

– Ale pomyśl, jak byś się z tym czuł? Czy jako rodzic nie miałbyś oporów przed wysłaniem dziecka na niebezpieczną misję? A poza tym czy nie byłoby dziwne, gdyby część dzieciaków w kampusie miała rodziców, a inne były sierotami?

Ewart westchnął.

Oczywiście, że trzeba będzie rozwiązać parę problemów. Nie wątpię, że CHERUB to ostatnie miejsce, do którego niektórzy byli cherubini chcieliby posłać swoje dzieci, ale z drugiej strony agenci otrzymują doskonałe wykształcenie, nawet poświęcając dużo czasu misjom. A poza tym, gdybym miał problem z wysłaniem syna czy

córki na tajną operację, dlaczego miałbym być gotów posłać tam ciebie albo Laurę czy Danę?

– Rozumiem – powiedział James.

– Joshua zastąpił Jamesowi drogę i położył mu dłonie na biodrach.

– Nudzę się, James – poskarżył się. – Pobaw się ze mną.

James uśmiechnął się.

– A może odwrócę cię do góry nogami i umoczę głowę w jeziorze?

– Głupi jesteś – zachichotał Joshua, potrząsając głową i pochylając się, by wyjąć piłkę z kosza pod wózkiem Tiffany.

– Dobra, chodź, zagramy – ustąpił James.

– Ja jestem Arsenał – oznajmił malec.

– Ooo, chciałbyś – zaśmiał się James. – Ja jestem Arsenał; ty możesz być najwyżej emerytami z Chelsea.

– A w życiu! – krzyknął Joshua, tupiąc nóżką.

Ewart pokręcił głową z dezaprobatą.

– Nie do wiary, że przerobiłeś mi syna na fana Arsenалу.

– Coś ci powiem, Joshua – powiedział wesoło James. – Obaj będziemy Arsenalem. A teraz patrz.

James cofnął się o dwa kroki od piłki, a potem dał susa naprzód i kopnął ją. Piłka wzbiła się wysokim łukiem, po czym spadła Laurze na plecy, przyginając ją do przodu.

Joshua pękał ze śmiechu w przeciwieństwie do Laury, która odwróciła się i pomaszerowała w stronę brata, zaciskając pięści.

– To był wypadek – skłamał James, mrugając do malca.

Laura zatrzymała się i pogroziła mu palcem.

– Spróbuj jeszcze raz, to będziesz miał wypadek z twarzy, zobaczysz.

*

Fahim czuł się tak, jakby spuszczone mu na głowę kulę do kręgli, i to z dużej wysokości. Upłynęło kilka chwil, zanim wyczuwszy pod

dłońmi krawędzie pojedynczego łóżka i skupiwszy z wysiłkiem wzrok na stojącej przy nim odrapanej szafce, uświadomił sobie, że obudził się w szpitalu.

Wspomnienia z rozbijania szklanych gablot i zapasów z nauczycielem przyrody wyłaniały się powoli z mroku niepamięci, a potem wczepiły się w jego umysł niczym wędkarskie haczyki. Czyny, które wydawały się logiczne, kiedy dyktował je gniew, teraz, gdy był spokojny, jawiły mu się jako szaleństwo.

– Hej – powiedziała cicho Jaśmina, opuszkami palców gładząc syna po twarzy.

Fahim spróbował odwrócić głowę, ale pierwsze drgnienie wywołało eksplozję bólu w skroniach i skurcz żołądka. Jaśmina wsunęła mu ramię pod plecy i uniosła z poduszki, ale zanim zdążyła podsunąć mu basen, z ust chłopca chlusnęły wymiociny.

Oczy Fahima zamknęły się, a głowa opadła do przodu. Chłopiec znów stracił przytomność, ale z następnym wdechem zakrztusił się własnymi wymiocinami i ocknął, wybuchając rozpaczliwym kaszlem. Jaśmina krzyknęła na pielęgniarkę.

– Proszę się odsunąć! – zawołała pielęgniarka, naciągając jednorazową rękawiczkę i przypadając do Fahima.

Kobieta bezceremonialnie wepchnęła chłopcu palce do gardła, by udrożyć drogi oddechowe. Jaśmina odsunęła się od łóżka tak wstrząśnięta, że nie mogła wykrztusić nawet słowa.

9. GŁOWA

James i Dana byli ze sobą od dziesięciu miesięcy, czyli dziewięć i pół miesiąca dłużej, niż przewidywali najwięksi optymiści. W ich związek powoli zaczęła wkradać się rutyna, a niektóre aspekty dwóch odmiennych trybów życia stopiły się ze sobą. Płyty, koszulki i skarpetki były wspólne. James trzymał maszynkę do golenia w pokoju Dany, a choć Dana starała się podtrzymać wrażenie, że za nic ma swój wygląd, stosy na wpół zużytych kremów, sprejów pudrów na półkach w łazience Jamesa świadczyły o czymś wręcz przeciwnym.

Było tuż po jedenastej wieczorem; James i Dana tulili się do siebie na jego łóżku, półnaczy, opierając się plecami o ścianę.

– Lepiej już pójde – powiedziała Dana. Wysunęła ramię zza głowy Jamesa i zaczęła rozmasowywać zdrętwiały mięsień. – Rano mam trening.

James też miał wczesny trening, ale było mu dobrze, a bez ręki Dany pod głową zrobiło mu się zimno w szyję.

– Nie idź – jęknął miękko, łapiąc dziewczynę za nadgarstek. – Możesz spać u mnie. Kto się dowie?

– Nic z tego – odparła Dana, ziewając. – I tak nie zasnę, tak się wiercisz.

– Tylko się przytulam – zamruczał James, przyciskając nagie palce stóp do pośladków Dany, która zabrała się właśnie do zakładania pary bokserek i dżinsów. – No przestań! – zachichotała, odskakując od łóżka w spodniach podciągniętych do kolan. – Czemu zawsze masz takie lodowate stopy?

– Widzę, że nosisz teraz moje bokserki – zauważył James. – A ja się głowiłem, gdzie one mogły się podziać.

– Polubiłam je – powiedziała Dana. – Nie wrzynają w rowek jak zwykłe figi.

– Może powinienem dać szansę twojej bieliźnie, co? – wyszczerzył się James.

Dana roześmiała się. Ignorując zrolowane skarpetki walające się na podłodze, wsunęła nagie stopy w znoszone glany. Wybierała się tylko do swojego pokoju na górze, więc nie zwracała sobie głowy wiązaniem sznurówek.

– Myślę, że w tych malutkich różowych figach z zieloną koronką byłoby mi naprawdę ładnie – ciągnął James.

– Zdecydowanie – skinęła głową Dana. – Choć pewnie nie wytłumaczyłbyś się tak łatwo, kiedy musiałbyś się przebrać przy chłopakach.

Widząc, że Dana jednak zbiera się do wyjścia, James uderzył w błagalny ton:

– No proszę cię, zostań.

– Nie, póki ciągle jesteś dzieckiem – droczyła się Dana. – Nie mogę narażać na szwank twojej niewinności.

– Przestań – jęknął James. – Do szesnastki brakuje mi mniej niż miesiąca, a wszyscy w kampusie i tak myślą, że już to robimy.

– Ale nie robimy – powiedziała twardo Dana, odwracając się do drzwi. – I powiedziałam ci: obiecuję, że to będzie warte czekania.

James stracił dziewictwo podczas swojej ostatniej misji, a Dana oddała swoje starszemu koledze z kampusu, jeszcze zanim zaczęła chodzić z Jamesem. Mimo to ustalili, że nie będą narażać swoich

karier w CHERUBIE, rozpoczynając współżycie seksualne przed ukończeniem przez oboje szesnastu lat, a dokładniej Dana podjęła taką decyzję, a James nie bardzo mógł się z nią spierać po tym, jak zdradził ją na misji w Luton.

James wyszczerzył zęby w obleśnym uśmiechu.

– Niech no tylko przyjdą moje urodziny. Zapukam do twoich drzwi sekundę po północy, dysząc z pożądania i z soplem śliny do samej ziemi.

– Aleś ty romantyczny – zaśmiała się Dana, pochylając się nad Jamesem, by pocałować go na do widzenia.

*

Skończyło się na lekkim wstrząśnieniu mózgu, a ponieważ w szpitalu brakowało łóżek, Fahima wypisano kwadrans po dwudziestej trzeciej. Ojciec przewiózł go przez szpitalne korytarze na wózku, ale kilka kroków dzielących go od samochodu chłopiec zdołał przejść samodzielnie, a w domu nawet sam wszedł po schodach do swojego pokoju.

Mimo ołowianych powiek i pulsującej głowy Fahim nie mógł zasnąć. Leżał na plecach, wpatrując się w sufit i słuchając odległego buczenia głosu ojca krążącego po holu na dole. Hassam często pracował po północy, dzwoniąc do swoich pracowników i partnerów biznesowych w Pakistanie i Indonezji. Fahim nigdy nie zdołał odgadnąć, czym konkretnie zajmuje się jego tata, a kiedy próbował o to pytać, Hassam nieodmiennie raczył go tą samą odpowiedzią: „Wtykam palce w wiele różnych tortów”.

Prawie do dziesiątego roku życia Fahim interpretował ten zwrot dosłownie i wyobrażał sobie, że jego ojciec fabrykę tortów z bitą śmietaną. To, że nigdy nie dostawał próbek do skosztowania, bardzo go przygnębiało.

– Spróbuj zasnąć – powiedziała Jaśmina, zaskakując syna.

Zwykle o jej nadejściu uprzedzało go stukanie obcasów na parkiecie, ale tym razem mamie udało się podejść do łóżka

niepostrzeżenie. Efekty urazu głowy nie odebrały mu wzroku ani słuchu, ale jego umysł działał w zwolnionym tempie i wydawał się koncentrować wyłącznie na pojedynczych myślach lub dźwiękach, blokując przy tym wszystkie pozostałe.

– Wcześniej... – zaczął Fahim, patrząc na mamę.

Gardło bolało go od rury ssącej, którą wepchnięto mu przez przełyk aż do żołądka, gdy po raz drugi zebrało mu się na wymioty.

– Porozmawiamy o szkole, kiedy poczujesz się lepiej – powiedziała miękko Jaśmina. – Teraz musisz odpoczywać.

– Dziś rano... – nalegał Fahim. – Słyszałem, jak tata cię uderzył. Dlaczego rozmawialiście o tamtym samolocie? Co to ma wspólnego z wami?

– To... skomplikowane – zająknęła się zakłopotana Jaśmina. – Życie w nowoczesnym świecie bywa trudne. Twój ojciec odebrał tradycyjne wychowanie, a ja, obawiam się, nie jestem zbyt dobra w roli tradycyjnej żony. Wiesz, że tak naprawdę on ma dobre serce. Kocha nas i zapewnia nam wszystko, czego potrzebujemy.

Fahim nienawidził, kiedy jego mama przedstawiała wszystko tak, jakby to była jej wina, że znowu została pobita, jednak w tej chwili nie to było jego największą troską.

– Samolot – powtórzył. – Nie zmieniaj tematu.

Nastąpiła pauza, w czasie której Fahim usiłował rozszyfrować wyraz twarzy mamy. Czy obmyślała kłamstwo, próbując go ochronić, czy nie mogła znaleźć właściwych słów?

– Ten samolot, który się rozbił, był serwisowany przez firmę twojego dziadka – wyjaśniła Jaśmina. – Twój tata organizuje transport niektórych części.

Odpowiedź nie do końca usatysfakcjonowała Fahima.

– Wydawałaś się bardzo wystraszona.

– Przypomniałam sobie tylko, że robiliśmy coś dla tamtych linii lotniczych i ślad po tym został w dokumentach, to wszystko. Twój tata miał rację, to jest jego sprawa, a ja przesadziłam ze swoją

reakcją.

– Mówiłaś tak, jakby tata był jakimś terrorystą – powiedział Fahim, uśmiechając się z ulgą.

Jaśmina uniosła brwi i delikatnie pogłaskała syna po ramieniu.

– Naprawdę tak pomyślałaś, głuptasku? W takim razie już rozumiem, dlaczego w szkole byłeś tak bardzo zdenerwowany.

*

James zasypiał spokojny i zadowolony z życia. Wprawdzie przydziały praktyk nie poszły po jego myśli, ale wciąż był niegłupim, przystojnym, piętnastoletnim młodzieńcem. Miał przytulny pokój i dość dużo pieniędzy, by wygodnie żyć, zaś dzięki układom z instruktorami – którym pomagał w szkoleniu juniorów w zamian za zaliczenia przedmiotów – oraz swoim wrodzonym zdolnościom matematycznym radził sobie ze szkołą bez większych problemów, nawet jeśli nikomu nie przyszłoby do głowy nazwać go orłem. Miał wielu świetnych przyjaciół, młodszą siostrę, która w sumie była nawet w porządku, i właśnie wciskał twarz w poduszkę pachnącą dziewczyną, którą kochał.

Niestety, James Adams nie był jedyną osobą w kampusie, która zauważyła wygodną koleinę, w jaką ześlizgnęło się jego życie.

– Wstawaj, ty łajzowata, różowodupa, wachająca nagietki córko kupy gówna! – ryknął głęboki bas przy wtórze huku wykopywanych drzwi. W oczy poraził go blask latarki.

James był muskularny, a przy swoich siedemdziesięciu trzech kilogramach dorównywał wagą wielu dorosłym mężczyznom. To jednak nie przeszkodziło parze kolosalnych ramion oderwać go od materaca i cisnąć z powrotem na sprężyny z taką siłą, że dwie deski łóżka trzasnęły pod jego ciężarem.

– Jezu... – jęknął, kiedy czyjaś dłoń prawie zmiażdżyła mu czoło.

– Ty ciastkożerny, zapasiony szcurze! Chcesz, nasikam ci w wiaderko, żebyś miał czym zalać płatki śniadaniowe.

Zza napastnika dobiegł inny głos, wprawdzie przyjazny, ile

sugerujący, że jego właściciel świetnie się bawi, patrząc na cierpienie Jamesa.

– W porządku, James?

Niełatwo jest zebrać myśli, kiedy wielki wściekły szajbus miota człowiekiem jak pitbull szmacianą lalką, jednak po sekundzie James uświadomił sobie, że drugi głos należy do Dave'a Mossa. Dave towarzyszył mu jako starszy agent podczas dwóch wcześniejszych misji, ale potem odszedł z CHERUBA, poszedł na studia i James nie widział go już od prawie dwóch lat.

– Widzę, że poznałeś mojego dobrego kumpla Jake'a McEwena – powiedział Dave. – Tylko pamiętaj, że on nie lubi tego imienia.

– Nazwij mnie Jake, a oberwę ci jaja i nakarmię nimi twoją siostrę – zawarczał McEwen.

James nigdy wcześniej nie spotkał McEwena, który opuścił kampus jeszcze przed jego wstąpieniem do CHERUBA, ale słyszał o nim bardzo wiele. Jego nazwisko widniało wygrawerowane na tuzinach trofeów w gablotach dojo, zaś jedna z wielu niesamowitych opowieści o nim głosiła, że mając zaledwie trzynaście lat, powalił jednym ciosem karate legendarnego szefa szkolenia Normana Large'a.

– Dave... – wycharczał James.

Zdołał wykrztusić tylko jedno słowo, za to ciężkie od treści. Słowo to znaczyło: „Cześć, Dave, co za niespodzianka”. Znaczyło także: „Dave, myślałem, że jesteśmy kumplami, czy mógłbyś mi łaskawie wyjaśnić, co tu się, do diabła, wyprawia?”. Ale przede wszystkim znaczyło: „Dave, myślę, że ten twój popapraniec McEwen chce mnie zabić. Zastanawiam się, czy byłbyś tak miły i kazał mu przestać”.

Ale zanim James zdążył przejść do szczegółów, McEwen wepchnął mu w usta gumowy knebel, przerzucił na brzuch jak naleśnik i wcisnąwszy ogromne kolano w plecy, wyrwał sobie kajdanki z za paska. James próbował się obronić, wciskając jeden nadgarstek pod siebie.

– Dawaj tę rękę, leszczu, albo wyłamię ci ją ze stawu i wepchnę glan w tyłek tak głęboko, że poczujesz w gardle smak pasty do butów.

James pojął, że bohaterska postawa nie zaprowadzi go daleko. Wydawszy z siebie jęk bólu i zawodu, pozwolił napastnikowi zakuć się w kajdanki i poderwać do pionu.

– Jedna czarna koszulka, para szortów i buty – zakomenderował McEwen.

Dave Moss pstryknął włącznikiem światła, po czym podjął z podłogi wymienione części odzieży i uwalane błotem glany. James zauważył, że jego dawny znajomy zapuścił długie włosy i imponującą brodę. W wojskowych trepach i białej koszulce wyglądał jak Jezus, który wstąpił do Hell's Angels.

– Ptaszki w kampusie śpiewają, że robisz się miękki – wyjaśnił łagodnym tonem Dave. – Dlatego pan Kazakow obmyślił małe ćwiczenie hartujące.

– Dość pogawędek, ty ssący lizaki fryzjerze pudli – powiedział McEwen, popychając Jamesa w stronę drzwi. – Przejedziemy się tam, gdzie nikt nie usłyszy twojego krzyku.

10. DYSCYPLINA

Fahim wciąż nie spał pół godziny później, kiedy jego rodzice zaczęli się kłócić na dole. Z łóżka nie słyszał zbyt dobrze, więc podkradł się na palcach do drzwi i uchylił je na kilka centymetrów.

– Chłopak potrzebuje dyscypliny – oznajmił z determinacją Hassam. – Porozmawiam z ojcem.

Na te słowa serce Fahima zabiło dwa razy szybciej.

– Poproszę, żeby polecili mi jakąś szkołę – ciągnął jego tata. – Gdzieś blisko mojej rodziny.

– Zawsze byliśmy zgodni, że nasz syn powinien wychować się tutaj i odebrać porządne angielskie wykształcenie – powiedziała twardo Jaśmina. – Chcę go mieć przy sobie, a nie tysiące mil stąd w Abu Zabi.

– Już nie mogę na niego patrzeć – wysyczał Hassam. – W najkach, stale przed Playstation, tłuszcioch faszcerujący się karmelkami i ciastkami w czekoladzie. Nie wie niczego o swojej kulturze ani o swoim narodzie.

Jaśmina zaśmiała się w wymuszony sposób.

– A czymże to jego najki i Playstation różnią się od twoich roleksów i bmw? Udajesz takiego bogobojnego muzułmanina, kiedy odwiedzasz swojego ojca, ale sam nie masz nawet dywanika

modlitewnego, nie przestrzegasz ramadanu, a w tym kraju twoja stopa jeszcze ani razu nie postąpiła w meczecie.

– Zabraniam ci mówić do mnie w ten sposób! – krzyknął Hassam, uderzając pięścią w dłoń. Fahim wzdrygnął się ze strachu. – Do tej pory zostawiałem wychowanie Fahima tobie, ale przemieniłaś go w przesiąkniętego Zachodem chuligana.

– Chcesz go posłać do szkoły w Abu Zabi tylko po to, żeby przypodobać się ojcu. Nasz syn nie jest twoim niewolnikiem.

– Jeśli taka będzie moja wola, Fahim pójdzie do szkoły w Abu Zabi. Zresztą czy mógłby przez to stać się jeszcze gorszy, niż jest? Zdajesz sobie sprawę, ile będzie mnie kosztowała naprawa tych pucharów i witrażowych okien?

Jaśmina zaczerpnęła powietrza do płuc.

– Jeśli odeślesz mojego syna, pójdę na policję i powiem im wszystko, co wiem, na temat samolotu.

Fahima zatkało: mama okłamała go, a przynajmniej nie powiedziała całej prawdy. Wtem usłyszał klaśnięcie, a Jaśmina krzyknęła z bólu.

Akty przemocy ojca zawsze skręcały mu żołądek. Z oczami szklącymi się od łez gwałtownym pchnięciem otworzył drzwi sypialni. Krzyki mamy, które zwykle cichły po pół-minucie, tym razem trwały dłużej i brzmiały bardziej rozpaczliwie. Każdy jęk rozrywał mu duszę.

Fahim nie był na tyle silny, by powstrzymać ojca, ale miał nadzieję, że jego obecność wystarczy, by Hassam przestał okładać mamę.

Z trudem wytoczył się z pokoju, przypadł do barierki i niepewnym krokiem ruszył w dół krętych schodów. Włókł się na ugiętych nogach, z wysiłkiem utrzymując równowagę, z chwiejącą się głową i wzrokiem odmawiającym skupienia się w jakimkolwiek punkcie przestrzeni. Miał wrażenie, że trwa to całe wieki.

– Zostaw ją w spokoju! – krzyknął, stanąwszy pod łukiem wejścia

do salonu.

Zapłakana Jaśmina leżała skulona na podłodze. Stolik do kawy był przewrócony, a dywan zaściewały rozsypane i czasopisma.

– Teraz mnie jeszcze szpiegujesz?! – ryknął Hassam na widok syna.

Wyglądał strasznie. Twarz ociekała mu potem, a kosmate pięści wydawały się czekać na kolejną okazję zadania komuś bólu.

– Usłyszałem krzyki – wyrzucił Fahim przez ściśnięte gardło. – Jest dwa razy mniejsza od ciebie. Dlaczego musisz się na niej wyżywać?

– Nie mieszaj się w to, Fahim – zaszlochała Jaśmina, plamiąc dywan czerwonymi kropelkami krwi kapiącej jej z nosa.

– Wracaj do łóżka – rozkazał Hassam, wskazując palcem schody. – Chcesz poczuć mój pasek na tyłku?

– Na litość boską, on jest chory! – lamentowała Jaśmina. – Zostaw go w spokoju!

Hassam odwrócił się i kopnął żonę w brzuch. Jaśmina zawyła z bólu i zwinęła się w kłębek obok skórzanej kanapy.

– Oboje was nauczę szacunku! – krzyknął Hassam, odpinając pasek i szarpnięciem wyrywając go ze spodni. – To jest mój dom. To ja jestem głową tej rodziny.

Fahim odwrócił się, by uciec, ale zmęczone nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Metalowa klamra rozorała mu łopatkę. Chłopiec w spazmie bólu odrzucił głowę w tył i runął ciężko na nagie kolana. W następnej chwili drugi cios trafił go w tył głowy.

– W moim domu będzie dyscyplina! – grzmiał Hassam. – Nie będę tolerował takiego zachowania.

Łkając i trzęsąc się, Fahim próbował pełznąć po zimnym marmurze, podczas gdy ojciec siekł go pasem w obłąkańczym szale.

– Rany boskie, zabijesz go! – wrzasnęła rozpaczliwie Jaśmina, rzucając się na męża i obłapiając go za nogi. – On ma jedenaście lat!

Fahim wydał z siebie jęk ulgi, kiedy jego ojciec przestał go

katować.

– Wstawaj i do swojego pokoju – rozkazał Hassam. – I siedź tam, dopóki cię nie zawołam.

*

Najgorszym koszmarem agenta CHERUBA jest wyznaczenie do indywidualnego zadania ćwiczebnego. Nieszczęście to przytrafia się przeważnie osobom, które naruszyły regulamin albo pozwoliły, by ich kondycja fizyczna spadła poniżej dopuszczalnego poziomu. James był w dobrej formie i nie przypominał sobie, by przyłapano go na jakimkolwiek wykroczeniu, ale i tak odetchnął z ulgą, kiedy McEwen otworzył tylne drzwi mikrobusu i James ujrzał, że nie jest sam.

– Wskakuj, leszczu – powiedział McEwen, rozpinając kajdanki.

James wsiadł do samochodu, a Dave rzucił za nim buty, szorty i koszulkę.

– Włóż to – polecił rozkazującym tonem.

Mikrobus działu wyszkolenia służył głównie do wożenia rekrutów przechodzących szkolenie podstawowe. Podłogę i siedzenia pokrywała warstwa zaschniętego błota, a w powietrzu unosiło się wspomnienie po odorze potu. James wcisnął się na wolne miejsce, skinął głową Gabrielli i dwóm innym znajomym twarzom, po czym zabrał się do naciągania na tors czarnej koszulki CHERUBA. Przecisnąwszy głowę przez otwór na szyję, spojrzał w stronę szoferki i zobaczył szefa wyszkolenia pana Pike'a, siedzącego za kierownicą. Wśród doprowadzonych wypatrzył także głowę swojej siostry Laury, najdrobniejszej ze wszystkich pasażerów. Nagle spłynęło nań oświecenie.

– Wszyscy mamy czarne koszulki – powiedział.

– Na to wygląda – skinęła głową Gabriella.

James wyjrzał przez okno i zobaczył drugi mikrobus z czarnymi koszulkami na pokładzie i instruktorem, panem Kazakowem na miejscu kierowcy.

Dana była jedną z ostatnich osób, jakie tej nocy wywleczono z łóżek. Gdy usiadła obok Jamesa, McEwen z Dave'em Mossem wgramolili się do kabiny i trzasnęli za sobą drzwiami.

– Możemy sunąć, panie Pike! – zawołał z entuzjazmem McEwen.

Odczekali kilka minut, aż do drugiego wozu przywleczono ostatnią czarną koszulkę, po czym Pike ruszył z kopyta z mikrobusem Kazakowa na ogonie.

Zostawiwszy za sobą główny budynek kampusu, skręcili w lewo. Dana spojrzała w górę znad buta, który właśnie zawiązywała, i posłała Jamesowi uśmiech wyrażający ulgę: skręt w lewo zaprowadziłby ich przez ogrody i bramę na akcję w terenie, która mogła potrwać wiele dni. Skręt w prawo oznaczał, że zostają w kampusie, gdzie ćwiczenia rzadko trwały dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

Pierwsza część drogi biegła przez otwartą część kampusu, gdzie znajdowały się wszystkie budynki, jak również stadion lekkoatletyczny i boiska do rozmaitych sportów zespołowych, takich jak rugby i piłka nożna. Ostatnie dwa kilometry mikrobusy pokonały, pełząc gruntową ścieżką tuż przy granicy ośrodka szkolenia podstawowego. Snopy światła z reflektorów odzierały z ciemności tylko niewielki fragment otoczenia, co bardzo utrudniało orientację, ale James był prawie pewien, że jadą przez rejon kampusu, w który nigdy dotąd się nie zapuszczał.

Przypuszczenie to potwierdziło się, kiedy samochody odbiły w prawo, by pojechać równoległe do granicy terenu. W otwartej części kampusu można było swobodnie podejść aż do wysokiego na piętnaście metrów muru granicznego, ale tu, na pustkowiu, wzdłuż muru ciągnął się dziesięciometrowy pas zaoranej ziemi i trzymetrowej wysokości zasieki z drutu kolczastego. Pas między murem a zasiekami był naszpikowany czujnikami ruchu, a tablice ostrzegawcze doradzały intruzom zaczekanie na oddział wartowników, nieposłusznym grożąc rozerwaniem na strzępy przez

pociski czołgowe – oficjalnie teren kampusu CHERUBA był poligonem artyleryjskim armii.

– Ostatni raz byłam tu, jak miałam dziewięć lat – powiedziała Dana szeptem, nie chcąc dawać instruktorom pretekstu do uciszenia jej przekleństwami.

– Co tu jest? – zapytał James.

– Głównie drzewa – odpowiedziała Dana. – Ale kiedy byłam w juniorach, uwielbiałam biwaki, a opiekunowie pozwalali nam urządzać tu wyprawy... No wiesz, wygłupy w namiotach, palenie ognisk, smażenie kielbasek...

– To chyba mało odpowiedzialne, zostawiać dzieciaki samym sobie.

– Przesadzasz. – Dana machnęła ręką. – Cały kampus jest obstawiony kamerami i czujnikami. I zawsze dawali nam krótkofalówki, tak na wszelki wypadek.

Droga kończyła się prostokątnym placem wielkości połowy boiska piłkarskiego, pokrytym skruszałym asfaltem, z którego pęknięć wyrastały kępy wysokiego zielska. Na drugim końcu placu stał zmurszały betonowy budynek dawnego magazynu dotrzymujący towarzystwa cuchnącej przyźmie nawozu używanego przez kampusowych ogrodników oraz zmaltretowanemu wrakowi koparki JCB na sflaczałych oponach, pokrytemu dziesięcioletnią warstwą rdzy.

Wysiadając z mikrobusu, James zauważył najeżony antenami posterunek nadzoru elektronicznego umieszczony w miejscu, gdzie segmenty muru granicznego schodziły się ze sobą pod kątem prostym. Byli w najodleglejszym zakątku kampusu, prawie trzy kilometry od głównej bramy i jego łóżka.

– Chryste, ale zimno – stęknęła Dana, wciskając dłonie pod pachy.

Uwagę Jamesa przykuła grupa białych koszulek czekających przed betonowym budynkiem. Wszyscy w wieku od osiemnastu do

dwudziestu kilku lat, ubrani w bojówki i ochraniacze kuloodporne, rozsiedli się wokół quadów ustawionych w rzędzie pod ścianą. James rozpoznał kilka osób ze swoich pierwszych dni w CHERUBIE, w tym Paula i Arifa, którzy pomagali mu w nauce pływania tuż po tym, jak zamieszkał w kampusie.

– Zdaje się, że to nasza wroga armia – stwierdziła kwaśno Dana.

Obok Jamesa stanęła Laura. Jak wszystkie dzieci na świecie cherubini obracali się w towarzystwie swoich rówieśników. Większość czarnych koszulek miała więcej niż czternaście lat, co często stawiało Laurę – której brakowało dwóch tygodni do trzynastych urodzin – w dość niezręcznej sytuacji. Choć wykorzystywanie własnej wysokiej rangi do przycierania nosa zarozumiałcom sprawiało jej frajdę, czarna koszulka ściągała na nią niechęć starszych agentów, nad którymi górowała szarżą, i niekiedy żałowała, że nie należy do szarych albo granatowych jak wszyscy jej koledzy.

– Nie zimno ci? – zapytał James, patrząc na kuse spodenki gimnastyczne siostry.

– Trochę – skinęła głową Laura. – Masz jakieś pojęcie, po co nas tu przywlekli?

– Ćwiczenia dla wybrańców. Czasem tak robią – wyjaśniła Dana.

– Biorą wszystkie czarne koszulki albo szare, albo dwunastoletnie dziewczyny czy kogokolwiek i urządzają im ćwiczenia, ale za każdym razem inne, więc nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać.

– Wszyscy do mnie! – zawołał pan Pike. – Instruktor Kazakow wyłuszczy wam zasady dzisiejszego ćwiczenia.

Pike był deprymująco wielki, jak każdy ze szkoleniowców w CHERUBIE, ale zawsze starał się być wobec wszystkich w porządku i jego obecność działała na Jamesa krzepiająco, czego nie mógł powiedzieć o Kazakowie, który służył niegdyś w rosyjskich siłach specjalnych i miewał sadystyczne zapędy

– Dotarły do nas skargi! – huknął Rosjanin, tocząc wzrokiem po

gromadzącym się wokół niego tłumku.

James zauważył grupę ośmio- i dziewięcioletnich juniorów w czerwonych koszulkach, którzy wcześniej musieli kryć się za budynkiem. Każdy miał komplet ochroniaczy i kompaktowy karabin przewieszony przez drobne ramię.

– Czarne koszulki! – zawołał Kazakow i splunął pomiędzy swoje znoszone glany radzieckiej armii. – Paradujecie po kampusie z nosami w górze, mając się za przewodników stada. Nadęci jak balony rozstawiacie po kątach czerwonych, szarych i granatowych. Nie przemęczacie się treningami, bo wydaje się wam, że jesteście elitą, która osiągnęła już wszystko. Otóż dziś dostaniecie coś, co należało się wam od dawna: kopa w tyłek. – Kazakow zaczerpnął tchu i po krótkiej pauzie podjął wypowiedź: – Jestem pewien, że poznajecie niektórych z obecnych tu byłych cherubinów. Niektórzy pomagali przy ostatniej sesji szkolenia podstawowego, inni pracują jeszcze w kampusie do rozpoczęcia studiów. Jeszcze inni przyjechali tylko po to, by wziąć udział w tym ćwiczeniu. W sumie zebraliśmy szesnaścioro białych, którzy stawiają czoła szesnaścioru czarnym koszulkom przebywającym obecnie w kampusie.

James nachylił się nad Daną i Laurą.

– Spójrzcie na bebecz Dave'a Mossa – wyszeptał z krzywym uśmiechem. – Pewnie nie przebiegł dziesięciu metrów, odkąd odszedł z CHERUBA. Załatwimy ich bez problemu.

– Co tam mamrocześ, Adams? – zapytał Kazakow, podchodząc do Jamesa. – Też chcielibyśmy usłyszeć.

– Tylko odchrząknąłem, żeby oczyścić gardło, sir – powiedział James, sztywniejąc.

Rosjanin błyskawicznym ruchem objął go ramieniem za szyję i ścisnął.

– A teraz jest czyste?

– Tak jest, sir – skrzeknął James, czując, jak twarz nabiega mu krwią.

Kazakow puścił go i odepchnął od siebie. James zaniósł się kaszlem.

– Żadnego pyskowania! – krzyknął Rosjanin do tłumu cherubinów. – Następna czarna koszulka, która otworzy gębę bez pozwolenia, spędzi najbliższy weekend, zdrapując błoto z mikrobusów własną szczoteczką do zębów, zrozumiano? Zadanie dla czarnych koszulek jest proste. Macie szorty, T-shirty, buty i dostaniecie jeszcze gogle ochronne. Musicie dotrzeć stąd do głównego budynku. Kto znajdzie się w środku, może iść do łóżka i spokojnie przespać resztę nocy. Niestety, białe koszulki będą starały się was powstrzymać. Za każdym razem, kiedy kogoś z was złapią, zakują go w kajdanki i sprowadzą tutaj z powrotem, żeby mógł zacząć od nowa. Biali mają karabiny, po dwieście sztuk amunicji ćwiczebnej na głowę, noktowizory, kompletne zestawy ochraniaczy kuloodpornych, radia, quady, a co najważniejsze, pan Pike i ja będziemy koordynować ich ruchy, mając pełny dostęp do systemów bezpieczeństwa kampusu ze wszystkimi kamerami, czujnikami ciepła i detektorami ruchu. Zaprosiliśmy także garstkę naszych najlepiej strzelających juniorów. Dwa tuziny czerwonych koszulek rozlokowaliśmy w strategicznych punktach na terenie całego kampusu. Nie wolno im łapać was i odstawiać na start, ale będą działać jako zwiadowcy z prawem zastawiania pułapek i oczywiście ostrzeliwania was amunicją ćwiczebną. Ćwiczenie kończy się o siódmej zero zero. Każda czarna koszulka, która do tego czasu nie znajdzie się w głównym budynku, będzie przebiegać dziesięć kilometrów z trzydziestokilogramowym plecakiem przed każdym śniadaniem przez następnych dziesięć dni. Obowiązują standardowe reguły bezpieczeństwa. Jakies pytania?

Gabriella uniosła rękę.

– Proszę pana, ale my nie mamy żadnej ochrony. Czy ta ćwiczebna amunicja nie porozrywa nas na strzępy?

Odpowiedział pan Pike.

– To amunicja trzeciej klasy, o mniejszej energii niż naboje, jakimi niektórzy z was strzelali na poligonie SAS-u podczas ćwiczeń w kompletnych strojach ochronnych. Mimo to trafienie boli jak jasny gwint, dlatego dobrze wam radzę, za wszelką cenę unikajcie kul i noście gogle przez cały czas.

– No dobra! – zawołał Kazakow, idąc wzdłuż szeregu czarnych koszulek z workiem, z którego cherubini wyjmowali gogle. – Na gwizdek możecie wiać. Dam wam czterdzieści sekund, a potem zagwizdę jeszcze raz, a wtedy białe koszulki z juniorami dobiorą się wam do tyłków.

James strzelił paskiem gogli na głowie, a Kazakow uniósł do ust gwizdek i wziął głęboki wdech.

11. KANAŁ

James, Dana i Laura biegli ile sił w nogach. Czterdzieści sekund to bardzo skromne fory, kiedy przeciwnik ma quady rozwijające szybkość sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i broń zdolną zwalić człowieka z nóg z odległości dwustu metrów.

– Mam pomysł – rzuciła Laura w biegu. – Rowy drenażowe! Czyściłam je miesiącami i znam teren jak własną kieszeń. Nikt nie będzie taki chętny gonić nas przez bagno.

– Ale kulawo będzie brodzić w całym tym błocie – powiedział James. – Ja bym tam za bardzo nie kombinował, zasuważmy prosto do domu i miejmy nadzieję, że się nam poszczęści.

– Dorwą nas w dwie sekundy – powiedziała Laura, kręcąc głową.

Troje uciekinierów skręciło ze ścieżki między drzewa i wśród trzasków łamanych gałązek zaczęło przedzierać się przez gęste zarośla. Nie mieli latarek, a milion niewidocznych w mroku rzeczy bezlitośnie kłuło i kaleczyło ich gołe nogi.

Coś trzasnęło w drzewach nad ich głowami i James zaskowytał z bólu.

– Jakiś junior – szepnęła Dana, gdy zanurkowali w krzaki, by skryć się przed strzelcem.

– To na pewno nie było czterdzieści sekund – wypaliła gniewnie

Laura.

Dana pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Jak dorosniesz, to zrozumiesz, że czterdzieści sekund trwa tyle, ile życzy sobie koleś ze spluwą.

James obejrzał ramię. Ćwiczebne pociski wystrzeliwano ze zwyczajnych karabinów, ale zrobione były ze sprasowanego proszku i w kontakcie z celem rozpryskiwały się w pył. Bezpośrednie trafienie bolało jak diabli, ale Jamesowi dopisało szczęście. Pocisk nadleciał pod ostrym kątem i ledwie otarłszy mu się o ramię, odbił się i poleciał w górę między gałęzie.

James i Dana wcisnęli się w szczelinę między dwoma pniami i rozglądali się, próbując dojrzeć, kto do nich strzelał. Biegli już dość długo, by ich wzrok przywykł do mroku, ale snajper wciąż pozostawał niewidzialny wśród koron drzew. Co gorsza, odległe buczenie silników wskazywało, że ścieżką zbliżają się dwa quady.

Kolejny pocisk huknął w pień drzewa, wzbijając w niebo chmurę przerażonych ptaków. James podskoczył ze strachu.

– Ja piernicę – wysyczał z furją. – Już nigdy w życiu nie wyświadczę przysługi instruktorom; mogą zapomnieć!

– To ja się odłączam i idę obczaić kanały – oznajmiła Laura. – Biali działają w parach, a to znaczy, że nie pójda za nami wszystkimi, jeśli się rozdzielimy.

– Może jednak lepiej będzie tamtędy? – zapytała Dana.

James jednak kategorycznie zaprotestował.

– Tam śmierdzi, a robale zżerają człowieka żywcem.

– Dobra, zostanę z Jamesem – westchnęła Dana. – Powodzenia, Laura.

Laura uśmiechnęła się.

– Stawiam funta, że dotrę do domu pierwsza.

Laura zanurkowała w zaroślach. Kiedy ucichł szelest jej kroków, gęstwę rozświetliły na chwilę światła quadów przemykających nieopodal gruntową ścieżką. Wśród drzew pojazdy były

bezużyteczne, więc James i Dana nie byli zaskoczeni, że ścigający ominęli lasek, kierując się w stronę otwartej przestrzeni.

– Dobiorą się nam do tyłków, kiedy spróbujemy przeskoczyć przez boiska – powiedział James.

Ryk silników dał im przynajmniej szansę na wymknięcie się z zarośli tak, by nie usłyszał ich ukryty wśród drzew Snajper.

– Mam nadzieję, że czerwone koszulki nie mają noktowizorów – wyszeptał James.

– Oczywiście, że mają – powiedziała Dana z irytacją. – Myślisz, że jak do nas strzelali w tej ciemności?

*

Pierwszym snajperem nie był chłopiec. Siobhan Platter miała dziewięć lat, a w CHERUBIE spędziła dwa, podczas których dorobiła się dwóch czarnych pasów i dwóch nagród za pierwsze miejsce w turnieju strzeleckim juniorów. Domyślając się, że uciekinierzy będą musieli zboczyć ze ścieżki, zanim dogonią ich quady, ulokowała się w rozwidleniu konarów drzewa pięćdziesiąt metrów od miejsca startu.

Składając się do strzału z uciekającym Jamesem w okularze lunety, miała nadzieję na co najmniej trzy trafienia. Pierwszy pocisk wymierzony w plecy miał powalić go na ziemię. Drugi i trzeci posłałaby wówczas w jego nogi, a wtedy biali, których zawiadomiła przez radio, przy odrobinie szczęścia dopadliby go, zanim zdążyłby rozchodzić ból.

Siobhan nie wzięła jednak pod uwagę wpływu, jaki adrenalina może wyrzucić na pewność ręki strzelca, ani tego, że żywy cel na celowniku potrafi nieźle namieszać w głowie.

Rozczarowana chybieniem Siobhan podśluchiwała Laurę mówiącą, że udaje się w stronę rowów. Samotna dwunastolatka wydała się jej bez porównania atrakcyjniejszym celem niż piętnastoletni James i szesnastoletnia Dana.

Dziewczynka odwiązała uprząż bezpieczeństwa od drzewa,

nasunęła na gogle noktowizor, po czym zsunęła się w dół, by stanąć na grubym konarze. Quady były już blisko; ich ryk dawał Siobhan szansę na zeskoczenie z drzewa tak, by nie usłyszeli jej James i Dana.

Wylądowała na korzeniu. Ciężar karabinu i sprzętu w jej plecaku przygniół ją do ziemi, powalając na kolana i wykrzywiając twarz bólem, ale Siobhan zacisnęła usta i zdusiła jęk.

Na jej szczęście James i Dana byli bardziej zainteresowani szybkim dotarciem do głównego budynku niż pogonią za strzelcem. Siobhan zarzuciła sobie karabin na ramię i szybkim truchtem ruszyła na wschód. W biegu sięgnęła do głowy i przekręciła gałkę z boku gogli, przełączając je z trybu wzmacniania światła szczałkowego na obrazowanie termiczne. Wprawdzie pogorszyło to widoczność otoczenia, ale kamera termowizyjna ujawniała nawet bardzo drobne różnice temperatur, w tym różnicę pomiędzy ciepłą nawierzchnią a nieco chłodniejszą ziemią wydobytą na wierzch przez buty biegnącej Laury.

Nie było łatwo ze względu na gęstą roślinność, ale pomiędzy kępami zarośli dość było odkrytego terenu, by Siobhan nie zgubiła tropu.

– Tu SP – wyszeptała do mikrofonu sterczącego jej przed podbródkiem. – Idę na wschód za Laurą Adams. Chce wykorzystać kanały drenażowe, żeby przejść przez ośrodek szkolenia podstawowego.

Słuchawka odpowiedziała powściągliwym głosem pana Pike'a.

– Dobra robota, Siobhan. Spróbuj trzymać Laurę w zasięgu wzroku, a my zorganizujemy kogoś, kto ją przechwyci, kiedy wyjdzie z drugiej strony ośrodka.

Siobhan pochlebił komplement instruktora, ale po tym jak sknociła łatwy strzał, nie miała najmniejszego zamiaru brnąć za Laurą przez rowy pełne błota tylko po to, by pozwolić komuś innemu zgarnąć całą chwałę.

*

James i Dana musieli znaleźć kompromis pomiędzy ryzykiem a szybkością. W zaroślach było bezpiecznie, ale przedzieranie się przez nie trwało wieki. Z drugiej strony oznaczonymi szlakami bieгло się szybciej, za to prawdopodobieństwo wpadki było tam znacznie większe. Po przepełnieniu pięciuset metrów mieli boleśnie poobcierane kończyny, a Dana była cała uwalana błotem po tym, jak zjechała z jakiejś pochyłości prosto w bagno. W normalnych okolicznościach James nie przepuściłby okazji, by się z niej ponabijać, ale w tamtej chwili był zbyt zmęczony, by myśleć o czymkolwiek poza ciepłą kołderką, pod którą mógłby zwinąć się w kłębek i zasnąć.

– Czerwoni przed nami – wyszeptwała Dana, wyjrzawszy zza krzaka.

Na widok dwóch chłopców stojących na polance w doskonale widocznym miejscu James potrząsnął głową wzgardliwie.

– Jak można być tak durnym? – uśmiechnął się krzywo.

– Mają dwa karabiny, noktowizory i plecaki pełne amunicji – powiedziała Dana. – Z takim sprzętem mielibyśmy znacznie większą szansę na przedostanie się przez otwarty teren.

James przytaknął skinieniem głowy.

– Podkradnijmy się z dwóch stron i weźmy ich w kleszcze.

Trzymając się blisko ziemi, Dana ruszyła w stronę czerwonych koszulek. Jeden z chłopców mówił przez radio, stwarzając wrażenie, że zgubił drogę, ale w chwili, w której James i Dana mieli ruszyć do ataku, chłopcy odwrócili się i pewnym krokiem pomaszerowali wzdłuż ścieżki.

Jako starsi i znacznie potężniejsi od przeciwników James i Dana nie mieli wątpliwości, że dopadną dwóch juniorów, zanim tamci zdążą odwrócić się i strzelić. Nie porozumiewając się ze sobą, wyskoczyli z kryjówek i puścili się sprintem w stronę czerwonych koszulek.

James wypadł na ścieżkę pierwszy, ale w momencie gdy przebiegał między dwoma drzewami, usłyszał piskliwy okrzyk jednego z juniorów:

– Teraz!

Nawet nie zauważył pajęczyny z linek, która wystrzeliła w górę spod ściółki, by zagrodzić mu drogę. Kiedy runął na ziemię, zaplątawszy się w sznurki, Dana wpadła na identyczną zaporę, jaka poderwała się tuż za nim. Dziewczyna boleśnie gruchnęła na pośladki, kiedy oczko siatki złapało ją za stopę i szarpnęło w górę.

– Sieć! – krzyknął James, chwytając za brzegi pułapki i próbując wygramolić się górą.

Podczas gdy James toczył beznadziejną walkę o wolność, sytuacja Dany była o wiele poważniejsza. Wprawdzie nie trafiła do sieci, ale jej but utkwił wśród linek, przez co zawisała do góry nogami, szorując karkiem o ziemię.

– Wyżej! – zawołał młodziutki głos gdzieś w zaroślach.

Mimo ukrytego w koronie drzewa bloczka ułatwiającego podciąganie juniorzy i tak mieli kłopoty z podźwignieniem dwojga rosnących nastolatków.

James zrozumiał, że choć sam poległ, Dana ma jeszcze szansę na ucieczkę. Spróbował okręcić się, by dosięgnąć jej buta. Choć rękami wciąż dotykała ziemi, całym ciężarem ciała wisiała na jednej skrzyśonej kostce i jęczała z bólu za każdym razem, kiedy sieć podrywała ją odrobinę wyżej.

– Trzymaj się – sapnął James, szarpiąc wściekle liny, by uwolnić jej stopę.

Nagle szarpnął się przeszyty spazmem bólu – to jeden z juniorów z polany strzelił mu z dołu w pośladek.

– Odwiąż sznurowadło! – krzyknęła Dana i wrzasnęła, kiedy drugi junior strzelił jej w lewą pierś.

James rozwiązał węzeł na bucie Dany i zaczął luzować sznurowadło. Rozhuśtana sieć podjechała o kolejny metr w górę,

a w następnej chwili kolejny pocisk roztrzaskał mu się na udzie.

Podczas każdych ćwiczeń w CHERUBIE obowiązują pewne podstawowe zasady, a jedna z nich zabrania strzelania do osoby, która została schwytana.

– Jestem jeńcem! – ryknął wzburzony James. – Przestańcie strzelać, palanty!

Trzeci pocisk ugodził go w tyłek.

– Pomagasz innemu uczestnikowi ćwiczeń – zaznaczył jeden z juniorów. – Nie poddałeś się, jak należy.

Jamesa rozjuszył fakt, że gnojek w czerwonej koszulce ciska w niego regulaminem, ale mimo dygocących rąk zdołał w końcu rozsypać sznurowadło Dany na tyle, by jej stopa wysliznęła się z buta.

Dana runęła z wysokości dwóch metrów. Muskularnymi ramionami do pewnego stopnia zdołała zamortyzować upadek, ale głową grzmotnęła o ziemię z taką siłą, że ramka gogli rozdarła jej skórę nad okiem.

Fiknąwszy koziołka, błyskawicznie zerwała się na równe nogi. Dwaj chłopcy, którzy zwabili ich w zasadzkę, oddali w jej stronę tuzin strzałów, ale groźna sylwetka starszej dziewczyny trochę ich speszyła i wszystkie pociski rozbiły się o ziemię lub drzewa. Niestety, trzecia czerwona koszulka strzelająca z tyłu nie dała się zastraszyć i w ciągu niespełna dwóch sekund ulokowała cztery oślepiająco bolesne strzały między łopatkami uciekinierki.

– Jezu... – krzyknęła Dana, padając na twarz.

Odwróciła się i spojrzała w górę na sylwetkę zwiniętego w kłębek Jamesa dyndającego w sieci ponad cztery metry nad ziemią. Chciałaby ruszyć mu z pomocą, ale ze skrecony kostką, w jednym bucie i zasypywana gradem pocisków nie miała żadnych szans.

– Jest ich najmarniej pięcioro! – zawołał James.

Troje zajętych było ostrzeliwaniem Dany, a w krzakach musiało ukrywać się jeszcze co najmniej dwoje podtrzymujących sieć.

Dana była ranna i troje juniorów zapewne zdołaloby ją obezwładnić, ale czerwone koszulki zadowolily się jedn ofiar, wolc nie ryzykować starcia z potężnie zbudowan nastolatk.

Kiedy Dana zniknęła w zaroślach, strzały i krzyki juniorów umilkły. James wisiał wysoko nad ziemi, z obolałym pośladkiem, kołysząc się wśród gałęzi przy wtórze cichego poskrzypywania lin sieci. Dziewczynka, która tak dzielnie się spisała, trafiając Danę w plecy, stanęła pod Jamesem i przemówiła do swojego mikrofonu:

– Do wszystkich białyh, mówi LW. Na naszą miodow przynętę złowiła się jedna wyjątkowo durna pszczołka. Bylibyśmy wdzieczni, gdyby ktoś tu po nią przyjechał.

James był wściekły, że tak łatwo dał się złapać, a słuchanie zniewag z ust dziewięciolatki nie poprawiało mu nastroju.

– Hej, mała! – zawołał. – Tak się składa, że jestem pomocnikiem instruktorów szkolenia, więc lepiej uważaj, co mówisz, bo pewnego dnia wylądujesz na podstawówce, a wtedy twój tyłek będzie należał do mnie.

– Czy ja pytałam cię o zdanie? – Dziewczynka skrzywiła się, po czym uniosła lufę i ukarała jeńca kolejnym strzałem w pośladki.

– Hej! – wydarł się James. – Przestań, dobra?! To zabronione i dobrze o tym wiesz.

Dziewczynka uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Napisz skargę do ONZ.

12. PRZEPRAWA

Siobhan brakowało do dziesiątych urodzin zaledwie kilku tygodni i jeśliby wszystko poszło dobrze, miała zostać pełnoprawną agentką jeszcze przed Gwiazdką. Była odważna i wysportowana, ale także o całe trzy lata młodsza od Laury, co nieuchronnie czyniło ją powolniejszą.

Uniosła noktowizyjną nakładkę na gogle i zdumiała się, odkrywając na nowo, jak bardzo jest ciemno. Księżyc nie było, zaś najbliższe źródło sztucznego światła jarzyło się daleko w dole, za półkilometrowym pasem drzew.

Dziewczynka kliknęła przyciskiem nadawania.

– Baza, tu SP – wyszeptała do mikrofonu. – Jestem na wzgórzu, dwieście metrów od tylnej granicy ośrodka szkolenia, ale zdaje się, że zgubiłam Laurę Adams. Macie tu jakieś czujniki albo kamery, żeby mnie pokierować?

W słuchawce rozległ się głos Kazakowa.

– Mam twoją pozycję na satelicie. Zobaczę, co się da zrobić, i zaraz się odezwę.

Siobhan opuściła noktowizor na gogle i rozejrzała się, czekając na odpowiedź, ale zanim się doczekała, usłyszała mokre pluśnięcie, jakby ktoś wskoczył do rowu mniej niż dwadzieścia metrów przed

nią. Wprawdzie podejrzewała, że Laura jest już daleko, ale nie było wykluczone, że w okolicę zapuściła się inna czarna koszulka.

Suche liście i gałązki trzaskały jej pod stopami, ale nawet przez termowizor ustawiony na najwyższą czułość przy brzegach kanału nie było widać żadnych śladów świeżo poruszonej ziemi.

Z bronią gotową do strzału obróciła się w lewo i w prawo, poszukując celu. Od kilku dni nie padało i woda w rowach tęchła już na tyle długo, by z pływających w niej kokonów zaczęły wykluwać się insekty. Gdy jeden wylądował dziewczynie na nosie, nerwowym ruchem zgmiotła go, a potem strąciła palcem na ziemię.

Siobhan nie znosiła owadów ani zapachu stęchlizny. Pomysł ścigania Laury przez najbardziej niegościnną część kampusu nie był nawet w części tak wyborny, jakim wydawał się zaledwie kwadrans wcześniej. Już miała się wycofać, kiedy w uchu zatrzeszczał jej głos Kazakowa.

Sprawdziłem odczyty czujników i system detekcji ruchu namierzył kogoś niedaleko twojej pozycji niecałą minutę temu. Lepiej się rozejrzyj.

– Okej – powiedziała Siobhan nerwowo. – Zrobi się.

Wystraszyła się nie na żarty. To było niemożliwe; nikt nie był w stanie poruszać się, nie naruszając gruntu i nie zostawiając termicznego tropu. Świadomość upiornej obecności przejęła ją dreszczem.

Plasnawszy kolejnego komara wędrującego po grzbiecie jej dłoni, podeszła do samej krawędzi kanału i przykucnęła nad wodą. Nagle usłyszała chlupnięcie i zanim się obejrzała, coś złapało ją za kostkę. Jej but zaczął ześlizgiwać się po pochyłym brzegu.

Kopała, wiła się i wpijała paznokciami w błoto, ale jej przeciwnik był zbyt silny i w ciągu kilku chwil wciągnął ją do lodowatej wody. Przejmująco zimne dłonie zacisnęły się na jej karku i brutalnie wcisnęły głowę w błotnisty odmęt, by przytrzymać tam przez dobrych kilka sekund.

– Bo widzisz, jest powód, dla którego nie warto ze mną zadzierać – zawarczała Laura w twarz przerażonej dziewczyny łapiącej powietrze panicznymi haustami. – Ja noszę czarną koszulkę, a ty tylko czerwoną. Trzeba było zostać przy dłubaniu w nosie i malowaniu palcami po ścianach.

Laura pchnęła Siobhan na brzeg, wtłoczyła jej twarz w cuchnący muł, po czym szarpnięciem znów przyciągnęła do siebie.

– Podoba ci się, czerwona małpo? – wysyczała.

Laura, która w ramach kary spędziła kiedyś trzy miesiące na czyszczeniu kanałów, była uodporniona na smród, ale dla Siobhan było to nowe doświadczenie. Dziewczynka zaszlochała, a z ust pociekła jej brudna woda.

– Biedna mała czerwona koszulka – szydziła Laura. – Zatęskniłeś za swoim pluszowym misiem, Siobhan? Masz prawie dziesięć lat. Jeśli płaczesz z powodu czegoś takiego, to na podstawówce nie przeżyjesz nawet jednego dnia.

Siobhan załkała głośniej i Laurę ukłuło poczucie winy. Była zła, bo wywleczono ją z ciepłego łóżka i zawieziono na drugi koniec kampusu, by potraktować jak zwierzynę łowną. Nic z tego nie było winą Siobhan, ale fajnie było mieć kogoś, na kim można było wyładować frustrację.

– Oddawaj sprzęt – powiedziała Laura, zrywając z ucha Siobhan słuchawkę z mikrofonem. – Noktowizor, plecak, broń i amunicja.

Niestety, słuchawka nie zniosła zbyt dobrze kąpieli, co bardzo rozczarowało Laurę, która miała nadzieję, że podsłuchując wymianę komunikatów pomiędzy instruktorami i białymi, uzyska cenne informacje.

Siobhan przetarła oczy pięściami. Kiedy zdołała je otworzyć, zdumiała się na widok Laury w samej bieliźnie i butach, z twarzą wysmarowaną błotem. Agentka zabezpieczyła ubranie przed wodą w porzuconej przez ogrodnika torbie foliowej, którą szczęśliwym trafem udało się jej znaleźć. Błoto na twarzy pełniło funkcję

kamuflażu oraz obniżało temperaturę skóry, czyniąc dziewczynę trudniejszą do wypatrzenia przez kamery termowizyjne.

Laura wepchnęła suche ubranie do plecaka zawierającego już zapas amunicji. Sprawdziła też karabin i gogle noktowizyjne; obie rzeczy przetrwały bez szwanku spotkanie z błotem i wodą.

– Co ja mam teraz zrobić? – załkała dziewięciolatka.

Laura cmoknęła z niesmakiem, czerwonych koszulek nie zmuszano do udziału w ćwiczeniach.

– Zgłosiłaś się na ochotnika, tak? No to czego ryczysz?

– Ja...

Na twoim miejscu zasuwałabym teraz do bloku juniorów, żeby nie zamarznąć na śmierć w tych mokrych ciuchach – powiedziała Laura.

– Dobrze – siąknęła Siobhan, po czym wydlubała w błotnistej skarpie wgłębienie na stopę i uchwyciwszy sterczący w górze korzeń drzewa, podciągnęła się na brzeg rowu.

Laura odwróciła się i rozpoczęła mozolną wędrówkę przez kanał, w samej bieliźnie i glanach, balansując zarzuconym na ramię karabinem tuż nad powierzchnią wody. Była podenerwowana i brnąć przez szarą breję, mamrotała pod nosem z irytacją:

– Co za głupi dzieciak zgłasza się na ochotnika na ćwiczenia, żeby potem załamać się tylko dlatego, że ktoś wsadził mu do wody ten głupi łeb? Mieszka w kampusie od dwóch lat; już dawno powinna skumać, jak to działa.

Laura zgadzała się z każdym swoim słowem, co jednak nie przynosiło jej ulgi. Żadna argumentacja nie mogła sprawić, by uznała, że doprowadzenie do płaczu dziewięcioletniej dziewczynki jest w porządku.

*

W jednym bucie biegło się koślawo, ale Dana nie chciała go zdjąć, bo wtedy przemarzłyby jej dwie stopy zamiast jednej, zaś ryzyko zranienia na cierniu lub rozbitej butelce zwiększyłyby się

dwukrotnie. Rozważyła pomysł poddania się, by móc zacząć jeszcze raz razem z Jamesem, jednak jak dotąd wszystko wskazywało na to, że założenia Laury były słuszne: czerwone i białe koszulki działały w zespołach po dwie i więcej osób, co oznaczało, że nie są w stanie tropić wszystkich uciekinierów. Przy odrobinie szczęścia...

Znalazła starą dróżkę poprzecinaną tu i ówdzie kłodami i rowami z wodą. Był to rodzaj ścieżki zdrowia dla młodszych juniorów i nowo przybyłych, wymagających łagodnego wprowadzenia w treningi na torach przeszkód.

Obranie tak oczywistej drogi wiązało się z ryzykiem, ale biegła tak szybko, jak tylko pozwalała jej ciemność i bosa stopa. Dziesięć minut po wpadce Jamesa dotarła na szczyt kopca, skąd rozciągał się widok na łąki otaczające kampusowe jezioro oraz boiska sportowe za nimi.

Było tu jaśniej. W CHERUBIE obowiązywały zasady oszczędzania energii, ale w niektórych szatniach pozostawiono włączone światło, a jezioro otaczały oświetlone budki ze sprzętem ratunkowym i telefonami alarmowymi.

Dana ukryła się za ostatnim szeregiem drzew. W zasięgu wzroku nie było żadnych białych koszulek, ale wiedziała, że tam są, czają się rozplaszczeni na dachach, gotowi zasypać ją pociskami, a potem rzucić do akcji zespoły quadów, by ją przechwyciły.

Pomyślała o swoim wyszkoleniu. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to zasady walki miejskiej, jakich nauczyła się podczas ćwiczeń na poligonie SAS-u: trzymać się nisko, poruszać od budynku do budynku i pilnować, by czas wystawienia na ogień wroga był jak najkrótszy. Kłopot polegał na tym, że inaczej niż na poligonie do walk ulicznych, gdzie próżno szukać otwartych przestrzeni szerszych od czteropasmowej jezdni, w kampusie CHERUBA odległości pomiędzy zabudowaniami sięgały kilkuset metrów. Z drugiej strony Dana i tak nie miała wyboru. Wstała i zlustrowała wzrokiem kępę drzew na górze, w połowie drogi

pomiędzy krawędzią lasu a wodą. Za drzewami była wiata i plażowa szatnia nad jeziorem. A może udałoby się przepłynąć jezioro? Do drugiego brzegu było dość daleko, ale w ciemności nie byłoby jej widać, a po drugiej stronie wylądowałyby zaledwie pięćdziesiąt metrów od tylnej ściany dojo.

Dana padła na ziemię i poczołgała się przez wysoką trawę najszybciej, jak potrafiła. Pokonawszy trzydzieści metrów, uznała, że może bezpiecznie wstać i puścić się biegiem. Nie mogła wiedzieć, że choć nikt jej nie zauważył, wykrył ją czujnik ruchu na skraju lasu, i Kazakow zawiadomił już wszystkie białe koszulki. Mijając kępę drzew na wzniesieniu, Dana usłyszała dźwięk silników.

– Szit!

Trzy pojazdy wypadły spomiędzy drzew i rycząc, pomknęły w dół pochyłości, trzymając swoją ofiarę w snopach reflektorów. Dana puściła się szalonym sprintem w stronę jeziora, ale quady osiągały grubo ponad sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Nie miała najmniejszych szans.

Znalazła się w pułapce, na ziemi niczyjej, w połowie drogi pomiędzy jeziorem a lasem, z trzema quadami ustawionymi w trójkąt wokół niej. Potrącenie przez quad może zabić, dlatego białe koszulki otrzymały surowy zakaz używania ich jako broni ofensywnej. Troje jeźdźców zbliżało się powoli z karabinami gotowymi do strzału.

– Uklęknij i połóż ręce na głowie! – zawołał Dave Moss, stojąc na podnóżkach swojego pojazdu.

Dana pomyślała o ucieczce. Pewnie by nawet spróbowała, gdyby od głównego budynku dzieliło ją sto metrów, a nie ponad kilometr. W otwartym terenie nie miała żadnej realnej możliwości wymknienia się trzem uzbrojonym przeciwnikom na quadach.

Kiedy uklękła z rękami w górze, dziewczyna, która nadjechała od strony jeziora, rzuciła jej parę kajdanek.

– Wiesz, co robić, Dana – powiedziała spokojnie. – Żadnych

gwałtownych ruchów, bo odstrzelimy ci czaszkę.

13. POWTÓRKA

Laura nie mogła nazwać swojej wędrówki przyjemną, ale zgodnie z jej przewidywaniami nikomu nie chciało się ścigać jej przez błoto. Rowy były pełne przyniesionych wraz z mułem śmieci i gałęzi, przez co nie można było iść przez nie boso. Kiedy Laura wygramoliła się na brzeg w pobliżu zachodniej granicy ośrodka szkolenia, jej pierwszym zadaniem było zdjęcie butów i wylanie z nich wody.

Boso podbiegła do szopy magazynowej i pod kranem przy ścianie zmyła z siebie większość błota i kolekcję chrząszczy. Twarz celowo pozostawiła brudną, by jej blada skóra nie świeciła w ciemności. Przetarłszy suchą koszulką gogle z noktowizorem, założyła je na głowę, a na nogi wciągnęła szorty.

Rozejrzała się dla pewności, że nikt jej nie śledzi, po czym, przygięta do ziemi, ruszyła po suchym gruncie, niepokojąc się głośnym plaskaniem jej przesiąkniętych wodą gładów. Podejrzewała, że ktoś z białych może pilnować wejścia do ośrodka szkolenia, oraz wiedziała na pewno, że centralna część ośrodka jest usiana kamerami. Na szczęście jeszcze z czasów odmulania kanałów pamiętała o rzadko używanej bocznej bramce wychodzącej na zarośla pod napowietrznym torem przeszkód, gdzie cherubini

uczyli się przewycięzać lęk wysokości.

Poruszała się szybko, z noktowizorem na oczach i plecakiem Siobhan na ramionach. Ale nawet ze zdobycznym sprzętem nie szacowała zbyt wysoko swoich szans na pokonanie otwartego terenu pomiędzy lasem a głównym budynkiem pieszo.

Oczywistym rozwiązaniem było porwanie jednego z kampusowych wózków golfowych. Biali mogli do niej strzelać, ale doprowadzanie do kolizji, niebezpieczne i grożące kosztownymi uszkodzeniami, było zabronione. Gdyby zdobyła wózek, mogłaby dojechać nim pod same drzwi głównego budynku, pod warunkiem że sama nie oberwie dość mocno, by wypaść z kabiny.

Po kampusie jeździły dwa tuziny elektrycznych samochodzików golfowych służących personelowi do szybkiego przemieszczania się między odległymi miejscami. Dzieciom wolno było z nich korzystać wyłącznie w wyjątkowych okolicznościach, na przykład kiedy trzeba było przewieźć rannego albo ładunek był zbyt ciężki, by go nieść.

Laura miała nadzieję, że przynajmniej jeden wózek będzie zaparkowany za magazynem ogrodników, ale wiązały się z tym dwa problemy. Po pierwsze, personel rzadko zwracał uwagę, kto używa wózków do czego, i zgodnie z prawem Murphy'ego, zawsze kiedy naprawdę potrzebowało się pojazdu, wszystkie były akurat po drugiej stronie kampusu. Po drugie, przeciwnik z pewnością doceniał wartość wózków w tym ćwiczeniu, zatem nawet jeśliby jakiś znalazła, to prawdopodobnie w komplecie z gromadą czerwonych i białych koszulek czyhających na nią w zasadzce.

Laura podpełzła do wąskiej wybetonowanej alejki na tyłach magazynu i wytknąwszy głowę z zarośli, uśmiechnęła się szeroko na widok elektrycznego pick-upa ze skrzynią ładunkową, jednego z dużych pojazdów, jakich używały ekipy naprawcze.

Przed wyjściem na otwartą przestrzeń zwiększyła czułość noktowizora i starannie zlustrowała otoczenie, po czym kliknęła

przełącznikiem i powtórzyła oględziny w trybie termowizyjnym. Po obu stronach alejki widniało kilka odcisków butów, ale ślady były małe i rozstawione w dużych odstępach, co sugerowało raczej parę biegnących juniorów niż celowe ruchy kogoś zastawiającego pułapkę.

Laura wstała z plaśnięciem mokrych butów. Schylając się jak najniżej, okrążyła wózek od tyłu, wyrwała z gniazdka wtyczkę ładowarki i wskoczyła na miejsce kierowcy. W nozdrza wdarł się jej fetor zepsutego jedzenia i z trudem opanowała mdłości, kiedy zerknąwszy za siebie, ujrzała tysiące much imprezujących na obierkach od pomarańczy i spleśniałym chlebie. Wyglądało na to, że wózek służył do wywożenia śmieci, ale nikt nie zadał sobie trudu, żeby opłukać go wodą z węża, kiedy jeden z worków pękł.

Jakkolwiek pachniał, był to środek lokomocji. Laura zwolniła hamulec ręczny i wdusiła pedał przyspiesznika. Wózek szarpnął do przodu, ale silnik natychmiast umilkł i pojazd potoczył się niemrawo siłą rozpędu, by znieruchomieć niecały metr od miejsca startu.

– Kuźwa! – wypaliła Laura, ze złością waląc pięściami w kierownicę.

Wózek mógł być uszkodzony, ale było bardziej prawdopodobne, że unieruchomiły go białe koszulki, a to oznaczało, że nawet jeżeli znajdzie inny pojazd, będzie on najprawdopodobniej w takim samym stanie.

Stojąc tuż przy magazynie narzędzi ogrodniczych, Laura pomyślała o porwaniu jednej z samobieżnych kosiarek, ale ich prędkość maksymalna nie przekraczała ośmiu kilometrów na godzinę, a poza tym, choć staranowanie wózka golfowego quadem byłoby poważnym naruszeniem regulaminu, to nie istniał żaden przepis zabraniający białym podjechania z boku do sunącej niemrawo kosiarki i strącenia szofera na ziemię.

Wiedząc, że tkwiąc w wózku, wystawia się na strzał i naraża na

zauważenie przez kamery, Laura zanurkowała w zaroślach i odczołgała się o pięćdziesiąt metrów, lądując pod jedną z sieci ochronnych napowietrznego toru przeszkód.

– No, czego cię uczyli na szkoleniach? – wyszeptała do siebie, trąc czoło palcami. – Myśl, myśl, myśl...

Perspektywa wyścigu z quadami na otwartym terenie nie wywoływała jej zachwytu. Z drugiej strony, poruszając się kanałami i przecinając ośrodek szkolenia, znalazła się na przeciwległym końcu kampusu, daleko od innych czarnych koszulek, a to dawało jej pewną szansę. W dodatku obszar ten był gęściej zabudowany niż okolice jeziora.

Laura zaczęła analizować w myśli kolejne etapy swej drogi. Najpierw musiała przebiec dwieście metrów na otwartej przestrzeni i pierwszym budynkiem, za jakim mogła się znów ukryć, była hala warsztatów samochodowych.

Na ubłoconą twarz Laury wypłynął błogi uśmiech, kiedy przypomniła sobie poprzedni wieczór i wyścigowy gokart Jamesa.

*

Białym nie było spieszno do ratowania Jamesa z sieci, a kiedy już przyjechali, McEwen nie zawracał sobie głowy delikatnym opuszczaniem go na ziemię.

– Wstawaj, ty robaczywa torbo flaków! – krzyknął, wymierzając jeńcowi potężnego kopniaka w miejsce, w którym kończą się plecy.

– Hej, jest regulamin! – wrzasnął James. – Nie wolno ci mnie kopać.

– Powiedz to komuś, kogo to dziarga. – McEwen wyszczerzył złośliwie zęby, kierując lufę w jądra ofiary. – Ruchy, leszczu.

Przez opóźnienie w zdjęciu Jamesa z drzewa Dana znalazła się w punkcie startu wcześniej od niego. James cmoknął ją w policzek, po czym wręczył zgubiony but.

– Jak sytuacja? – zapytał, rozglądając się.

Otaczała ich grupa czarnych koszulek szykujących się do

ponownego startu. Instruktorzy Kazakow i Pike czuwali nad przebiegiem polowania z ciepłego wnętrza posterunku.

– Gówniana jak hot dog z psim klokiem – oznajmiła Dana. – Co najmniej połowa z nas już raz dała się złapać, zdaje się, że kilkoro innych przygwoździli ogniem juniorzy, i nie słyszałam o nikim, kto na łąkach przebiegłby więcej niż kilkaset metrów. Mają tam co najmniej dziesięć quadów, a na skraju lasu rozstawili juniorów, żeby robili za zwiadowców i strzelców wyborowych. Sześcioro czarnych ruszyło kilka minut temu, ale wiedziałam, że zaraz cię przywiozą, więc powiedziałam, że poczekam.

– Myślisz, że większa grupa miałyby jakieś szanse? – zapytał James. – Możemy poczekać, aż zbierze się więcej osób.

Dana uniosła brew.

– Przypuszczam, że gdyby ruszyli wszyscy naraz, to choć większość by wyłapali, jedna czy dwie osoby mogłyby się przedrzeć. Jednak z czasem będzie coraz trudniej. Jak ludzie zaczną uciekać, będzie coraz więcej myśliwych i coraz mniej celów.

– Rozumiem – pokiwał głową James.

– Jedyna dobra wiadomość jest taka, że kilka czerwonych koszulek straciło sprzęt, a dwoje innych potrafił quad, więc tym razem będzie w nas celowało mniej luf.

– A Laura? – zapytał James. – Wyczaili ją?

– Nic o tym nie wiem – odpowiedziała Dana, patrząc na zegarek.

– Ale droga przez kanały musiała jej zająć trochę czasu. Myślę, że dopiero co dotarła do odkrytych terenów.

– Bez sprzętu nie ma sensu rzucać się na otwartą przestrzeń – powiedział James z rezygnacją w głosie. – Jedyne sposoby to urządzić zasadzkę i kogoś ograbić.

Dana pokiwała głową.

– Zwabić jeden z quadów i zrzucić kierowcę. Ale nie będzie łatwo. Tak szybko wyłapali tyle czarnych, że teraz wszyscy będą próbować tej samej taktyki.

– Ruszajmy, nie ma sensu tu sterczeć – powiedział James, a Dana przytaknęła skinieniem głowy.

Podeszli do Jennie Ross, dziewczyny w białej koszulce, która stała na skraju polany z podkładką do pisania w ręce i długopisem za uchem.

– Gotowi do następnej próby? – zapytała pogodnie Jennie. – Za moich czasów agenci byli ulepiani z twardszej gliny.

– Szkoda, że laski były o wiele brzydsze – uśmiechnął się krzywo James.

Jennie wyjęła gwizdek z kieszeni kurtki.

– Od sygnału macie czterdzieści sekund nietykalności – oznajmiła, po czym odwróciła się i zawołała w stronę drzew: – Kolejna parka frajerów na odstrzał. Na mój znak!

14. PODSTĘP

Klasnął wystrzał i metr za Laurą poderwał się w górę obłok pyłu. Gdy zanurkowała za rząd krzaków, drugi pocisk rozprysnął się na wzmocnionej pięcie jej glana. Ostrożnie uniosła głowę i spojrzała pomiędzy gałęziami. Noktowizor wydobywał z mroku sylwetkę jednego juniora z karabinem leżącego plackiem na dachu warsztatu.

W pierwszym odruchu chciała odpowiedzieć ogniem, ale dwie rzeczy dawały jej przeciwnikowi znaczącą przewagę: kuloodporny strój i radio, przez które mógł wezwać posiłki. Dlatego zawołała do niego, starając się, by jej głos brzmiał dziecinnie:

– Nie strzelaj! – zapiszczała. – Jestem zwiadowcą, tylko że radio mi padło.

Patrzyła, jak chłopiec rozgląda się podejrzliwie i podnosi dłoń.

– Ile palców pokazuję? – zapytał.

Laura uśmiechnęła się. Dzieciak nie wziął pod uwagę, że ktoś mógł odebrać noktowizor innej czerwonej koszulce.

– Trzy palce! – zawołała, wstając i machając przyjaźnie ręką.

Choć była najdrobniejszą czarną koszulką w kampusie, wciąż przerastała każdego juniora i mogła mieć tylko nadzieję, że chłopiec nie zorientuje się przedwcześnie.

– Co się stało z twoim radiem? – zapytał junior. Wpadłam do

rowu i mi się zmoczyło – wyjaśniła Laura, podbiegając do ściany budynku.

Teraz nawet gdyby chłopak zorientował się, z kim ma do czynienia, musiałby wychylić się niebezpiecznie za rynnę, żeby oddać strzał.

– Mówili coś ciekawego przez radio? – zapytała Laura. – Spotkałeś jakichś czarnych?

– Coś ty? – prychnął junior tonem zdradzającym rozżalenie. – Tu jest po prostu pustynia. Posadzili mnie tutaj, żebym wypatrywał tych, którzy przechodzą przez ośrodek szkolenia, ale cała akcja dzieje się po drugiej stronie kampusu.

– U mnie to samo – powiedziała Laura. – Nikt się nie trafił. więc pomyślałam, że sama poszukam czegoś do roboty. Idziesz ze mną?

Snajper przerzucił nogi za krawędź dachu i zeskoczył na ziemię, ale zanim odzyskał równowagę, Laura odwinęła się i poczęstowała go dzikim kopniakiem w brzuch. Chłopiec z jękiem zgiął się wpół.

– A tak w ogóle to kłamałam – uśmiechnęła się Laura, po czym fachowym podcięciem powaliła juniora na brzuch i przydusiła go do żwiru.

Chłopiec przeklinał swojego pecha. Dał się podejść tylko dlatego, że głos dziewczyny brzmiał znajomo, ale nie była to żadna ze znanych mu czerwonych koszulek, tylko starsza agentka, która pomagała maluchom z bloku juniorów. Szarpnął się desperacko, próbując sięgnąć do przycisku nadawania, ale Laura zerwała mu słuchawkę z głowy, a potem wcisnęła czubek łokcia w tył szyi. Ostre kamyki boleśnie wpiły mu się w skórę na twarzy.

– I jak, zadowolony, że zgłosiłeś się do zabawy? – zaszydziła Laura. – Oddawaj kurtkę, amunicję i całą resztę, a potem lepiej zmykaj do bloku juniorów, bo jak jeszcze raz zobaczę dziś twój pysk, to mogę już nie być taka sympatyczna. Dzieciak zachrząścił żwirem, próbując kiwnąć głową.

– Okej – wykrztusił.

Ograbiwszy małego ze sprzętu i posławszy do diabła, Laura dopasowała sobie jego słuchawkę, by móc podsłuchiwać rozmowy w eterze, po czym wcisnęła się w przymałą kurtkę chłopca. Wprawdzie nie zdołała się dopiąć, a rękawy ledwie sięgały jej za łokcie, ale kurtka miała futrzaną podszewkę i wspaniale było okryć się czymś ciepłym.

Choć chłopiec przyrzekł, że będzie milczał jak grób, Laura wiedziała, że mały jest zły i prawdopodobnie spróbuje zameldować komuś o tym, co mu się przytrafiło. Musiała się spieszyć, z tym większą ulgą zatem stwierdziła, że drzwi warsztatu nie są zamknięte na klucz. Nie żeby było w tym coś dziwnego. W kampusie nie było złodziei z zewnątrz, a niesforni cherubini wiedzieli, że w razie próby podwędzenia czegokolwiek zdemaskują ich kamery nadzoru.

Laura minęła wypalony wrak gokarta Shakeela. Robił żałosne wrażenie, stojąc na nagich felgach i rozsiewając ledwie uchwytny swąd spalonego plastiku. Pojazd drużyny Jamesa był zaparkowany pod ścianą z przodu. Ku wielkiej uldze Laury nie rozebrano go po wyścigu.

Włączywszy lampę nad stołem warsztatowym, by cokolwiek widzieć, Laura odszukała włącznik elektrycznej bramy. Podczas gdy aluminiowy panel odsuwał się hałaśliwie na bok, wcisnęła guzik rozrusznika i motocyklowy silnik ocknął się z głośnym warkotem.

*

Laura nauczyła się prowadzić, gdy miała dziesięć lat, i co miesiąc zaliczała co najmniej godzinę obowiązkowej jazdy doszkalającej. CHERUB nie zachęcał agentów do rozbijania się samochodami dla frajdy, ale prowadzenie pojazdów mechanicznych było ważną umiejętnością, jaka większości agentów prędzej czy później przydawała się, gdy trzeba było ratować skórę w sytuacji podbramkowej.

Flota samochodowa CHERUBA składała się z rozmaitych

pojazdów i Laura siedziała już za kierownicą wszystkiego – od mercedesów i rangę roverów po skutery i małeństwa w rodzaju Mini. Bez względu na dzielące je różnice wszystkie miały jedną cechę wspólną: firmy, które je zbudowały, zainwestowały krocie w takie ich zaprojektowanie, by wszystkie komponenty współdziałały jak należy i nie stwarzały zagrożenia dla ludzi.

Teraz dla odmiany Laura musiała poprowadzić wózek golfowy przerobiony domowym sposobem przez jej narwanego brata i jego trzech koleżków. Pedał gazu nie znosił brutalnego traktowania i każdy ruch gwałtowniejszy od delikatnego muśnięcia powodował wściekłe buksowanie tylnych kół. Hamulce przystosowano do statecznej jazdy po polu golfowym i Laura przeżyła chwilę grozy, gdy wcisnęła pedał po raz pierwszy i przez prawie sekundę nic się nie działo, po czym, kiedy wdepnęła mocniej, złapały podrasowane hamulce tylne, syjąc iskrami z tarcz i ciskając ją brutalnie na kierownicę.

Ale najbardziej zdradliwym elementem jazdy było skręcanie kojarzące się Laurze z opętającymi gonitwami Klopsa, który ścigając piłkę w kuchni Zary, obtłukiwał zadkiem wszystkie szafki. Jednak mimo wszystkich wad gokart Jamesa mógł zawieźć ją do domu, a opanowawszy z grubsza jego narowy, Laura przekonała się, że jest także całkiem szybki.

Nie chcąc ryzykować kraksy, Laura utrzymywała umiarkowane tempo, czego dodatkową zaletą było to, że ryk silnika nie zagłuszał radia, przez które słuchała wymiany komunikatów pomiędzy czerwonymi i białymi koszulkami a instruktorami.

Dla czarnej koszulki była to przygnębiająca audycja. W ciągu trzech minut Laura dowiedziała się o schwytaniu Kerry, Gabrielli i dwojga innych agentów oraz o tym, że kolejna grupa myśliwych czai się w zasadzce na sześcioro czarnych, którzy wyruszyli przed Jamesem i Daną. Kazakow mówił takim tonem, jakby świetnie się bawił, i kilka razy pochwalił swój zespół za utrzymanie czystego

konta, co znaczyło, że jeszcze nikomu nie udało się dotrzeć do głównego budynku.

Laura była pewna, że dotrze tam pierwsza. Sunęła alejką obok boisk do rugby, gdzie tylko korty tenisowe dzieliły ją od tylnej strony głównego budynku. Za dwie minuty będzie w środku, za kwadrans, wykąpana i odprężona, otuli się ciepłą kołdrą we własnym łóżku!

W słuchawce rozległ się pełen ekscytacji okrzyk. Laura rozpoznała głos czerwonej koszulki, niejkiej Ryan Smythe.

– Widzę Jamesa Adamsa i Danę Smith w lesie przy jeziorze! Mogę strzelać, jeśli chcecie.

– Na razie się wstrzymaj – odpowiedział spokojnie pan Pike. – Czy mamy kogoś wolnego, kto mógłby ich przechwycić?

Słuchawka przemówiła głosem McEwena.

– Już raz przechwyciłem tego palanta i chętnie zrobię to jeszcze raz. Mam quad i jeździ ze mną Dave Moss.

– Okej – powiedział Pike. – Ryan, miej oko na czarnych i melduj o każdym ich ruchu.

Laure ukuła nieprzyjemna myśl: jeżeli wszystkie wózki elektryczne były unieruchomione, to ona dysponowała jedynym sprzętem umożliwiającym prześcignięcie białych na quadach. James był jej bratem i jakaś część jej duszy rwała się, by ruszyć mu z pomocą. Z drugiej strony był także głupkiem, który wcześniej tego wieczoru uderzył ją piłką, która pozostawiła jej na plecach wielki czerwony ślad.

Serce zabiło jej mocniej i Laura wcisnęła hamulec, by zatrzymać się niecałe sto metrów od głównego budynku. Czy naprawdę miała ochotę podejmować tak wielkie ryzyko tylko po to, by zgrywać bohaterkę? Czy James zrobiłby to samo dla niej, gdyby zamienili się rolami? Chciałaby wierzyć, że tak, ale nie była przekonana.

Spojrzała na wskaźnik ilości paliwa przyklejony przyklepcem do tablicy rozdzielczej. Po trosze liczyła na to, że wskazówka pokaże

zero, ale zapas wynosił trzy czwarte baku.

– Nie wierzę, że to robię – jęknęła, a potem zakręciła kierownicą i wcisnęła stopą pedał gazu. Zapiszczały gumy; gokart gwałtownie zarzucił tyłem, odwracając się o sto osiemdziesiąt stopni i omal nie wyrzucając Laury z kabiny.

Jej pojazd górował szybkością nad quadami, ale te miały napęd na obie osie i terenowe opony przystosowane do jazdy po błocie i stromiznach. Wózek golfowy, ze swoim niziutkim zawieszeniem i tycimi kółkami, z trudem tolerował teren minimalnie trudniejszy od płaskich alejek i skoszonych trawników.

Pognała na złamanie karku, wciąż nie mogąc uwierzyć że jest aż tak miła. Pół kilometra dalej zaniepokoiły ją sylwetki dwóch quadów na szczycie wzgórza, ale jeźdźcy nie ruszyli w pogoń. Oddalała się od głównego budynku, więc pewnie wzięli ją za kogoś z personelu.

Sądząc po ożywionym ruchu w eterze, w lesie wybuchło potężne zamieszanie. Grupa sześciorga czarnych koszulek zdobyła trochę broni i uwikłała się w wymianę ognia z białymi i czerwonymi. Zespoły białych szykowały się do osaczenia uciekinierów i Laura pomyślała, że nie zaszkodzi spróbować pomóc kolegom.

– Wcisnęła przycisk nadawania i przemówiła do mikrofonu, celowo mówiąc cicho, żeby utrudnić rozpoznanie jej głosu.

– Jestem po zachodniej stronie – skłamała. – Piątka czarnych właśnie wyszła przez frontową bramę ośrodka szkolenia. Potrzebuję natychmiastowej pomocy.

– Powtórz, kto mówi i gdzie jesteś – polecił Kazakow.

– Baza? Sorry, nic nie rozumiem... Słaby odbiór... Nausznik wpadł mi do wody i coś się w nim porobiło. Powtarzam: jestem blisko wejścia do ośrodka szkolenia. Widzę pięć czarnych koszulek. Idą tu! Jestem sama i nie dam rady ich załatwić. Przyślijcie pomoc!

Kazakow zaczął panikować.

– Do wszystkich zespołów patrolujących jezioro: jazda na zachód

i przystąpić do przechwycenia przy wejściu ośrodka szkolenia. Do wszystkich zespołów ubezpieczających tyły: przesunąć się naprzód do jeziora. I żeby nikt mi się nie prześlizgnął, bo za wami nie będzie już nikogo, rozumiano?

Laura uśmiechnęła się z satysfakcją, kiedy w słuchawce zagdakał chór gorliwych: „Tak jest” i „Zrozumiałem”. Dwa quady, które minęła kilka chwil wcześniej, zawróciły z rykiem w stronę jeziora, zaś w oddali rozległo się buczenie całej floty pojazdów pędzących w stronę ośrodka szkolenia. Laura była zadowolona, choć wiedziała, że jeśli po takim numerze złapie ją któryś z mniej zrównoważonych białych, jak choćby psychopata McEwen, to skopie jej tyłek, nie bacząc na to, czy jest to wbrew przepisom, czy nie.

Po kolejnych dwóch minutach zostawiła za sobą ostatnie boisko do piłki nożnej. Skręciła w prawo i pognęła szlakiem biegnącym w stronę jeziora, przez cały czas próbując wyrzucić z pamięci natrętną myśl, że o tej porze mogła być już w łóżku.

15. JEZIORO

James i Dana przykucnęli w zaroślach przy ścieżce, obserwując quady śmigające obok nich w mroku.

– Jada do ośrodka szkolenia – wyszeptała Dana.

– Po Laure? – zaniepokoił się James.

Dana potrząsnęła głową.

– Nie wysłaliby takiej watahy po jedną osobę.

Słyszeli odgłosy walki sześciorga czarnych koszulek z białymi toczącej się wśród drzew niespełna sto metrów od nich. Rozważali pomysł włączenia się do bitwy, ale obie strony zdawały się dysponować bronią i amunicją, podczas gdy oni nie mieli nic poza wielkim kijem i mocno niepewnym planem.

– Skoro połowa quadów pojechała na zachodnią stronę, a z białych, którzy zostali, większość naporza się tam w krzakach, to może mamy szansę się przebić? – zasugerował James.

Dana jednak nie wydawała się przekonana.

– Po mojej poprzedniej próbie nie mam zamiaru ryzykować przeprawy na piechotę. Powinniśmy trzymać się planu. W końcu któryś z quadów podjedzie bliżej.

Przez następnych kilka minut słuchali strzelaniny, po czym obserwowali, jak garstka czarnych koszulek wypada z lasu, by

puścić się biegiem w dół, w stronę jeziora. Nie mieli pojazdów, ale większość ostrzeliwała się ze zdobyczej broni, a niektórzy najwyraźniej zdołali odebrać białym również stroje ochronne, a także nieźle dopasowane ubrania.

Podczas gdy grupa uciekinierów cwałowała wzdłuż brzegu jeziora, na ścieżce pojawił się jeszcze jeden quad zbliżający się szybko do kryjówki pary przyjaciół. Dave Moss pojechał za nieistniejącą grupą czarnych koszulek w zachodniej części kampusu, pozostawiając polowanie na Jamesa i Danę McEwenowi.

McEwen był przekonany, że z karabinem i ochraniaczami bez trudu poradzi sobie z obojgiem, ale kiedy wstał na podnóżkach quada, by rozejrzeć się za nimi przez noktowizor, zaskoczył go widok pary biegnącej prosto na niego.

Biegli dwa metry od siebie połączeni grubą gałęzią, którą trzymali na wysokości piersi. McEwen zrobił unik, jednocześnie sięgając po broń, ale o ułamek sekundy się spóźnił. Gałąź uderzyła go w ramię. Zanim runął na plecy za swoim pojazdem, jego but otarł się o pokrętko gazu. Quad warknął i skoczył do przodu, by zaraz zwolnić i potoczyć się dalej z silnikiem na wolnych obrotach. Dana nie traciła czasu. Skoczyła i wylądowała ciężko na brzuchu McEwena, pozbawiając go tchu.

– Jestem atakowany! – wykrztusił McEwen do mikrofonu. – Przyślijcie wsparcie!

Dana była znacznie mniejsza od swojego przeciwnika i wiedziała, że przegra tę walkę, jeżeli da mu czas na złapanie oddechu. Wszystkie wrażliwe części ciała McEwena były osłonięte kewlarową zbroją, dlatego wzięła na cel gogle, uderzając z taką siłą, że plastikowy mostek pomiędzy szklami trzasnął, a z nosa pod nim trysnęła krew.

– Gdzie jesteś, James? – wrzasnęła Dana, rozglądając się nerwowo, po czym wyrwała oszołomionemu McEwenowi kajdanki z za pasa i zatrzasnęła mu je na nadgarstkach.

Miło było załatwić McEwena, ale żeby dostać się do domu, potrzebowali jego pojazdu. James skoczył za oddalającym się czterokołowcem zaraz po ataku, ale kierownica wysliznęła się ze zgrabiących od zimna dłoni i partner Dany rozciągnął się jak długi na trawie.

Podczas gdy gramolił się na nogi, pojazd skręcił nieznacznie w dół zbocza i zaczął nabierać prędkości, tocząc się w stronę jeziora. James puścił się za nim sprintem, ale nie był w stanie skrócić dystansu. Ostatnią nadzieją był żywopłot nad wodą. Przy odrobinie szczęścia mógłby zatrzymać quada, a przynajmniej spowolnić go na tyle, by James mógł go dogonić i wcisnąć hamulec.

Oblepione błotem przednie opony uniosły się przy chrzęście miażdżonych gałązek. Quad z wysiłkiem wspiał się na żywopłot, by zgniótlszy go swoim ciężarem, przewalić się ciężko na drugą stronę. Wszystkie cztery koła znajdowały się już nad ziemią, kiedy James wykonał ostatni desperacki skok. Próbował chwycić za zderzak, ale tył pojazdu uciekł w górę, umykając mu z zasięgu rąk.

Żwirowa alejka między żywopłotem a jeziorem była stosunkowo płaska i quad popęzł w stronę wody oddalanej o niecałe dwa metry. James jednym susem przesadził wygniecioną w żywopłocie wyrwę, przekonany, że zdąży dopaść kierownicy, zanim pojazd utonie, ale gdy tylko postawił stopę na żwirze, w plecy grzmotnął go ćwiczebny pocisk.

Runął na twarz w chwili, gdy drugi strzał trafił go w nagie udo. Gwałtownie odwrócił się na plecy i ujrzał Ryan Smythe zbiegającą w jego stronę ze wzgórza w towarzystwie innej juniorki. James przycupnął za żywopłotem i poprawił gogle, a tymczasem przód quada przetoczył się nad brzegiem. Tuż za betonowym umocnieniem głębokość sięgała metra i pojazd zawisł na brzuchu, mieszając wodę przednimi kołami.

Czerwone koszulki były zbyt drobne, by ryzykować starcie wręcz, ale utrzymywały pozycje, dopóki nie zauważyły Dany pędzącej

z góry wprost na nie. Jedna z dziewczyn rzuciła się do ucieczki, a Dana, nie zwalniając biegu, skoczyła i obunożnym kopniakiem zwała Ryan z nóg.

– Gogle i karabin, szczeniario – warknęła, przyduszając juniorkę do ziemi. – Ruchy, bo zaraz umocysz tyłek w jeziorze.

James pomyślał o ruszeniu w pościg za dziewczyną, która uciekała, ale ponieważ Dana obezwładniła McEwena i jedną czerwoną koszulkę, a oni mieli już po karabinie i parze gogli na głowę, postanowił zająć się ratowaniem quada. Jednak uciekinierka zdawała sobie sprawę, że pojazd umożliwi Jamesowi i Danie powrót do głównego budynku. Kiedy tylko zorientowała się, że James jej nie goni, przypadła do ziemi i złożyła się do strzału.

Quad był łatwym celem. James odwrócił się w jego stronę akurat na czas, by zobaczyć szybką serię trafień. Pierwszy pocisk uderzył w tylne koło, ale następne zabębniły w blaszaną karoserię. Wszystkie rozpadły się przy uderzeniu w chmurę pyłu, ale miały dość energii, by wytrącić pojazd z chwiejnej równowagi.

James padł na ziemię i patrzył, jak stos żelastwa i plastiku majestatycznie zsuwa się do wody. Chlupnęło, spłoszone kaczki zakwakały gniewnie, a rozbryzg wdarł się na brzeg, ochlapując Jamesowi twarz. Nawet gdyby pod ostrzałem udało się wyciągnąć pojazd na brzeg, z zalanym silnikiem byłby bezużyteczny.

– Dlaczego nie złapałeś? – krzyknęła Dana z pretensją, podczas gdy czerwone koszulki umykały w stronę lasu.

James krztusił się wodą i kulał po postrzale w nogę.

– A co ja niby robiłem? – odkrzyknął rozżalony.

Czerwone koszulki znikły wśród drzew i ta, która wciąż miała broń, oddała kolejny strzał. Dana przypadła do ziemi i odpowiedziała ogniem, ale wtedy James dostrzegł dwa quady pędzące prosto na nich. Fałszywy komunikat Laury zmylił białych tylko na kilka minut i teraz wszyscy czym prędzej wracali nad jezioro.

– Wiejemy! – zawołał James, podczas gdy Dana zakładała gogle Ryan. – Gdzie druga para?

– Gogle McEwana są rozwalone – wyjaśniła Dana.

Pobiegli wzdłuż brzegu jeziora, po otwartej przestrzeni, choć rosło tam trochę krzewów stanowiących jaką taką osłonę.

– Moglibyśmy spróbować wpław – powiedział James, by natychmiast zdać sobie sprawę, że nie był to najlepszy z jego pomysłów.

W następnej chwili poczuł znajomy zapach spalin.

– Mój gokart! – zawołał.

Dana dostrzegła przed sobą mały pojazd mknący w dół zbocza z przeciwnej strony niż quady.

– To chyba Laura! – krzyknęła.

James uwierzył dopiero wtedy, kiedy światło reflektorów jednego z quadów musnęło twarz jego siostry. Dana gnała jej na spotkanie, zatrzymując się tylko po to, by ostrzelać ścigających.

– Podrzucić panią? – uśmiechnęła się Laura, zatrzymując się z poślizgiem wszystkich czterech kół.

– Kurde, jak ja cię kocham! – ryknął James, dopadając miejsca pasażera.

Dana przykucnęła na skrzyni ładunkowej, trzymając się słupków podpierających dach.

Quady były już blisko. Mały gokart szaleńczo zakręcił kółkami, z trudem łapiąc jakąkolwiek przyczepność, kiedy Laura zawróciła nim pod górę.

– Dawaj broń! – zawołał James.

Dana podała mu swój karabin, ale magazynek był pusty i minęło kilka nerwowych sekund, nim James wydobył jeden z zapasowych ze zdobycznego plecaka. Dana pochyliła się, by mógł strzelać nad jej głową do pogoni. Białe koszulki jechały solo i nie mogły otworzyć ognia, ale wciąż skracaly dystans i choć taranowanie innych pojazdów podczas ćwiczeń było surowo zabronione, wszyscy

wiedzieli, że adrenalina w żyłach bardzo osłabia opory przed łamaniem reguł.

– Prosto w pysk! – zawył James triumfalnie, kiedy kula trzasnęła najbliższego jeźdźca w gogle. Dziewczyna nie puściła kierownicy, ale na chwilę straciła panowanie nad quadem i nie mogła kontynuować pościgu z rozproszkowanymi pozostałościami pocisku, które nagle zasłoniły jej widok.

Drugi quad nie stanowił zagrożenia; kiedy tylko gokart dotarł do betonowej alejki, Laura wcisnęła gaz i uciekła, wykorzystując przewagę szybkości. Ścigający, zrozumiał, że nie ma szans, po kilku chwilach zawrócił.

To była emocjonująca jazda, zwłaszcza dla Dany, którą miotało po całej skrzyni ładunkowej.

– Nie wkręcaj go tak wysoko! – zawołał James, przekrzykując ryk silnika. – On nie ma ogranicznika obrotów, a jak mają się pourywać tłoki, to lepiej bez nas w kabinie.

Laura zwolniła, ale zaskoczyła Jamesa, skręcając w lewo ze ścieżki wiodącej do głównego budynku.

– Co ty wyprawiasz? – wrzasnął James. – To ogród japoński; nie przejeździemy!

Laura zwolniła jeszcze bardziej, a na dachu pojazdu zabębniła seria wystrzelona ze stanowiska snajpera nad gankiem dojo.

– Co się dzieje? – krzyknęła Dana.

– Właśnie usłyszałam przez radio! – odkrzyknęła Laura, po czym zawołała w mrok: – Hej, podwieźć was? No już, nie będę tu czekać całą noc!

Sekundę później od cieni pod ścianą dojo oddzieliły się dwie przygarbione sylwetki. Czarne koszulki, najwyraźniej nieuzbrojone, pobiegly w stronę gokarta, ściągając na siebie ogień z co najmniej dwóch stanowisk strzeleckich. James najpierw rozpoznał Gabriellę, która wdrapała się na skrzynię ładunkową i wcisnęła obok Dany. Drugą osobą była Kerry, eksdziewczyna Jamesa. Kerry zawahała się,

widząc, że nie ma już miejsc.

– Siadaj mu na kolanach – rozkazała Laura.

Kerry nie była wysoka, ale i tak musiała przekrzywić głowę, żeby zmieścić się pod dachem. James objął ją w talii, a spocone plecy wcisnęły mu się w twarz. Minęły wieki, odkąd był tak blisko swojej pierwszej prawdziwej dziewczyny; jej zapach przywołał szereg pięknych wspomnień.

– Wszyscy są? – zapytała Laura, po czym zawróciła i ruszyła z kopyta.

Pięć osób poważnie przeciążyło pojazd i Laura omal go nie przewróciła, pokonując następny zakręt odrobinę za szybko. Wróciła na drogę, którą jechała dziesięć minut wcześniej: główną aleję przecinającą kampus i prowadzącą do kortów tenisowych.

Nabrali sporej prędkości, ale kiedy Laura wcisnęła pedał hamulca, nic się nie wydarzyło.

– Wolniej! – zdenerwował się James. – Pogięło cię?

– Przecież próbuję! – krzyknęła Laura. – Moja wina, że zrobiłeś takie gówniane hamulce?

Kerry zasłaniała widok do przodu, ale James widział wskazówkę prędkościomierza, która wychyliła się daleko poza skalę kończącą się na pięćdziesięciu kilometrach na godzinę.

– Jesteśmy przeciążeni; pewnie zagotował się płyn hamulcowy – orzekł James. – Pompuj mocno pedałem i nie przestawaj, nawet jak zaczniesz hamować.

Gnali na złamanie karku w stronę tylnej ściany głównego budynku. Siatkowe ogrodzenie okalające korty śmignęło im rozmazaną smugą, mimo że Laura niezmordowanie deptała pedał hamulca. Nagle gokart szarpnął do przodu. Laura pomyślała, że to hamulce wreszcie załapały, ale Gabriella i Dana zaczęły krzyczeć. Tylony most urwał się i teraz tył wózka szorował o beton, sypiąc kaskadami pomarańczowych iskier z hałasem, jaki musiał obudzić pół kampusu.

Laura krzyknęła, kiedy gorące iskry trysnęły jej na nagie łydki. Spojrzała w dół i tuż pod stopami, w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą były pedały, ujrzała ogromną dziurę. Uszkodzenia były poważne, ale sponiewierany pojazd zatrzymał się z cichnącym zgrzytem mniej niż pięć metrów od tylnej ściany głównego budynku, zaś jedynymi ofiarami kraksy okazały się różane krzewy na klombie, który znalazł się na jego drodze.

Oszołomieni uciekinierzy wydostali się z wraku, poprawili gogle i złapali broń – wszyscy oprócz Jamesa, który wciąż tkwił na miejscu pasażera wtrącony w stupor nieoczekiwaną dezintegracją swojej ukochanej wyścigówki.

Dana dziabnęła go dłonią w tył głowy.

– Rusz się, matole. Później sobie popłaczesz.

Zanim James wygramolił się ze swojego miejsca, Laura, Gabriella i Kerry zdążyły przebiec pięćdziesiąt metrów w stronę najbliższego wejścia. Dana usłyszała brzęczenie silnika jednego z quadów – dobiegało z oddali, ale podziałało trzeźwiąco na Jamesa i oboje puścili się biegiem za pozostałymi.

Ciepły podmuch owionął Jamesa, kiedy przekroczył próg mrocznego holu. Kerry i Gabriella szczerzyły się w radosnych uśmiechach i na zmianę ścisnęły Laurę. Kiedy wreszcie ją uwolniły, James nawet nie starał się skrywać wzruszenia.

– Dżizas, siostra, jesteś normalnie debeściara – jęknął z zachwytem, przyciągając ją do siebie, by czule przytulić.

Laura odwzajemniła uśmiech.

– I lepiej o tym pamiętaj, kiedy znów przyjdzie ci ochota rzucić we mnie piłką.

16. KŁAMSTWA

Fahim prawie nie spał tej nocy, ale doczekał chwili, kiedy jego sypialnię rozświetliły promienie słońca sączące się przez szparę w zasłonach. Ogromny dom przypominał mauzoleum. O ósmej przyszła sprzątaczką Sylwia. Fahim słyszał, jak odkurza na dole, ale jego rodzice nie dawali znaku życia, a on bał się wyjść z pokoju.

Kiedy wreszcie szczęknęła klamka w drzwiach, ucieszył się, słysząc brzęk sztućców na tacy ze śniadaniem, ale radość przemieniła się w lęk, kiedy odkrył, że tacę trzyma jego ojciec.

Nawet jeśli miał pracować w domu, Hassam przeważnie wkładał garnitur, ale tego dnia był ubrany w dżinsy i koszulkę polo od Ralphi Laurena.

– I jak się czuje mój chłopiec? – zapytał pogodnie.

– Całkiem nieźle – odpowiedział Fahim, czując, że serce bije mu coraz mocniej. – Mama jest w domu?

Hassam zignorował pytanie.

– Zrobiłem ci śniadanie. Powinieneś jeść, żeby dojsć do siebie.

Położył tacę na brzegu materaca i Fahim wiedział, że powinien okazać podziw. Dostał dwa jajka na miękko, niewielką porcję sałatki owocowej, sok pomarańczowy, wodę z lodem i grzanekę.

– Dziękuję – powiedział grzecznie.

– Wszystko zrobiłem sam – pochwalił się Hassam. – Wydaje mi się, że tak to robiła twoja matka, ale jeżeli coś jest nie tak, to po prostu powiedz...

– Na pewno wszystko jest w porządku, tato.

Obecność Hassama deprymowała go i napełniała lękiem, ale po wybuchach ojca często następowały inspirowane poczuciem winy próby wynagrodzenia mu przykrości. Przybierały one rozmaite formy – od zasypywania syna kosztownymi zabawkami i ubraniami, po wycieczki do parków rozrywki i rodzinne weekendy w Paryżu. Kiedy Fahim był młodszy, kupował to bez mrugnięcia okiem. Jakaś perwersyjna część jego duszy wręcz wyczekiwała rodzinnych kłótni zapowiadających prezenty i uwagę, jaką szczerze obdarzali go później rodzice. Ale jako jedenastoletek już dawno miał za sobą etap, kiedy klocki lego rekompensowały mu widok pobitej mamy. W jego pokoju było wiele rzeczy, których nigdy nie dotykał, ponieważ przypominały mu o czymś strasznym.

Hassam zawisł wyczekująco nad synem, który ściał czubek jajka i zanurzył róg grzanki w płynnym żółtku.

– Mama... wyjechała – powiedział Hassam niepewnie.

Fahim zmartwiał. Często namawiał mamę, żeby rozwiodła się z ojcem albo uciekła, ale zawsze zakładał, że jeśli to zrobi, zabierze go ze sobą.

– Na zawsze ?

Hassam uśmiechnął się dziwnie.

– Twoja mama musi spędzić trochę czasu sama. Spakowała parę drobiazgów i pojechała do spa.

Nie brzmiało to groźnie i Fahim pokiwał głową.

– Należy się jej – stwierdził, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Słuchaj... te twoje gabloty w szkole i ja... to, co się stało wczoraj. Zauważyłeś, jak obaj tracimy panowanie nad sobą i wybuchamy jak fajerwerki?

Fahim skrzywił się w duchu na tę tchórzliwą próbę podzielenia się z nim winą, ale nie dał tego po sobie poznać, a nawet zdobył się na słaby uśmiech.

– Obaj powinniśmy nauczyć się wstrzymywać oddech i liczyć do dziesięciu – powiedział.

Hassam ryknął sztucznym śmiechem i przyjaźnie ścisnął syna za duży palec wystającej spod kołdry stopy.

– Wiem, słuchaj, pojedziemy razem na miasto. Pamiętasz tę skórzaną kurtkę, którą wypatrzyłeś? I chyba wspominałeś niedawno o jakimś zdalnie sterowanym samochodzie. Założę się, że świetnie by się nim jeździło na dużym tarasie za domem.

– Głowa mnie strasznie boli...

– Nie dziś, oczywiście – powiedział Hassam. – Ale jutro... chociaż nie, jutro mam spotkanie. Ale na pewno w weekend.

Fahim obrócił się, żeby poprawić poduszki, odsłaniając czerwoną plamę na prześcieradle, jaka w nocy powstała pod krwawiącym ramieniem.

– Każę Sylwii zmienić ci pościel – powiedział Hassam nieco twardszym tonem. – Jeśli zapyta, powiedz, że miałeś krwotok z nosa, okej, zuchu?

Fahim omal nie udławił się jajkiem. Ojciec nazywał go zuchem tylko wtedy, kiedy wciskał mu kit.

– Dobrze – powiedział Fahim. Krew przyprawiła jego ojca o poczucie winy, uznał więc, że to dobry moment na odważne pytanie. – A co z moją szkołą? Nie chcę mieszkać na Bliskim Wschodzie.

Hassam uniósł jedną brew, najwyraźniej lekko poirytowany, ale jego głos zabrzmiał miękko.

– Twoja matka i ja nie zgadzamy się ze sobą w tej kwestii, ale jeżeli nie chcesz wyjeżdżać za granicę, nie będę cię zmuszał.

– Dziękuję – powiedział Fahim.

– Twój kolega, jeszcze sprzed Warrender Prep, ten, który

przychodził czasem w wolne dni, żeby się z tobą pobawić. Zapomniałem, jak ma na imię.

– Louis.

– Właśnie – uśmiechnął się Hassam. – No więc Louis właśnie przeniósł się do Burleigh Arts and Media. Może zapiszemy cię tam i zobaczymy, jak ci pójdzie?

Fahim nigdy nie chciał chodzić do Warrender Prep z jej obowiązkowymi sobotnimi treningami i skandaliczną ilością pracy domowej. Perspektywa powrotu do zwyczajnej szkoły ze swoim najlepszym kolegą przywołała na jego twarz uśmiech autentycznej radości.

– Naprawdę? – wypalił Fahim entuzjastycznie, ale zaraz skarcił się w myśli.

Nie powinien pokazywać ojcu, że można go kupić.

– Burleigh ma przyzwoity raport Ofsted. Zadzwońię do nich jeszcze dziś rano i zapytam o miejsca.

*

Laura nie była pewna, dlaczego wezwano ją do biura prezeski, i odetchnęła z ulgą, kiedy Zara otworzyła jej drzwi z uśmiechem na twarzy.

– Wejź, Lauro – powiedziała. – Usiądź, proszę.

Gabinet był urządzonej nowocześnie. Na szklanym blacie biurka Zary honorowe miejsce zajmowała elektroniczna ramka do fotografii wyświetlająca na przemian zdjęcia Ewarta, Joshuy i Tiffany.

– Podobały ci się wczorajsze ćwiczenia?

Laura wzruszyła ramionami i przysunęła krzesło bliżej biurka.

– Nie nazwałabym dobrą zabawą wyciągnięcia mnie z łóżka o północy, skucia kajdankami i wyrzucenia na mróz, ale w sumie chyba poszło całkiem nieźle. Mam tylko trochę poparzone nogi.

Zara uśmiechnęła się.

– Zawsze modyfikujemy programy ćwiczeń, żeby zachować

element zaskoczenia, ale wczorajszą operację od początku do końca opracował pan Kazakow. Ogólnie uważam, że wyszło dobrze, choć mam wrażenie, że szala przewagi nieco zbyt mocno przechylała się w stronę białych i czerwonych koszulek.

Laura pokiwała głową.

– Nie da się przebiec przez odsłoniętą część kampusu z quadami na ogonie. Zero szans. Może gdyby zostawić działające wózki golfowe czy coś...

– Wydaje mi się, że pan Pike zdecydował już, że jeżeli kiedykolwiek w przyszłości przeprowadzimy podobne ćwiczenia, zabronimy wykorzystywania pojazdów silnikowych, wydając w zamian rowery. Tak będzie sprawiedliwiej, a poza tym zmniejszy się ryzyko wypadków, choćby takich jak posłanie quada za trzy tysiące funtów na dno jeziora.

– To wszystko przez Jamesa – zaśmiała się Laura, by zaraz spoważnieć. – A to, że musiałam nokautować juniorów, też wcale mi się nie podobało. Niektórzy mieli najwyżej osiem lat, a kiedy Siobhan się rozkleiła, to było okropne.

– Interesująca uwaga – mruknęła Zara, zapisując coś w notesie. – Przekażę ją dalej, choć wszyscy juniorzy byli ochotnikami i powiedziano im, że mogą wrócić do łóżka w dowolnym momencie. Wiedzieli, że przeciwnik będzie trudny, a czerwone koszulki, z którymi rozmawiałam, sprawiały wrażenie zadowolonych mimo kilku siniaków i zadrapań. Tak czy owak, Lauro, cenię sobie twoją opinię na temat ćwiczeń, ale najbardziej niezwykłą rzeczą, jaką zobaczyliśmy wczoraj, były twoje dokonania. Byłaś najmłodsza w swojej drużynie, ale to ty okazałaś się na tyle sprytna, by użyć kanałów i pójść po wyścigówkę Jamesa. A potem zaryzykowałaś i uratowałaś kilkoro twoich kolegów. Pan Pike i ja byliśmy pod ogromnym wrażeniem. Laura uśmiechnęła się promiennie, ale postanowiła nie mówić prezesce, że zdobycie gokarta było bardziej przypadkiem niż częścią jakiegokolwiek

przemyślanego planu.

– Dziękuję, pani prezes – zaszczębiotała radośnie.

– Pokazałaś także, że potrafisz błyszczeć nawet wśród najlepszych agentów w kampusie. W ciągu ostatnich miesięcy zachowywałaś się bez zarzutu i słyszałam same dobre rzeczy o twojej pracy z juniorami. Nie dalej jak dziś rano rozmawiałam z małą Coral i widzę, że świetnie się aklimatyzuje.

– Fajnie – ucieszyła się Laura. – Ona jest taka słodka, a do tego naprawdę bystra.

– Biorąc pod uwagę wszystkie te fakty, postanowiłam powiadomić koordynatorów misji, że twój zakaz udziału w operacjach został cofnięty. Możesz brać każdą fuchę, jaką ci podrzucą.

Zara wstała i wyciągnęła rękę, którą Laura uścisnęła, uśmiechając się nieśmiało.

– Dziękuję, pani prezes.

Zara przytrzymała dłoń dziewczyny, jej twarz nagle spoważniała.

– Tylko niech sukces nie uderzy ci do głowy. Będę z uwagą obserwować twoje zachowanie w kampusie. Jeśli usłyszę o jakimkolwiek spiskowaniu, intrygach i mąceniu, nie będę miała innego wyjścia, jak tylko cię wylać.

Uśmiech Laury zgasł jak zdmuchnięty.

– Zdaję sobie sprawę, że nie mogę ryzykować – powiedziała młoda agentka poważnym tonem, kiedy Zara puściła jej dłoń. – Więcej żadnego spiskowania w kampusie, przysięgam.

*

Zamiast wziąć prysznic w łazience swojej sypialni, Fahim zszedł do studia zdrowia na parterze, by wymoczyć się w gigantycznym jacuzzi. Po półgodzinie puszczania bąbelków i baraszkowania wśród kojących strumieni wody wyszedł z zaparowanej łazienki, luksusowym szlafrokiem zakrywając pomarszczoną, zaróżowioną od gorąca skórę.

Hassam był w swoim gabinecie, a sprzątaczką na górze i Fahim czuł się samotny, człapiąc na bosaka przez marmurowy hol. Rzut oka w głąb salonu zaskoczył go. Jego ojciec podniósł stolik do kawy i zebrał czasopisma, ale z podłogi zniknął dywan, a kiedy Fahim wstąpił na wykładzinę, zdumiał się, czując wilgoć pod stopami.

Podkurczył palce, wyciskając spomiędzy nich śmietankową pianę szamponu do dywanów. Nowe dla niego uczucie było dość miłe, więc zrobił to samo drugą stopą. Przypominając sobie krwawiący nos mamy, domyślił się, że ojciec wyszorował wykładzinę, zaś dywan prawdopodobnie zwinął, by później oddać do pralni.

Kiedy Fahim odwrócił się, żeby wrócić do swojego pokoju, zauważył białą grudkę tuż obok masywnej podstawy stojącej lampy. Pochylił się nad nią i gwałtownie cofnął, rozpoznając ząb.

Przez całe jego życia mama uśmiechała się do niego, odsłaniając lekko przekrzywiony przedni ząb z trzema charakterystycznymi odpryskami szkliwa. Teraz nagle zniknęła, pozostawiając po sobie część swojego uśmiechu. Fahim czuł obrzydzenie, a zarazem przedziwny przymus obejrzenia znaleziska.

– Co ty tam robisz? – zapytała Sylwia, która niepostrzeżenie weszła do salonu.

Fahim zląkł się. Wsunął ząb do kieszeni szlafroka i odwrócił się w stronę sprzątaczkę.

– Nic takiego – wzruszył ramionami.

– Zmieniłam ci pościel. A teraz wybaczyć, ale muszę posprzątać bałagan po twoim ojcu. Jeśli nie rozcieńczę tego szamponu na wykładzinie, zaschnie na sztywno.

– Eee... no tak – wybąkał niepewnie Fahim. – Ojciec nie ma doświadczenia w praniu wykładzin. Dobra, i tak miałem już iść do siebie.

Wciąż był w szoku po znalezieniu zęba. Nagle rozpaczliwie zapragnął zadzwonić do mamy i sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Pognał do swojego pokoju, przesadzając po trzy

stopnie naraz, po czym rzucił się na świeżo posłane łóżko i sięgnął na półkę nad głową po swoją komórkę.

Wybrał numer mamy i czekał. Po kilku sekundach znieruchomiał i zaskoczony zaczął nasłuchiwać, bo wydało mu się, że słyszy charakterystyczny dzwonek jej telefonu. Zsunął się na podłogę i wyszedł na galerię nad holem, gdzie sygnał stał się głośniejszy.

Fahim przechylił się nad barierką, sprawdzając, czy nikt nie idzie, po czym pobiegł wzdłuż korytarza, by zajrzeć przez otwarte drzwi garderoby mamy.

Był to nieduży pokój – przynajmniej jak na standardy tego domu – z umywalką, toaletką i przepastnymi szafami zajmującymi całą długość ściany.

Dzwoniący telefon był w torebce, tej samej, którą Jaśmina miała ze sobą poprzedniego popołudnia podczas wizyty w Warrender Prep. Fahim wyjął go i zerknął na wyświetlacz: „Dzwoni Fahim”.

To było zastanawiające: mama wyjechała bez telefonu? Chłopak poczuł się jeszcze dziwniej, kiedy zobaczył jej portmonetkę, klucze do domu i samochodu oraz portfel, w którym trzymała karty kredytowe.

Fahim uświadomił sobie z całą jasnością, że ojciec go okłamał. Jak mama mogła wyjechać do spa z wybitym zębem, bez kluczyków do samochodu i bez kart kredytowych, którymi mogłaby opłacić swój pobyt? Jego ojciec musiał zrobić coś strasznego. A jeśli ją zabił? Albo pobił tak dotkliwie, że musieli ją zabrać do szpitala?

Fahim poczuł, że wypełnia go lodowaty strach, który zatyka mu gardło niczym połknięta piłeczka pingpongowa. Oszołomiony pobiegł do swojego pokoju, rzucił się na łóżko i wpił palce w poduszkę, dygocząc na całym ciele.

Fahim bał się o mamę, ale był też na nią zły: powiedziała mu, że cała sprawa z samolotem to nieporozumienie, ale, potem podsłuchał, jak groziła tacie, że pójdzie na policję. Skłamała, a Fahim nienawidził być uwikłany w sytuację, której nie rozumiał ani nie był

w stanie kontrolować.

– Dlaczego nie mogę mieć normalnych rodziców? – chlipnął żałośnie.

Wyteżał obolałą głowę, próbując wymyślić jakiś plan. Mama zawsze radziła mu, żeby trzymał się z dala od awantur, ale co, jeśli potrzebowała jego pomocy? A jeśli nie żyła? Albo była przerażona i gotowa zostawić go z ojcem na wiele tygodni, a może i miesięcy?

Hassam mógł w poczuciu winy gotować jajka na śniadanie i proponować prezenty, ale prędzej czy później czas dobroci musi się skończyć. Bez mamy kolejne lanie i bilet w jedną stronę do Abu Zabi były już tylko kwestią czasu.

Fahim stoczył się z łóżka i podszedł do komputera z komórką w drżącej dłoni. System był tylko uśpiony, więc wejście na Google trwało zaledwie kilka chwil. Numer pokazywano na pasku we wszystkich telewizyjnych serwisach informacyjnych, ale Fahim nie pamiętał go, więc wstukał „katastrofa Anglo-Irish gorąca linia” i kliknął szary przycisk „Szukaj”.

Pierwszy odnośnik przywołał na ekran rysunek telefonu i gigantyczne cyfry pod spodem. Fahim rozsunął telefon komórkowy, wyjrzał za drzwi dla pewności, że nikt nie wchodzi na górę, a potem podszedł do łóżka, po drodze wystukując numer.

Po kilku sygnałach w słuchawce zabrzmiała nagrana wiadomość. Monotonny głos oznajmił, że gorąca linia jest obecnie przeciążona i że operator odezwie się najszybciej, jak to możliwe.

Słuchając kwartetu smyczkowego rzepolącego mu do ucha, Fahim zastanawiał się, czy postępuje właściwie. Jeśli jego mama nie żyła, to wtedy naprawdę powinien z kimś porozmawiać, ale jeżeli żyła? Nie była zadowolona z tego, co zrobił jego ojciec – cokolwiek to było – ale wyglądało na to, że o wszystkim wiedziała. Co będzie, jeśli uznają ją za współniczkę? Jeśli to przez niego wtrącą mamę do więzienia?

Muzyka w słuchawce umilkła.

– Gorąca linia katastrofy Anglo-Irish, mówi detektyw Love, w czym mogę pomóc?

„Jakim trzeba być dupkiem, żeby zakablować własną matkę?”

– Ja... Ja nie wiem na pewno, ale chyba mój ojciec... Ja myślę, że... – wyjąkał Fahim.

Operator odezwał się uspokajającym tonem:

– Posłuchaj, uspokój się, weź głęboki oddech i zacznij od początku.

– Nie... Nie, to tylko taki żart, przepraszam – wykrztusił Fahim, po czym zatrzasnął klapkę komórki, rzucił telefon na łóżko i wbił w niego przerażony wzrok, jakby właśnie oparzył go w dłoń.

Twarz miał czerwoną z emocji i mokrą od potu. Za żadne skarby świata nie mógłby zdradzić mamy bez względu na to, co złego zrobił jego ojciec.

17. MAC

Trzynastcie dni później

Zaproszenie do centrum planowania misji zazwyczaj oznaczało propozycję wyjazdu na misję. Laura nieraz przemierzała łukowato zakrzywione korytarze bananokształtnego budynku, zawsze z tą samą mieszanką podekscytowania i niepokoju. Jednak tego poniedziałkowego ranka było inaczej – zaprosił ją doktor McAfferty i perspektywa spotkania z nim trochę ją peszyła.

– Dzień dobry, czy można? – zapytała Laura, zaglądając nieśmiało do biura Dennisa Kinga.

King był jednym z dwojga starszych koordynatorów misji w CHERUBIE. Wysokie stanowisko gwarantowało mu jeden z przestronnych gabinetów na przeciwległych końcach budynku, ale jego praca ograniczała się do organizowania rutynowych operacji, takich jak kontrole zabezpieczeń albo misje rekrutacyjne, podczas których oceniano potencjał przyszłych cherubinów.

– Witamy, witamy – uśmiechnął się King, spoglądając na Laureę znad oprawek okularów. – Nie krępuj się, przechodź, Mac czeka.

Po jednej stronie gabinetu Kinga znajdował się aneks wypoczynkowy z oknami od podłogi do sufitu. Zwykle stały tam zamszowe kanapy i stolik do kawy, teraz jednak usunięto je, by

urządzić doktorowi McAfferty'emu prowizoryczne miejsce do pracy. Przyniesiona z klasy ławka posłużyła za biurko i emerytowanego prezesa CHERUBA ledwie było widać zza okazałych stert pieczołowicie poukładanych papierów poznaczanych setkami żółtych samoprzylepnych karteczek.

– Aaa, świetnie – ucieszył się Mac na widok Laury. Były prezes wstał, jedną dłoń opierając sobie na krzyżu, a drugą wyciągając w stronę agentki. – Właśnie czytałem twoje akta i widzę, że należą ci się gratulacje.

Radosny nastrój Maca nieco zbił Laurę z tropu.

– Czy w ubiegłym tygodniu nie skończyłaś przypadkiem trzynastu lat?

– Ach, to – rozpromieniła się Laura. – Było super. W sobotę po południu poszłam z dziewczynami na zakupy, potem był tort i zabawa w stołówce, a wieczorem urządziliśmy imprezę na korytarzu.

– Brzmi fajnie – odpowiedział Mac. – Pamiętam, kiedy przyjechałaś do kampusu. Miałaś wtedy zaledwie dziewięć lat. Bardzo się zmieniłaś od tamtej pory.

Mac znowu położył rękę na plecach i stękając, opadł na siedzenie. Laura zdziwiła się, bo choć Mac już dawno przekroczył sześćdziesiątkę, wciąż był w znakomitej formie i w kampusie regularnie biegał aż do przejścia na emeryturę.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała ciepło, siadając na brzeжку plastikowego krzesła.

– Moja żona była garncarką, i to niezłą – powiedział Mac. – Zdobyła mnóstwo różnych nagród, a nawet napisała książkę na ten temat.

– Pamiętam – skinęła głową Laura. – Miał pan w swoim biurze ogromną misę ceramiczną.

– Moja najmłodsza córka poszła w jej ślady i powiedziałem jej, że może sobie wziąć piec matki do wypalania ceramiki. Ale ten złom

waży chyba z tonę i nadwerżyłem sobie grzbiet, kiedy taszczyłem go do samochodu z zięciem.

Laura uśmiechnęła się, bo Mac się uśmiechał, ale w głębi duszy czuła smutek. Nie wiedziała, co powinna teraz powiedzieć, ale jednocześnie czuła, że nie może zwyczajnie zignorować tego, co się stało żonie i wnukom Maca.

– Ogromnie mi przykro z powodu twojej rodziny, Mac – powiedziała, czując, że się rumieni. – Wszystkim jest przykro. To musiało być okropne.

– Rzeczywiście było – powiedział Mac. – Ale życie toczy się dalej, a dzisiejszy ranek przyniósł nam nawet pewną ulgę. Wygląda na to, że FAA zamierza wreszcie oddać ciała ofiar, żeby można było sprowadzić je do domu i wyprawić porządny pogrzeb.

– To super – wypaliła Laura i natychmiast uświadomiła sobie, że się wygłupiła. „Cieszę się” albo „To dobrze” wystarczyłoby w zupełności, ale „Super” było całkowicie nie na miejscu. W pogrzebach nie było niczego super.

– Dostałem wiele krzepiących listów od różnych osób z kampusu, a Zara była wspaniała. Wozila mnie wszędzie przy załatwianiu formalności, aż w końcu musiałem jej kazać wrócić do kampusu i zająć się pracą.

Laura skinęła głową.

– Bardzo się cieszę, że to Zarę wybrano na prezeskę. Jest naprawdę w porządku.

– Słyszałaś może coś o tym, co porabiam w kampusie? – zapytał Mac.

– Same plotki, ale oczywiście wszyscy wiedzą, że ma to coś wspólnego z katastrofą.

– Choć jestem na emeryturze, zachowałem stanowiska w kilku komisjach wywiadu i nadal regularnie wykonuję zlecenia doradcze dla rządu. Nadal mam swoją przepustkę do kampusu – powiedział Mac. – Kiedy wydarzy się jakaś katastrofa, ktoś z CHERUBA musi

dyskretnie przyglądać się dochodzeniu na wypadek, gdyby doszło do sytuacji, w której agenci tacy jak ty mogliby być użyteczni. Nie jest to najbardziej ekscytująca część pracy koordynatora, ale nie miałem ochoty siedzieć w domu i się zadreć, więc poprosiłem Zarę, żeby pozwoliła mi się włączyć. Rezultaty widzisz przed sobą.

Mac rozłożył ręce nad stosem papierów na biurku.

– A skoro mnie tu wezwano, rozumiem, że pojawił się jakiś trop – powiedziała Laura.

– Niewykluczone – powiedział Mac ostrożnie. – Jest pewien ślad, ale równie dobrze może się okazać, że to głupi kawał albo próba zwrócenia na siebie uwagi.

– Co to za ślad?

– Telefon – wyjaśnił Mac. – Po katastrofie antyterrorystyczna gorąca linia odebrała ponad osiemset zgłoszeń. Każda rozmowa jest rejestrowana i oznaczana literami od A do D. A znaczy tyle co „Natychmiast wyślijcie gliny, żeby aresztowały przestępców”, B to obiecujący trop, który powinien zostać sprawdzony w ciągu najbliższych dni albo wręcz godzin, C to trop, który odkłada się do szuflady do ewentualnego sprawdzenia, jeśli później wyjdą na jaw dodatkowe informacje, ale zdecydowana większość telefonów otrzymuje kategorię D oznaczającą, że uważa się je za zwykłe dowcipy, brednie oszołomów, krótko mówiąc, marnowanie czasu. Otóż kiedy przesłuchiwałem zgłoszenia kategorii D, natknąłem się na to.

– Mac kliknął ikonkę na ekranie laptopa, by odtworzyć plik dźwiękowy. Z głośnika dobył się chłopiący głos:

– Ja... ja nie wiem na pewno, ale chyba mój ojciec... Ja myślę, że...

Potem rozległ się głos operatora:

– Posłuchaj, może uspokój się, weź głęboki oddech i zacznij od początku.

I znowu chłopiec:

– Nie... Nie, to tylko taki żart, przepraszam.

Wtedy połączenie zostało przerwane.

Laura była zawiedziona; Mac zaśmiał się rozbawiony jej miną.

– Nie wyglądasz na podekscytowaną.

– Cóż, chyba trochę tego mało jak na trop – powiedziała Laura.

– Z tych żołądzi wyrastają potężne dęby – uśmiechnął się Mac. –

Rzecz jasna, większość żołądzi kończy jako pokarm dla wiewiórek, ale każde dochodzenie musi się od czegoś zacząć, a ten konkretny telefon mnie zaintrygował.

– Pamiętam z zajęć kryminalistyki, jak opowiadali nam o sprawie morderstwa, którą rozwiązano dzięki maleńkiemu płatkowi farby na drewnianym słupie – powiedziała niepewnie Laura.

– Telefon odebrał detektyw Mark Love – ciągnął Mac. – Leniwy dureń nadał kategorię D i nawet nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić numer, z jakiego dzwono. Sprawa zaintrygowała mnie, ponieważ jeżeli trzydzieści lat pracy w kampusie czegoś mnie nauczyło, to właśnie tego, że w słowach dzieci często można znaleźć więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

– Na przykład co? – zapytała Laura.

Pochyliła się do przodu, zdradzając zaciekawienie, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zdolność jasnej oceny sytuacji Maca może być zniekształcona przez żal.

– Na ile lat brzmiał głos tego chłopaka? – zapytał były prezes.

– Dwanaście, może mniej – odpowiedziała Laura. – Głos przed mutacją... Równie dobrze to mogła być dziewczyna.

– Zrobiłem wywiad – powiedział Mac. – Ale masz rację, ja też na początku miałem wątpliwości co do płci. Chodzi jednak o to, że telefonicznymi dowcipniami zwykle są nastolatki, a ten głos brzmi zbyt młodo. Co powiesz o akcencie?

– Zdecydowanie bliskowschodni.

– Coś jeszcze? Ton głosu?

– Wystraszony – powiedziała Laura. – Co jeszcze ujawnił wywiad?

– Telefon był na kartę, niezarejestrowany, ale kilka razy został naładowany za pomocą karty płatniczej należącej do niejkiej Jaśminy Hassam, a raz za pomocą karty kredytowej Hassama Bin Hassama, który, jak się okazało, jest jej mężem. Para ma jednego syna, jedenastoletniego Fahima Bin Hassama. Rodzina mieszka w Hampstead w północnym Londynie, niecałe dwie mile od miejsca, w którym dorastałaś.

– To niedaleko, ale to niesamowicie burżujska okolica. Takich jak ja czy James nie uświadczysz w Hampstead.

– Zapewne masz rację – przytaknął Mac.

– Czyli to dzwonił Fahim?

Mac skinął głową.

– Nie mam na to niezbitych dowodów, ale to jedyna rozsądna konkluzja.

– Dobra. Co wiemy na temat tych Bin Hassamów? Czy wyglądają na potencjalnych zamachowców?

– I tak, i nie – powiedział Mac. – Hassam i jego młodszy brat Asif prowadzą firmę handlową Bin Hassam Dubai Mercantile, w skrócie BHDM. Z tego, co wiem, bracia zajmują się głównie wykupywaniem hurtowych ilości wolnego miejsca na kontenerowcach wypływających z portów na całym świecie i wykorzystywaniem ich do przewożenia wszystkiego, na czym można zarobić. Wiele towarów to śmiecie, zwykle chińskiej produkcji, rzeczy takie jak zestawy tanich noży kuchennych albo narzędzi, jakie można kupić w supermarkecie, wszystko za funta. W Dubaju działa mnóstwo takich przedsiębiorstw handlowych, ponieważ Emiraty kuszą niskimi podatkami i jednym z największych portów kontenerowych na świecie. Niektóre z owych firm cieszą się zasłużoną dobrą renomą, ale wiele innych ma raczej szemraną reputację. BHDM była ścigana sędownie za przestępstwa podatkowe w Indiach i Niemczech. U nas urząd ceł i akcyz wciągnął ją na listę przedsiębiorstw podejrzanych o oszustwa.

Laura wzruszyła ramionami.

– To tylko znaczy, że mamy parę szemranych biznesmenów, ale czy cokolwiek łączy ich z terroryzmem?

– Brytyjski wywiad nic na nich nie ma, ale TSA ma Asifa Bin Hassama na liście no-fly.

Laura odchyliła się na krześle.

– TSA?

– Przepraszam – powiedział Mac. – Transport Safety Administration, amerykańska agencja bezpieczeństwa transportu.

– A to oznacza, że Bin Hassamowie musieli coś knuć – zgadywała Laura.

– Nie jest to tak oczywiste, jak wygląda – powiedział ostrożnie Mac. – Czarne listy pasażerów wprowadzono w dwa tysiące trzecim roku, a sama nazwa jest myląca, ponieważ ludziom z list wolno latać; po prostu podlegają bardziej rygorystycznej procedurze kontroli za każdym razem, kiedy przechodzą przez system bezpieczeństwa amerykańskiego portu lotniczego. Cały kłopot w tym, że listy zawierają jedynie nazwiska; nie ma tam dat urodzenia ani rysopisów, a wśród Arabów wprost roi się od Asifów Bin Hassamów.

– Czyli każdy, kto się tak nazywa, zostaje automatycznie zgarnięty przez ochronę lotniska?

– No właśnie – przytaknął Mac. – Senator Ted Kennedy, brat JFK, miał na lotniskach nieprzyjemności, bo facet podejrzany o terroryzm używał pseudonimu T. Kennedy. Nazwisko senatora usunięto z listy, ale było też kilka innych podobnych przypadków dotyczących VIP-ów.

– Pytaliście FBI, dlaczego Asif Bin Hassam jest na liście?

– Wpisali nazwisko na listę po otrzymaniu go od anonimowego pakistańskiego informatora – powiedział Mac. – To jedyna informacja, jaką mają.

– I mimo to uważa pan, że mamy trop? – zapytała Laura, unosząc

brwi.

– Tak – odparł twardo Mac. – A oto coś, dzięki czemu sprawa robi się naprawdę szalenie interesująca.

Mac podał Laurze cienki plik kserokopii wyciągów z kart kredytowych i billingów telefonu komórkowego z nazwiskiem Jaśminy Bin Hassam w nagłówku. Billingi wykazywały co najmniej tuzin połączeń każdego dnia, a przy kwotach, jakie przepływały przez rachunek karty kredytowej, kieszonkowe Laury wydawało się wprost żałośnie skromne.

– Kiedy Fahim zadzwonił na gorącą linię? – zapytała po chwili.

– We wtorek jedenastego września, dwa dni po katastrofie.

– Po dziesiątym września nie ma żadnych rozmów ani transakcji – zdumiała się Laura. – Zupełnie jakby Jaśmina Bin Hassam znikła z powierzchni ziemi. Sprawdziliście lotniska?

– I promy też. – Mac skinął głową. – Jeżeli Jaśmina wyjechała z kraju, to posłużyła się fałszywym paszportem.

– A w dniu, w którym zniknęła, jej syn dzwoni na antyterrorystyczną gorącą linię tak bardzo przestraszony, że ledwie mówi – dodała Laura.

Mac uśmiechnął się i uniósł palec.

– Nie jesteś już taka pewna, że staremu przykowi rzuciło się na mózg?

– Chyba nie – mruknęła Laura, by nagle unieść głowę i potrząsnąć nią panicznie. – Nie żebym kiedykolwiek była pewna.

– Jest tylko jeden problem – powiedział Mac, rzucając na biurko kolejny papier. – Dziesiątego września Fahim został wydalony ze szkoły, a tu jest opinia o nim wystawiona przez pedagoga szkolnego.

Laura przejrzała dokument, odczytując na głos fragmenty zaznaczone przez Maca.

– Fahim cierpi na emocjonalny brak poczucia bezpieczeństwa i nieustannie łaknie uwagi. Wydaje się popadać w lekką paranoję.

Wierzy, że wszyscy wokół sprzysięgli się, by robić mu na złość... Fahim przeszkadza podczas lekcji... Skłonny do bójek... Tiki nerwowe... Rodzice zgłaszają regularne ataki paniki, przypadki koszmarów nocnych i somnambulizmu.

– I to ma być fundament, na którym wsparłem moją teorię – westchnął Mac.

– Małe żółędzie i tak dalej – powiedziała Laura, odkładając raport psychologa na biurko. – To niewiele, ale jeśli zebrać wszystko do kupy, to chyba warto się temu przyjrzeć.

18. PRACA

James i Kerry mieli za sobą zaawansowany kurs prowadzenia samochodu w CHERUBIE, ale wciąż byli za młodzi na legalne prawo jazdy i Meryl odrzuciła rzuconą przez Jamesa propozycję, by pojechali do Deluxe Chicken sami i zaparkowali dwie przecznice dalej. Zamiast samochodu przydzielono im legendę czyniącą z nich uczniów jedenastej klasy ze szkoły oddalonej o trzydzieści kilometrów od ich miejsca pracy. Wysładzeni na przystanku we wsi trzy kilometry od kampusu musieli przecierpieć ponadczterdziestominutową poniewierkę zatłoczonym autobusem. Ich współpasażerami byli głównie ludzie zbyt starzy lub zbyt biedni, by prowadzić samochód, i dla Jamesa podróż okazała się raczej przygnębiającym doświadczeniem.

Kierowca miał minę jak chmura gradowa, nikt się nie uśmiechał. Nawet kiedy James przyskoczył do drzwi, by pomóc dygoczącej staruszce wnieść do środka wózek z zakupami, jego jedyną nagrodą było krzywe spojrzenie, jakby kobieta spodziewała się, że zaraz zostanie pobita i obrabowana.

– Wszyscy kochają nastolatków w tym kraju – westchnął James, opadając ciężko na swoje miejsce w rzędzie za Kerry.

Kerry uśmiechnęła się, co było rzadkością w obecności byłego

chłopaka. To prawda, że złamał jej serce, kiedy rzucił ją dla Dany, ale od tamtej pory minął prawie rok i James nie mógł zrozumieć, jakim cudem jeszcze jej nie przeszło. Tym bardziej że sama chodziła teraz z Bruce'em, który, odkąd Kyle odszedł z CHERUBA, był dla Jamesa kimś w rodzaju najlepszego przyjaciela.

– Masz jakieś wieści od Bruce'a? – zapytał James.

Kerry skinęła głową.

– Prosił, żeby cię pozdrowić. Uważa za całkiem zabawne, że odbywamy praktyki w tym samym miejscu.

– Radzi sobie jakoś?

Raczej tak. Tylko pogoda go wnerwia. Jak człowiek jedzie do Oz, to spodziewa się, że będzie upał, ale teraz jest środek ich zimy i Bruce mówi, że normalnie nic tylko mżawka.

James uśmiechnął się – to była najdłuższa rozmowa z Kerry, jaką przeprowadził od jedenastu miesięcy.

– Co wpisałaś jako pierwszy wybór na praktyki?

Bank Stern i Frank.

James skinął głową.

– Też o tym myślałem. Niezła fucha, no i dwa tygodnie spędzone w Londynie.

– To była najpopularniejsza opcja – powiedziała Kerry.

– Słyszałem jednak, że nie zawsze jest tak super, jak się mówi. W zeszłym roku praktyki przypadły w środku jakiejś wielkiej fuzji i Katie Price latała z dokumentami po całym budynku do pierwszej w nocy.

– To prawda, słyszałam – przytaknęła Kerry. – A potem powiedzieli jej jeszcze, żeby następnego dnia przyszła koniecznie na siódmą trzydzieści. Ale i tak wolałabym mieć w CV praktyki w banku, zamiast dwóch tygodni serwowania smażonych kurczaków i wracania do domu w ciuchach śmierdzących frytkami.

– Nie można mieć wszystkiego – westchnął filozoficznie James.

Autobus zatrzymał się na przystanku, by wpuścić mamę

z podwójnym wózkiem i trzema usmarowanymi czekoladą brzdącami. Kobieta wtarabaniła się do środka i zaczęła szukać portmonetki.

– Zawsze tak robią – jęknęła Kerry. – Dlaczego ci ludzie nigdy nie mogą przygotować sobie pieniędzy, kiedy czekają na przystanku?

*

Park rozrywki mieścił się na obrzeżach miasta oddalonego od kampusu o piętnaście kilometrów. Znajdowała się tam kręgielnia, dwunastosalowe kino i szczątki toru wrotkarskiego, który spłonął w latach dziewięćdziesiątych i nigdy nie został odbudowany. Parking mógł pomieścić sześćset samochodów, zaś Deluxe Chicken była jedną z pół tuzina wolno stojących restauracji zajmujących przydrożny pas terenu obok lokali wszystkich wielkich marek fast foodów, jak również myjni samochodowej, salonu z automatami oraz knajpki, w której piwo serwowano w plastikowych kubkach, by goście nie kaleczyli się w bijatykach, jakie wybuchały tam w piątkowe i sobotnie wieczory.

Jedno skrzydło drzwi u wejścia do Deluxe Chicken było zabite dyktą. James pociągnął z całej siły, ale drzwi ani drgnęły. Kerry załomotała w witrynę, by zwrócić uwagę młodej kobiety myjącej podłogę w środku. James ocenił jej wiek na mniej więcej dwadzieścia lat. Poniżej brzydkiej firmowej koszuli wypatrzył czarną spódniczkę mini i kształtne nogi ciągnące się aż do skarpetek stopek i mocno sponiewieranych różowych reeboków.

– W tym punkcie nie podajemy śniadań! – krzyknęła dziewczyna, klepiąc palcem w zegarek na swoim nadgarstku.

Kerry potrząsnęła głową i zawołała:

– Praktyki!

– Co? – odkrzyknęła dziewczyna, przykładając dłoń do ucha i przysuwając się bliżej szyby.

– My na praktyki – powtórzyła Kerry.

Dziewczyna uśmiechnęła się i wskazała na kontuar za sobą.

– Wejdźcie od tyłu i pytajcie o Gabriela.

– Dzięki! – zawołała Kerry, pokazując uniesione kciuki.

Alejkę oddzielającą Deluxe od sąsiedniej pizzerii pokrywała warstwa potłuczonych butelek po piwie.

– Miła okolica – wyszczerzył się James, przestępując wielką kałużę wyschniętych wymiocin, ale przestał się śmiać, napotkawszy jadowity wzrok Kerry. – Co znowu?

– Już ty wiesz co – powiedziała kwaśno Kerry.

James cmoknął z irytacją.

– Gdybym wiedział, to bym nie pytał.

– Patrzcie, patrzcie, niewiniątko się znalazło. Przecież widziałam, jak gapieś się na nogi tej babki.

– Dżizas, Kerry, zejdź już ze mnie!

– Nie na mojej zmianie – powiedziała Kerry, unosząc palec. – Spróbuj do niej choćby mrugnąć, a Dana dowie się o wszystkim w trzy sekundy.

– Masz paranoję – orzekł James. – Nie jestem maniakiem seksualnym, wiesz?

Przekroczyli próg tylnego wejścia do restauracji. Wykafelkowaną podłogę pokrywały liczne ślady butów, a zza szafy chłodniczej dobiegał niezdrowy warkot.

– Halo? – zawołała Kerry, nadając swojemu głosowi uprzejmy ton. – Czy ktoś tu jest?

Kiedy weszli do zdewastowanej kuchni, spojrzeli na nich żyłasty mężczyzna o trudnym do określenia kolorze skóry. Napis na jego identyfikatorze informował: „Gabriel, kierownik”.

– A, dzień dobry – powiedział Gabriel sarkastycznym tonem, zerkając na zegarek. – Miło, że wpadliście, ale czy nie mieliście być tu o dziesiątej, czyli ponad pół godziny temu?

James już miał się odgryźć, ale Kerry postanowiła dalej grać grzeczną dziewczynkę.

– Autobus jeździ raz na godzinę i dzisiaj akurat się spóźnił –

wyjaśniła pokornie.

– Byłbym zatem wdzięczny, gdybyście od jutra jeździli wcześniejszym autobusem – wysyczał Gabriel. – Oprócz waszego szkolenia mam na głowie jeszcze mnóstwo innych obowiązków.

James potrząsnął głową.

– Coś ci powiem, stary, może potracisz nam za to z pensji...? A nie, czekaj, przecież nikt nam nie płaci. Jesteśmy na praktykach.

Kerry dała mu kuksańca w żebro.

– Nie zaczynaj – wyszeptała.

– To jest miejsce, gdzie przygotowuje się jedzenie – oznajmił uroczyście Gabriel. – Tu najważniejsza jest higiena, higiena i jeszcze raz higiena. Jeżeli kurczak nie zostanie przygotowany i przyrządzony zgodnie z wytycznymi Deluxe Chicken, rezultatem może być nielecha porcja salmonelli dla klientów plus zła reklama i solidna grzywna dla firmy. Na początek chcę, żebyście przebrali się w koszule i czapki, a potem dokładnie umyli ręce. Dam wam podręczniki pracownika, które macie przestudiować, a kiedy poprawnie wypełnicie kwestionariusze znajdujące się na końcu, każde z was dostanie swoją pierwszą gwiazdkę na identyfikator.

– Ekstra – ucieszył się nieszczercze James.

Dziesięć minut później siedzieli przy restauracyjnym stoliku, James z kawą, Kerry z gorącą czekoladą. Każde z nich miało ołówek i broszurę z uśmiechniętymi rysunkowymi kurczakami na okładce i zachęcającym napisem: „Witajcie w globalnej rodzinie Deluxe Chicken”.

– Dobra, Kerry, zobaczymy, jak sobie z tym poradzisz – powiedział James, po czym zaczął czytać entuzjastycznym tonem niczym z amerykańskiej reklamy: – A teraz, skoro masz już za sobą rozdział o bezpieczeństwie i higienie pracy, odpowiedz na sześć następujących pytań. Pytanie numer jeden, po skorzystaniu z toalety każdy pracownik musi: A – wyłączyć światło w łazience, B – jak najszybciej powrócić do pracy, C – starannie umyć ręce mydłem

i gorącą wodą, a następnie wysuszyć je. Co wybierasz?

Kerry cmoknęła.

– James, dopiero co tu przyszliśmy. Przestań się wydurniać.

– Ale to jest głupie. – James pokręcił głową z niedowierzaniem, po czym przystąpił do odczytywania drugiego pytania: – W razie natknięcia się na rozlany płyn w części restauracji przeznaczonej dla klientów należy: A – ustawić nad plamą znak ostrzegawczy i dopilnować, by sprzątacznik niezwłocznie ją usunął, B – zignorować plamę, zostawiając ją pracownikom odpowiedzialnym za czystość, C – ściągnąć gatki, złapać się za kostki i osobiście powiększyć kałużę.

Kerry zachowywała kamienne milczenie.

– Ostatni punkt sam wymyśliłem, niezły jest, prawda?

– Ty to chyba nigdy nie dorośniesz – zirytowała się Kerry. – Jak cię stąd wyleją, Meryl każe ci biegać karne rundki, czyścić kible w kampusie i wszyscy znowu będziemy musieli wysłuchiwać biednego Jamesa narzekającego, że życie jest niesprawiedliwe.

James potrząsnął głową i pomachał w powietrzu rysunkowym kurczakiem.

– Tylko ty możesz traktować to poważnie. Ta broszura musiała przejść przez ręce co najmniej trzydziestu osób. Widzisz te ślady, gdzie ktoś powycierał odpowiedzi?

Tym razem Kerry nie powstrzymała uśmiechu.

– Niepokojące jest to, że sporo członków globalnej rodziny Deluxe Chicken odpowiedziało źle.

Parsknęli śmiechem w tej samej chwili, w której do stołu podeszła dziewczyna w mini. James zerknął na jej identyfikator z napisem: „Gemma, pracownik”, po czym uciekł wzrokiem w bok, starając się nie patrzeć na jej ciało. Była seksowna w osobliwy sposób, kojarzący się z dzinsowymi minispódniczkami i taną biżuterią.

– Oj, przepraszam – powiedziała nerwowo Kerry, zasłaniając dłonią roześmiane usta. – Nie chcieliśmy ci przeszkadzać.

– W myciu podłogi? – zapytała Gemma, unosząc jedną brew. – Mną możecie się nie przejmować. Jak chcecie tu pracować, to musicie pamiętać tylko o dwóch rzeczach. Po pierwsze, Gabriel to żałosna piła i wielbiciel regulaminów. To dlatego, że ma dwadzieścia osiem lat i nigdy nawet nie powąchał kobiety. Po drugie, wszystkie legendy, jakie na pewno słyszeliście, o skrzydełkach podnoszonych z podłogi, pluciu do frytek i rozpuszczaniu gumy do żucia we frytkownicach to najprawdziwsza prawda, zwłaszcza kiedy ja stoję w kuchni.

James roześmiał się i wyciągnął rękę do Gemmy.

– Widzę, że ty i ja wyznajemy tę samą etykę pracy – oznajmił, z zapalem potrząsając dłonią nowej koleżanki.

Kerry pokręciła głową i głośno westchnęła.

19. PLAN

Po kwadransie rozmowy z Makiem Laura wciąż nie była przekonana co do sensu swojej misji. Choć z pewnością w domu Bin Hassama wydarzyło się coś niedobrego, garstka billingów, wątpliwej wartości lista podejrzanych pasażerów i trzyzdaniowa rozmowa telefoniczna nie składały się na przekonujący obraz terrorystycznego spisku. Wprawdzie Zara i członkowie komisji etyki zatwierdzili plan operacji, ale Laura podejrzewała, że powodował nimi raczej szacunek dla byłego prezesa CHERUBA, niekoniecznie zaś autentyczna wiara w przeczucia Maca.

– Katastrofa zeszła już z pierwszych stron gazet i czołówek programów informacyjnych – powiedziała Laura, patrząc na Maca pomiędzy dwiema stertami poopisywanych teczek. – Czy są jakieś informacje, których nie podano do publicznej wiadomości? Oni chyba nigdy nie mieli pewności, czy to była usterka, czy zamach terrorystyczny.

– Do tej pory tego nie ustalono – odrzekł Mac. – W ubiegły piątek oglądałem wideokonferencję ekspertów lotniczych i glin po obu stronach Atlantyku. Mają kłopoty z wypracowaniem jakichkolwiek konkluzji. Wydobyli ponad osiemdziesiąt procent samolotu i prawie wszystkie ciała, ale częścią, której zbadanie mogłoby wreszcie

przynieść jakieś rezultaty, jest kawałek kadłuba pod skrzydłem, który oderwał się pierwszy, a ten spadł do morza ponad sto kilometrów od miejsca wodowania i prawdopodobnie poszedł na dno.

– Ale w telewizji mówili, że na pewno był wybuch – przypomniała Laura.

– Piloci zgłosili, że w centralnej części kadłuba doszło do eksplozji, która uszkodziła układy hydrauliczne i spowodowała pęknięcie lewego skrzydła, ale pytanie za milion dolarów brzmi: co wybuchło? Bomba? Ciśnieniowy pojemnik w którymś bagażu? Zwarcie w układach elektrycznych wznieciło pożar? To może być którakolwiek z setek potencjalnych przyczyn.

– Nie podawali przypadkiem informacji, że jakaś organizacja terrorystyczna przyznała się do zamachu?

– Nawet kilka organizacji – przytaknął Mac. – Terrorystom potrzebny jest rozgłos i zawsze kiedy zdarzy się coś takiego, można być pewnym, że kilka grup natychmiast ogłosi, że to ich sprawka. Problem jednak polega na tym, że żadna z organizacji nie przedstawiła przekonujących dowodów, które wsparłyby ich roszczenia.

– W dalszym ciągu jest zatem tak, jak powiedział ten facet następnego dnia po katastrofie: niczego nie zakładają ani niczego nie wykluczają.

– Zgadza się. – Mac kiwnął głową. – Ale jeśli to naprawdę terroryści, to mogą uderzyć po raz kolejny. Służby policyjne i wywiadowcze muszą traktować wypadek jako zamach terrorystyczny, dopóki śledczy nie orzekną, że było inaczej.

Laura drgnęła wystraszona chłopcym głosem, który rozległ się tuż za nią.

– Dobry, doktorku. Ona jest z nami czy nie?

Odwróciła się gwałtownie, by ujrzeć jedenastoletniego brata Bethany Jake'a przysuwającego sobie krzesło obok niej.

Mac uśmiechnął się.

– Jeszcze nie zdążyłem wtajemniczyć Laury w szczegóły misji.

– A, jasne. – Jake zamarł kilka centymetrów nad krzesłem. – To ja może pójdę i wrócę później.

Mac potrząsnął głową.

– Nawet lepiej, że jesteś. Przy tak doświadczonej agentce możesz się wiele nauczyć.

Laura wiedziała, że prędzej czy później wyląduje na misji, w której będzie czyjąś przełożoną, ale zawsze wyobrażała sobie siebie w roli życzliwej starszej siostry dla jakiejś młodszej agentki, a nie opiekunki wstrętnego braciszka swojej najlepszej przyjaciółki.

Jake potrafił być upierdliwy do bólu, a to, że wtajemniczono go pierwszego, był dla Laury gorzką pigułką – zwykle odprawy urządzano najpierw dla bardziej doświadczonych członków zespołu. Z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że Fahim prędzej zaprzyjaźni się z chłopcem w swoim wieku niż z dziewczyną, i to starszą o dwa lata. Ponadto dla Jake'a była to pierwsza prawdziwa misja, istniała zatem szansa, że w kwestii zachowania chłopak będzie się pilnował.

– Rozumiem, że znacie się całkiem dobrze.

Laura i Jake przytakująco pokiwali głowami.

– W pierwszej wersji planu miałem wziąć Jake'a i Bethany – ciągnął Mac – ale Bethany potrzebuje czasu, żeby dojść do siebie po misji w Brazylii, i pomyśleliśmy z Zará, że wy dwoje bylibyście drugim najlepszym wyjściem. Fahim rozpoczął naukę w nowej szkole w ubiegłym tygodniu. To jedna z najgorszych szkół w Camden i zawsze brakuje im uczniów, więc z zapisaniem was nie powinno być większych problemów. Przy odrobinie szczęścia Fahim nie znajdzie sobie do tej pory żadnego bliskiego kumpla. Misja zacznie się jako rutynowa operacja wywiadowcza. Zbierzemy trochę informacji i zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. Ojciec Fahima pracuje w domu, co oznacza, że dostając się do ich willi, powinniście być w stanie nie tylko przeszukać i obsadzić pluskwami

mieszkanie Hassama Bin Hassama, ale też dostać się do jego biura i być może włamać do jego plików komputerowych. Chciałbym też, żebyście wycisnęli z Fahima wszystko, co chłopak wie o swoich rodzicach oraz ich możliwych powiązaniach z grupami przestępczymi.

– Zakładając, że nie jest zwykłym niedopieczonym świrem, który zadzwonił na gorącą linię, bo kręcą go takie numery – wtrącił Jake.

Laura poczuła przyływ irytacji, ale zwalczyła pokusę wygłoszenia złośliwego komentarza.

– Czy mogłabym zasugerować wysłanie drugiego chłopca? – powiedziała. – Istnieje ryzyko, że Jake i Fahim nie będą się dogadywać.

Mac potrząsnął głową.

– Jeśli zagrożenie terrorystyczne jest realne, to kolejny atak może nastąpić w każdej chwili, dlatego stosujemy otwarte podejście.

– To znaczy, że mówimy mu, kim naprawdę jesteśmy – powiedział Jake do Laury.

Laura spiorunowała go wzrokiem i naciągnęła w dół swoją koszulkę.

– Wiem, co to jest otwarte podejście, Parker. Widzisz tę koszulkę? Ten kolor oznacza, że znam się na tej robocie.

Jake cmoknął pogardliwie, a Mac uderzył dłonią w blat, by zwrócić uwagę agentów. Jego głos miał twardość granitu.

– Jake, to jest twoja pierwsza szansa na wykazanie się w prestiżowej misji. Lauro, dopiero co cofnięto ci zakaz udziału w misjach, który był karą za złe zachowanie. Spodziewam się, że oboje wykażecie odrobinę zdrowego rozsądku i będziecie zgodnie współpracować, by jak najlepiej wykorzystać tę szansę. Czy mogę na to liczyć?

– Tak jest, sir! – Laura i Jake nagle zeszywnieli.

– Jeżeli ta misja ma się powieść, to muszę mieć absolutną

pewność, że oboje jesteście wystarczająco dojrzały, by zapomnieć o wszelkich animozjach, jakie mogą was dzielić. Czy to jest kryształowo jasne?

Po kolejnej rundce przytakiwań Laura odważyła się zadać pytanie.

– Czy otwarte podejście nie jest jednak w tym wypadku zbyt ryzykowne? Zwłaszcza kiedy nie stwierdzono wyraźnych powiązań z terroryzmem.

– Ryzyko jest nikłe – odrzekł Mac. – Podobne podejmujemy za każdym razem, kiedy ściągamy kandydata do kampusu na testy rekrutacyjne, a potencjalne korzyści są znacznie większe. Wiemy, że Fahim rozważał już pomysł zgłoszenia się na policję i otwarte podejście będzie szybsze. Zamiast tracić tydzień lub więcej na budowanie zaufania i infiltrację domu Fahima, wykładamy karty na stół w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od początku operacji. Jeżeli odmówi współpracy, to możemy zastosować presję, mówiąc Fahimowi, że policja będzie zmuszona aresztować jego ojca i przeprowadzić śledztwo w sprawie telefonu na gorącą linię.

– No ale lepiej spróbować po dobremu, co nie? – rzucił błyskotliwie Jake.

– Zawsze – przytaknął Mac. – Kontakt, który chce współpracować, jest pewniejszy od takiego, który działa pod przymusem. Jeżeli nie uda się wam zdobyć zaufania Fahima, chcę tylko, żebyście trochę przykręcili mu śrubę, nic więcej.

– Jasne, szefie – wypalił Jake.

Laura nie była zachwycona ograniczoną ilością śladów stojących za misją Maca, ale entuzjazm Jake'a uświadomił jej, jak bardzo zblazowaną uczyniło ją doświadczenie.

Mac mówił dalej:

– Kolejnym czynnikiem działającym na naszą korzyść jest to, że w całej tej historii Fahim jest postacią raczej osamotnioną. Jaśmina Hassam zniknęła, jedynym bliskim członkiem rodziny Fahima jest

jego ojciec, zaś historia problemów emocjonalnych chłopca oznacza, że trudno będzie mu uchodzić za wiarygodnego świadka, jeżeli poskarży się komuś, iż nachodzili go nieletni szpiedzy.

– To kiedy ja i Jake zajmujemy pozycje? – zapytała Laura.

– Jak najszybciej. Załatwiliśmy wam kwatery niedaleko domu Fahima. Będziecie mogli jeździć do szkoły tym samym autobusem co on.

– Kto koordynuje misję? – zapytała Laura. – Pan?

Mac kiwnął głową.

– Nie pracowałem jako koordynator od dwudziestu lat, ale wszyscy inni są zawałeni robotą, a poza tym podczas gdy będziecie w szkole, będę mógł nadal przedzierać się przez nowe raporty i informacje dotyczące katastrofy.

Jake wyszczerzył zęby w łobuzerskim uśmiechu.

– Ale jesteś za stary, żeby być naszym ojcem. Będziemy musieli nazywać cię dziadkiem.

Mac dopiero co stracił wnuka i Laura pomyślała, że Jake wykazał całkowity brak taktu, ale doktor McAfferty wydawał się rozbawiony i żartobliwie skarcił chłopca lekkim pacnięciem linijką w dłoń.

20. KIEROWNIK

W dzień powszedni nawet szczyt w porze lunchu nie zapędzał do Deluxe więcej niż dziesięciu klientów naraz, a kolejka przy kasie rzadko liczyła więcej niż trzy osoby.

– Dzień dobry – rozpromieniła się Kerry, stojąc za kasą w nylonowej koszuli i papierowym czepku. – Witamy w Deluxe Chicken. Czym mogę służyć?

Klientka przypominała balon na ogrzane powietrze wciśnięty w skórzaną kurtkę. Ostra woń jej dezodorantu skutecznie tłumiała zapach kipiącego we frytownicach tłuszczu.

– Poproszę o dwa Megazestawy Deluxe, jeden z fantą, drugi z prażoną fasolką – oznajmiła. – Aha, i mam kupon na pół ceny z dzisiejszej gazety.

Kerry spojrzała na papierowy kwadracik, a potem odwróciła się i zajrzała do kuchni przez aluminiowy regał zastawiony pudełkami z frytkami i kawałkami kurczaka.

– Przepraszam. Gemma? Gabriel? – zawołała, ale wszyscy jakby zapadli się pod ziemię.

Panicznie przebiegła wzrokiem po kratce przycisków na pulpicie kasy. Zauważyła jeden z napisem zniżka i nacisnęła go, ale na ekranie zamigotało polecenie: „Wprowadź kod” a ona nie wiedziała,

co to znaczy, a bardzo nie chciała czegoś zepsuć.

– Bardzo mi przykro – powiedziała do klientki. – To mój pierwszy dzień i nie wiem, co nacisnąć, żeby wprowadzić zniżkę do kasy. Proszę sekundkę poczekać.

Kerry okrążyła regał i weszła do kuchni, gdzie znalazła Gemmę, Jamesa i jeszcze jednego pracownika o imieniu Randall kucających za stołem do przygotowywania posiłków. Wszyscy szczerzyli zęby w złośliwym uśmiechu.

Kerry fuknęła gniewnie.

– Przestańcie się wydurniać i niech ktoś mi pomoże.

James roześmiał się, a Gemma wstała i podeszła do lady, witając klientkę szyderczym grymasem.

– Przepraszam, że musiała pani czekać – powiedziała Kerry.

Gemma zgarnęła kupon i zaczęła go wnikliwie studiować. Klientka była coraz bardziej zniecierpliwiona.

– Nie można szybciej? Za piętnaście minut muszę wracać do pracy.

– Okej – powiedziała Gemma, pochylając się nad kasą Kerry. – Spójrz, tu na dole kuponu jest napisane PROM6. To znaczy, że masz wcisnąć guzik „Promocja”, a potem szóstkę. Zniżka jest tylko na zamówienia specjalne i tylko kierownik może ją zatwierdzić.

Kerry postąpiła zgodnie ze wskazówką i komputer zmniejszył cenę jednego zestawu o połowę. Następnie odwróciła się i potoczyła wzrokiem po półkach.

– Gdzie fasolka? – krzyknęła z rozpaczą.

Randall wstał i wzruszył ramionami.

– Będzie za pięć minut.

Podręcznik pracownika Deluxe Chicken zabraniał zniechęcania klientów zdradzaniem, jak długo potrwa przygotowanie posiłku. Pracownik miał mówić jedynie: „Za chwilę będzie gotowe”, ale Kerry nie lubiła kłamać.

– Pięć minut – westchnęła.

Klientka wciągnęła powietrze przez zęby.

– Dobra, daj mi po prostu dwie cholerne fanty.

Zanim Kerry przygotowała jedzenie dla niecierplivej klientki, w kolejce stanęła następna osoba. Randall w kuchni, smażyć kawałki kurczaka i przygotowując kanapki, ale Kerry gniewało to, że tylko ona obsługiwała klientów, podczas gdy James i Gemma obijali się na zapleczu.

Na szczęście, kiedy do kolejki dołączyli dwaj kolejni klienci, w drzwiach gabinetu kierownika stanął Gabriel.

– Uwijać się, ludziska! – zawołał i przykuł Gemmę do miejsca gniewnym spojrzeniem. – Dlaczego widzę kolejkę klientów i tylko jedną otwartą kasę? Randall, rusz ten tłusty tyłek. Kerry, dobra robota, tak trzymaj. James...

Żyłasty kierownik zmierzył złym wzrokiem nowego pracownika, który śmiał odszczekiwać mu się podczas pierwszego spotkania.

– James, odnoszę wrażenie, że rozsyłasz niedobre wibracje – podjął po chwili. – Nie sądzę, żebyś z takim nastawieniem nadawał się do obsługiwania klientów, dlatego weźmiesz wiadro gorącej wody, szczotkę, a potem pójdziesz za budynek, zmyjesz powweekendowe wymiociny i zamieciesz całe to potłuczone szkło.

James, wściekły, że Gabriel się na nim odgrywa, miał ogromną ochotę powiedzieć mu, gdzie może sobie wsadzić swoje rozkazy, ale wiedział, że Meryl pourywa mu ważne części ciała, jeśli pozwoli wyrzucić się z praktyk niecałe trzy godziny po ich rozpoczęciu. Napęłnił wiadro środkiem dezynfekującym i gorącą wodą, po czym powlókł się na dwór, pomstując na beznadziejną robotę, w jakiej wylądował.

Tymczasem w restauracji kolejka stopniała, odkąd Gemma stanęła przy drugiej kasie, więc Gabriel poprosił Kerry do drugiej kuchni wykorzystywanej tylko w piątkowe i sobotnie wieczory, kiedy lokal pęczniał od kręglarzy i kinomanów.

Wyglądasz mi na mądrą dziewczynkę – zaczął kierownik

z uśmiechem. – Chcesz, żebym ci pokazał to i owo?

Kerry odwzajemniła uśmiech i z zapałem pokiwała głową. James posłał jej mroczne spojrzenie, stając na progu z kubłem pełnym odłamków szkła.

– Ach, James – powiedział Gabriel z przekąsem. – Kiedy z tym skończysz, możesz wynieść śmieci i powycierać stoliki w restauracji.

Mijając Jamesa przy tylnym wejściu, Kerry nie oparła się pokusie pokazania mu języka.

– To jest standardowa stacja kuchenna używana w restauracjach Deluxe Chicken na całym świecie – wyjaśnił Gabriel, rozkoszując się brzmieniem własnego głosu i stając jak na gust Kerry nieco zbyt blisko niej. – Trzy stanowiska do smażenia w głębokim tłuszczu: tu chickenburgery, tu kawałki kurczaka, tu frytki. Poza tym stanowisko panierowania, sałatkowania, gdzie przyrządzamy nasze sandwicze i bagietki, a nad twoją głową dwie kuchenki mikrofalowe, by nasze kanapki zawsze trafiały do klientów w odpowiedniej temperaturze. Podstawowym składnikiem jest kurczak mrożony w kawałkach. Przynosi się go z chłodni w pudełkach i na każdym z nich – o tu, widzisz? – jest kolorowy kwadracik. Po prostu ustawiasz na pokrętle frytownicy taki sam kolor, jaki ma kwadracik, i komputer automatycznie ustawia zegar na właściwy czas smażenia.

Kerry spojrzała na mleczne złogi zastygłego tłuszczu w komorach frytownic.

– Ile czasu trzeba, żeby tłuszcz się nagrzał?

– Jakies piętnaście minut. Czas rozgrzewania tłuszczu operator powinien wykorzystać na napełnienie pojemników sałatkami i dodatkami z lodówki oraz przetarcie blatów i wnętrza mikrofalówek żelem antybakteryjnym.

Gabriel smęcił w tym mało porywającym stylu przez kolejnych dziesięć minut, ale Kerry, zdecydowana zrobić dobre wrażenie, kiwała głową, śmiała się z nieudolnych żarcików szefa i zadawała

mnóstwo pytań. Gabriel miał denerwujący nawyk stawania zbyt blisko niej – odruch, który wydał się Kerry wybitnie odpychający, ale który ignorowała do momentu, kiedy kierownik położył jej dłoń na pośladku.

– Zabieraj rękę – warknęła przez zęby. – Ale już.

Gabriel uśmiechnął się oblesnie.

– Chcę się tylko z tobą zaprzyjaźnić, malutka – powiedział, delikatnie szczypiąc ją w policzek.

Kerry cofnęła się o krok, położyła dłoń na potylicy swojego szefa i pchnęła. Gabriel grzmotnął czołem w drzwiczki mikrofalówki z taką siłą, że poluzował się jeden ze wsporników utrzymujących ją na ścianie.

– Hej! – krzyknął, łapiąc się za głowę jedną ręką i wyciągając ostrzegawczo palec w stronę Kerry. – Uważaj, znam karate.

– Co ty powiesz? – prychnęła Kerry. – Ja też.

James usłyszał rumor i wbiegł do środka, by zastać tam Randalla i Gemmę przypatrujących się scenie w zdumieniu.

– Jeszcze raz dotkniesz mojego tyłka, chudy zboku, albo w ogóle czyjegokolwiek tyłka, to w twoich frytownicach zaskwierczą nie tylko kawałki kurzych trupów – syczała Kerry.

Kerry kusiło, żeby złamać Gabrielowi wycelowany w nią palec, ale nie chciała, żeby doznał trwałych uszkodzeń, więc tylko pchnęła go w tył, na drzwi chłodni.

– Znasz karate, tak? – powiedziała kpiąco, przyjmując postawę i przyzywając Gabriela gestem. – No to dawaj, chudy, pokaż, co potrafisz.

Gemma podskoczyła z radości i głośno klasnęła w ręce.

– Dobrze, siostrzko! – zawołała. – Ja już mu mówiłam: jak jeszcze raz te brudne łapska zabłądzą koło mojego tyłka, mój Danny spuści mu taki łomot, że nie wiem.

Gabriel wciąż był oszołomiony po bliskim spotkaniu z mikrofalówką i zdecydował, że lepiej nie ryzykować.

Wracać do pracy. Wszyscy! – zawołał, wymachując nerwowo patykowatymi ramionami, po czym pobiegł do swojego mikrobiura i trzasnął za sobą drzwiami.

Gemma przyskoczyła do Kerry.

– Nic ci nie jest? – zapytała ze współczuciem.

– Z pewnością mam się lepiej niż jego głowa – odparła Kerry, wykrzywiając usta w złośliwym grymasie.

– Rządzisz, siostra! – wyszczerzyła się Gemma, unosząc dłoń, by przybić z Kerry piątkę. – Myślałam, że jesteś trochę beton, ale pokazałaś mu. A jak!

– Nienawidzę takich ludzi – powiedziała Kerry, kiedy James podszedł do kuchenki mikrofalowej, by podziwiać pęknięcie, jakie głowa Gabriela pozostawiła na plastikowej obudowie drzwiczek. – Pierwszy dzień w pracy, kiedy człowiek jest jeszcze niepewny... Kurczę, ja umiem się bronić, ale mnóstwo innych dziewczyn niekoniecznie.

21. SZKOŁA

Jednostka Pogotowia Relokacyjnego jest podwydziałem służb wywiadowczych zajmującym się ekspresowym organizowaniem kwater dla każdego – od agentów CHERUBA po świadków koronnych. W ciągu dwóch dni od zgłoszenia przez Maca zapotrzebowania na mieszkanie w pobliżu domu Hassama Bin Hassama w Hampstead oferty lokalnych agencji nieruchomości zostały sprawdzone i dla zespołu dyskretnie wynajęto trzysypialniowe mieszkanie w luksusowym apartamentowcu.

Zapisaniem Jake'a i Laury do szkoły Mac zajął się osobiście. Z biegiem lat CHERUB wypracował wiele skutecznych metod takiego manipulowania personelem szkół i ich systemami komputerowymi, by młodzi agenci niezawodnie lądowali w tych samych klasach co ich cele.

Trzy godziny po odprawie Mac mknął autostradą, wioząc Laurę obok siebie, Jake'a z tyłu, a ich torby upchnięte w bagażniku. Jechał szybko, ponieważ musieli jeszcze kupić szkolne krawaty i tarcze, a potem zdążyć na spotkanie z dyrektorem szkoły umówione na siedemnastą.

*

Od kiedy Laura dołączyła do CHERUBA, nocowała

w przeróżnych miejscach, ale pierwszej nocy w nowym łóżku zawsze miała kłopoty z zaśnięciem. Wydawało się, że nawet bogate doświadczenie nie jest w stanie stłumić tremy, jaka spływała na nią na początku każdej misji. Przeciwnie, po tym jak ją postrzelono, porwano, spryskano gazem pieprzowym i omal nie wysadzono jej w powietrze, stała się jeszcze bardziej nerwowa.

Mac przyrządził typowe angielskie śniadanie, ale Laura smętnie pogmerzała w jedzeniu widelcem, by w końcu zmusić się do przełknięcia dwóch kąsków jajecznicy i odepchnąć talerz od siebie.

– Czyżby moja kuchnia nie trzymała poziomu? – zaniepokoił się Mac, opróżniając talerz do kosza na odpadki i wkładając go do zmywarki.

– To nie to. Trema przed nową misją – wyjaśniła Laura.

Mac skinął głową i zerknął na zegarek.

– To chyba normalne.

– Zawsze mi mija, kiedy już akcja się zacznie i wiem, co jest grane – powiedziała Laura. – To chyba strach przed nieznanym tak mnie męczy.

– A ty, Jake? – zainteresował się Mac. – Trzymasz się?

Jake siedział przy kuchennym stole, pałaszując śniadanie, ubrany tylko w piłkarskie szorty i szmatławe białe skarpety, których nie zmienił od poprzedniego dnia. Był drobny jak na jedenaście lat, miał czarne sterczące włosy, wielkie brązowe oczy i dziecięco uroczą twarz.

– Ja tam się nigdy nie boję – oznajmił, lekko sepleniąc z powodu policzków wypchanych kawałkami grzanki i bekonem. – Przeszedłem szkolenie i wiem, co robię. To znaczy właściwie mniej więcej.

Laura zgrzytnęła zębami. Ten mały koleś był tak przemądrzały, że chciało jej się krzyknąć.

– Na twoim miejscu potraktowałabym sprawę trochę poważniej, Jake – ostrzegła. – Jeśli coś pójdzie nie tak na szkoleniu, to najwyżej

się trochę połamiesz i będziesz musiał zacząć od nowa. Jak skisisz na misji, to ja, ty i być może wielu innych ludzi może pójść przez to do piachu.

– Tak, tak, wiem – lekceważąco machnął ręką Jake. – Słyszę ten sam tekst, od kiedy skończyłem pięć lat. Nie jestem głupi, wiesz? Po prostu nie widzę najmniejszego sensu w zamartwianiu się rzeczami, na które i tak nie mam wpływu. – Jake spojrzał na Maca. – Hej, doktorku, ta twoja jajecznicca jest sto razy lepsza od tej, którą dają w kampusie. Słowo. Są dokładki?

Laura jęknęła w duchu i wstała, by pójść na korytarz po swój szkolny mundurek. W głowie kołatała jej myśl, że to będzie prawdziwy cud, jeżeli zdoła przetrwać tę misję, powstrzymując chęć dzielenia Jake'a przez łeb.

Fahim nie dostał się do Burleigh Arts and Media, gdzie uczył się jego kolega Louis, ponieważ szkoła miała długą listę oczekujących. Zamiast tego musiał jeździć autobusem na drugi kraniec dzielnicy i chodzić do Camden Central. Był to ten rodzaj śródmiejskiego gimnazjum, jaki zamożnych rodziców przejmuje dreszczem grozy.

*

Fahim nie znosił swojej szkoły, ale nie śmiał się skarżyć. Podejrzewał, że ojciec nadal planuje zesłanie go do Abu Zabi, i nie chciał dostarczać mu argumentów.

W jego klasie było kilka osób najzupełniej w porządku, ale w miejscach publicznych samotni siódmoklasiści mieli ciężkie życie. Pięciominutowa droga od przystanku do ławki zawsze była stresującym przeżyciem i Fahim szybko nauczył się stosować taktyki minimalizujące ryzyko. Chodził szybko, trzymając ręce w kieszeniach, a wzrok wbijając w ziemię tuż przed swoimi stopami.

Laura i Jake pojechali do szkoły wcześniej, by mieć pewność, że złapią Fahima, kiedy będzie wysiadał z autobusu.

– Jest grubszy niż na zdjęciu z poprzedniej szkoły – powiedział

półgłosem Jake, kiedy wstali z ławki na przystanku i ruszyli kilka kroków za swoim celem. Nie mieli kłopotów z wtopieniem się w tłum, ponieważ na ulicy roіło się od dzieci w czarnych mundurkach i niebieskich krawatach, takich samych jak ich własne.

– Wygląda na przygnębionego – powiedziała Laura. – Jak ryba wyciągnięta z wody.

Fahim naprawdę był przygnębiony. Jego ojciec wymyślał kolejne powody, dla których mama nie wracała do domu i rzekomo nie można się było z nią skontaktować, ale Fahim nie miał wątpliwości, że to łgarstwa. Hassam twierdził na przykład, że dzwonił do Jaśminy na jej komórkę, która tymczasem – o czym Fahim doskonale wiedział – leżała w jej garderobie z wyładowaną baterią.

Na początku Hassam utrzymywał, że Fahim nie może porozmawiać z mamą, ponieważ ta jest gdzieś na wsi, gdzie ciągle rwie się sygnał. Tydzień później oznajmił, że Jaśmina musiała nagle polecieć do Dubaju, żeby zająć się chorym krewnym. Jednak Fahim znał kombinację otwierającą sejf jego ojca i kiedy zajrzał tam, podczas gdy Hassam był na spotkaniu, w środku znalazł paszporty wszystkich członków rodziny.

W nowej szkole Fahim nie miał żadnych przyjaciół i zwykle wyrzucał z głowy wszelkie myśli o mamie, ponieważ nieodmiennie wyciskały mu łzy z oczu. W najczarniejszych chwilach rozważał pomysł popełnienia samobójstwa. Myślał też o zabiciu ojca albo zgłoszeniu się na policję, ale potencjalne konsekwencje przerażały go.

Z mamą, która zaginęła bez wieści, i ojcem za kratkami Fahim zostałby adoptowany przez dziadka albo stryjka Asifa, a każda z tych opcji była biletem w jedną stronę do ultrasurowego wychowania, jakie musieli znosić jego kuzyni.

– Co za beka smalcu – powiedział Jake, szczerząc zęby do Laury, kiedy Fahim wyszedł z kiosku ze snickersem i paczką skittles w dłoni.

– Możesz się zamknąć chociaż na dwie sekundy? – zdenerwowała się Laura.

Jake uśmiechnął się.

– Sorry, zapomniałem że jesteś przewrażliwiona na tym punkcie. Bethany mówiła, że twoja mama była grubaską.

Laura zacisnęła zęby.

– Jake, jeżeli chcesz zatrzymać uzębienie we wnętrzu swojego pustego łba, to radzę ci, nie wyrażaj się w taki sposób o mojej mamie.

– No już, przepraszam – odparł Jake nieszczercze. – Nie nakręcaj się tak, dobra?

Dotarli do bramy szkoły. W dwa tysiące trzecim roku Camden Central otworzyła swoje podwoje dla obu płci w rozpaczliwej próbie pozyskania dodatkowych uczniów, ale i tak na każdą dziewczynę przypadało tu pięciu chłopaków. Oprócz garstki dzieciaków, które nie dostały się do szkół pierwszego wyboru, wszyscy pochodzili z pobliskich biednych osiedli i większość twarzy była czarna albo skośnooka. Laura czuła się nieswojo. Białe dziewczęta były tu egzotyką i czuła na sobie śliskie spojrzenia chłopców taksujących ją wzrokiem ze wszystkich stron.

– Wypnij się i pokaż mi trochę tej dupci! – krzyknął jakiś jedenastoklasista, podczas gdy jeden z jego kumpli posyłał Laurze całusy, a inny, trzymając się za krocze, rzucał biodrami w jej stronę.

Laurze zapłonęły policzki ze wstydu. Pocieszała się myślą, że jej umiejętności bojowe pozwolą roztrzaskać każde przerośnięte ego, gdyby chłopcy spróbowali czegokolwiek więcej poza zaczepkami słownymi, ale gorzko pożałowała, że dumna ze swoich nóg wybrała najkrótszą spódniczkę, jaką udało jej się znaleźć w magazynie mundurków w kampusie.

– Hej, gdzie leziesz? – zawołał Jake, łapiąc Laurę za blezer, kiedy pokonawszy cztery schodki, przestąpili próg szkoły.

Zdenerwowana zaczepkami chłopców nie zauważyła, że Fahim

skręcił w prawo. Wąski korytarz rozbrzmiewał echem wrzasków rozbrykanej młodzieży. Jakiś dzieciak krzyknął, kiedy futbolówka huknęła w drzwi o kilka centymetrów od jego głowy.

– Prawie! – zawołał jakiś głos. – Ale farciarz.

– O, Faahiiim – zaśpiewał muskularny Azjata o imieniu Alom.

Na korytarzu zakotłowało się. Fahim nie zdążył nawet mrugnąć, gdy został złapany za kołnierz i przyparty do ściany przy wtórce skandowania kompanów Aloma.

– Fa–him, Fa–him, Fa–him!

Wszyscy oprawcy byli trzynastoletkami, a jedenastoletni Fahim miał zrezygnowaną minę kogoś, kto wie, że ma przechłapanie.

– O, Skittles! – ucieszył się Alom, wyjmując czerwoną torebkę z kieszeni blezera swojej ofiary.

Otworzył ją i odchyliwszy głowę, dekadencckim gestem wsypał sobie zawartość do ust. Mniej więcej połowa cukierków trafiła mu między wargi; reszta odbiła się od twarzy i zagrzechotała na płytkach posadzki. Laura i Jake zatrzymali się i oparli o ścianę, jakby czekali przed klasą na lekcję.

– Hej, Fahim! – zawołał radośnie inny oprych i dźgnął Fahima w żebra.

– A teraz słuchaj... – zaseplenił Alom, zmagając się z masą cukierków wypychającą mu usta. – Problem w tym, Fahimku, że chyba straciłem apetyt.

Podsunał sobie dłoń pod brodę, wypluł na nią wielobarwną bryłę przeżutych cukierków, i wyszczerzył zęby w złym uśmiechu.

– Coś ci powiem, Fahimku, a może ty masz ochotę?

Fahim w panice spojrzał w jedną, a potem w drugą stronę korytarza, modląc się o nauczyciela, który ocaliłby mu skórę.

– Nalegam – uśmiechnął się Alom. – Wcinaj albo zobaczymy się znowu po szkole.

Wokół Fahima zebrał się zbity tłum gapiów, wśród których byli także jego rówieśnicy z siódmej klasy. Jake oderwał się od ściany,

ale Laura przyciągnęła go z powrotem.

– Zostaw. Jak mu teraz pomożemy, będzie miał u nas niezły dług – powiedział Jake.

– Rusz głową – odparła Laura, pukając się w czoło. – Jak porwiesz się na tę bandę tutaj, będzie rewolucja. W najlepszym razie dostanie się nam za wszczynanie bójek, w najgorszym któryś z tych świrów zasunie ci kosą.

Tłum zaczął skandować.

– Wci–naj, wci–naj, wci–naj...

Fahim wydawał się bliski łez.

– Wcinaj albo łomot, Fahim – zagroził Alom.

Reszta bandy podeszła tak blisko, że Fahim czuł na twarzy ich skiste oddechy. Wszyscy umilkli, kiedy wziął z masywnej łapy Aloma grudę zaślinionych cukierków. Fahim otworzył usta i uniósł do nich cukierki.

– Wtranżalaj, grubasie.

Kiedy gruda prawie dotykała jego warg, Fahim nagle machnął dłonią przed sobą.

– A gównno! – wrzasnął z furją.

Dziewięcioklasiści uskoczyli w porę, ale Alom nie zdążył. Fahim rozbił mu owocową grudę na podbródku, a resztę roztarł na koszuli, pozostawiając na niej tęczową smugę.

Nagły zwrot akcji wprowadził wszystkich w osłupienie. Wykorzystując swoją masę, Fahim desperacko rzucił się naprzód i wyrwał z tłumu, który wydał z siebie chóralny jęk zdumienia.

– Szalony dzieciak – wyszczerzyła zęby Laura.

Jednak dziewięcioklasiści nie podzielali jej zachwyty.

– Możesz uciekać, tłuściochu! – krzyknął Alom, wpatrując się ze zgrozą w plamy na swojej koszuli. – W końcu cię dorwę, a wtedy będziesz trupem.

Kilkoro siódmoklasistów parsknęło śmiechem. Laura .piorunowała wzrokiem przechodzącego obok piętnastolatka, który

otał się o nią, mruczając: „Cześć, mała”. A potem Alom stracił resztkę panowania nad sobą. Zaczął się ciskać i naskakiwać na ludzi dookoła.

– No i co się gapicie, zdrańcy? Woni mi z oczu, gównojady, albo porozwalam wam łby!

Nagle odwrócił się i zobaczył, że kilku jego kumpli także ma radosne miny.

– No co? Co z wami, do bulwy przędzy?! Dlaczego daliście mu zwiąć?

Jego kompani zaczęli wzruszać ramionami i mamrotać coś o zaskoczeniu. Laura spojrzała na zegarek, a potem na Jake'a.

– Dobra, idź na lekcje i spróbuj być miły dla Fahima – wyszeptała.

– Moja klasa jest piętro wyżej, ale jakby co, to mam telefon.

– Ekstra – Jake radośnie wyszczerzył zęby. – Może to i tłusta dupa, ale jaja ma z żelaza.

22. MĘTY

Drugi dzień praktyk w Deluxe Chicken James rozpoczął w lekko melancholijnym nastroju. Kerry przyszła do pracy w podartych dżinsach i pokrytych zaskorupiałym błotem adidasach, których w kampusie używała do biegania. Celowo złamała regulamin, nie zapinając swojej firmowej koszuli, by móc straszyć jedną z koszulek Bruce'a, ozdobioną krwawym plakatem z filmu kung-fu. Widać było, że szuka zwady z kierownikiem, ale Gabriel zaszył się w swoim gabinecie, udając, że ma mnóstwo pilnej roboty i powierzając Gemmie pieczę nad załogą składającą się tego dnia z Jamesa, Kerry i poczciwego starszego jegomościa o imieniu Harold, który pracował trzy dni w tygodniu, dorabiając do emerytury. Dwie dodatkowe osoby miały przyjść później, żeby pomóc w ruchliwych godzinach pory lunchu.

Czworo pracowników Deluxe Chicken stało w swobodnych pozach w kuchni, opierając się o sprzęt.

– Gabriel się ciebie boi, Kerry – oznajmiła Gemma z satysfakcją. – Wie, że gdybyś złożyła na niego skargę, mogliby go wylać, a nawet gdyby jakoś się wyłgał, to w życiu by nie awansował.

Kerry usiadła na kontuarze do obsługi, co było kolejnym naruszeniem przepisów.

– I lepiej niech się boi – skrzywiła się szyderczo. – Jak jeszcze raz mnie dotknie, nie przywalę jego łbem w mikrofalówkę, tylko wetknę go do środka i dam mu osiemset watów.

James prawie popłakał się ze śmiechu.

– To niezłe – chlipnął. – Wy nie znacie Kerry, ale to typ grzecznej dziewczynki. To jest zupełnie do niej niepodobne. Jak w tym odcinku *Simpsonów*, kiedy Lisa się demoralizuje, zaczyna palić i każe panie Hoover się wypchać...

– Nie jestem aż taka drętwa, James – zaprotestowała Kerry. – Czasem tak mnie przedstawiasz, że można by pomyśleć, że nawet nie pierdę.

James miał ochotę jeszcze się poprzekomarzać, ale żeby ciągnąć dalej spór z Kerry, musiałby użyć jako przykładów zdarzeń, jakie miały miejsce w kampusie, a na to nie mógł sobie pozwolić przy Gemmie i Haroldzie.

Już wcześniej, w autobusie, zauważył, że jego eksdziewczyna jest o wiele bardziej rozmowna, a ponieważ jej chłopak Bruce był na misji, a najlepsza przyjaciółka Gabriella, spędzała większość czasu ze swoją sympatią Michaelem, James podejrzewał, że Kerry czuje się samotna. Może nawet, gdyby to dobrze rozegrał, dałaby się skusić na małe nielegalne świntuszonko...

Jednak gdy tylko o tym pomyślał, w głowie włączyła mu się lampka alarmowa. Istniało wiele powodów, dla których nie powinien znowu startować do Kerry: kiedy byli razem, ich związek pędził na oślep od jednej katastrofy do następnej, James był obecnie w szczęśliwym związku z Daną, a Kerry była dziewczyną Bruce'a Norrisa, nie tylko jednego z najlepszych kumpli Jamesa, lecz także niedoścignionego mistrza sztuk walki, który skreśliłby kark każdemu, kto pod jego nieobecność odważyłby się podrywać jego dziewczynę.

Przeciwwagę dla tych solidnych argumentów stanowił niezaprzeczalny fakt: między Jamesem i Kerry iskrzyło od dnia ich

pierwszego spotkania. James kochał Danę, ale to nie wyleczyło go z dreszczu, jaki przebiegał mu po grzbiecie za każdym razem, kiedy Kerry uśmiechała się w sposób, który tak lubił, albo składała usta w ciup, kiedy coś szło nie po jej myśli. Nie potrafiłby nazwać tego, co w sobie miała, ale było to po prostu wspaniałe.

*

Dorastając w kampusie CHERUBA, Jake wiedział, że za spóźnioną pracę domową dostaje się trzydzieści karnych okrążeń, za pyskowanie nauczycielowi dyżur na zmywaku, a jeżeli przeskrobało się coś poważniejszego – kary, o jakich lepiej nawet nie myśleć. Nigdy jednak nie miał okazji uczyć się w londyńskim gimnazjum i kiedy znalazł się w jednym z nich, przeżył szok.

Uczniowie rozsiedli się na ławkach i rozmawiali, nawet kiedy nauczyciel kazał wszystkim usiąść i przystąpił do porannego sprawdzania listy obecności. Ludzie głośno bekali i rzucali śmiecie przez okno. Gdy przeszli do innej sali przed pierwszą lekcją, Jake usiadł obok Fahima, ale nie zaczynał rozmowy, ponieważ na szkoleniach uczono go, by wystrzegać się natarczywości.

Minęło dziesięć minut, zanim nauczyciel zdołał jako tako uspokoić klasę, i kolejnych dziesięć, zanim sprawdził listę i wysłuchał usprawiedliwień wyjaśniających, dlaczego nikt nie odrobił pracy domowej. Kiedy przystąpił do rozdawania arkuszy z ćwiczeniami, okazało się, że połowa uczniów nie ma długopisu albo po prostu twierdzi, że go nie ma, po czym grupa rozrabiaków wszczęła awanturę z tyłu klasy, w którym to momencie nauczyciel zrobił się czerwony i podniósł głos do krzyku.

Po dwudziestej minucie zajęć Jake uświadomił sobie, że zostawił plan lekcji w sali klasowej i nie ma pojęcia, jakiego przedmiotu jest nauczany. Potem grupa dziewczyn z dziesiątej klasy zaatakowała kogoś na korytarzu, a kiedy nauczyciel wyszedł z sali, żeby się nimi zająć, uczniowie dostali amoku i wszczęli bitwę na wszystko, czym da się rzucać.

– Dom wariatów – wyznał Jake Laurze, kiedy spotkali się w głównym holu na pierwszej dużej przerwie. – Jak tu można się czegokolwiek nauczyć?

Laura roześmiała się, oferując Jake'owi batonika.

– Tu nikt się niczego nie uczy. Ta szkoła ma najgorsze wyniki egzaminów w mieście i prawie najgorsze w kraju.

Jake uśmiechnął się z miną winowajcy.

– Szczerze mówiąc, to tu jest nawet całkiem fajnie.

– Tak, Jake, chyba że jest się chłopakiem z mojej klasy, który przyszedł na drugą lekcję zapłakany, bo dwaj bandyci skopali go w jądra i nasikali mu do plecaka.

– No co ty? – zachłysnął się Jake.

– Tak jest, mój mały – powiedziała Laura. – Widzisz, dzieciaki z twojej klasy są świeżo po podstawówce. To aniołki w porównaniu z bydlakami z mojej.

Gdzieś w dali rozległ się wrzask i łomot metalowych drzwi – to grupa ósmoklasistów wparowała do zdemolowanej szatni. Siódmoklasiści napełniali butelki po napojach wodą z poidelka i oblewali się nią nawzajem.

– Obserwowałem Fahima – powiedział Jake, nie spuszczając z oka uczestników bitwy wodnej.

– Gdzie jest teraz? – zapytała Laura.

– Po historii został w klasie, żeby porozmawiać z nauczycielem, i to był pierwszy raz, kiedy z kimś normalnie gadał. W mojej klasie są dwaj Azjaci i zdaje mi się, że Fahim chciałby się z nimi zakumplować, ale oni trzymają sztamę ze sobą i zupełnie go olewają.

– Biedny Fahim. – Laura pokiwała głową ze smutkiem. – Ale przynajmniej ułatwi nam to zadanie.

– Wiem – przytaknął Jake. – Następną mamy przyrodę z chemią. Nie wiem, jak tam są poustawiane ławki, ale jak uda mi się do niego zbliżyć, to spróbuję zostać jego partnerem do doświadczeń czy coś.

Laura skinęła głową.

– Dobra, ale cokolwiek ci z tego wyjdzie, po szkole musimy mu się przedstawić, więc nie waź się stracić go z oczu.

*

Harold twierdził, że nie znosi beczynności, więc James, Kerry i Gemma bez większych oporów pozwalali mu stać przy kasie i od czasu do czasu przecierać stoliki. Przed porą lunchu przyszło dwoje dodatkowych pracowników, a kiedy minęły godziny szczytu, James i Gemma zostali wysłani na popołudniową przerwę.

– Gdzie lecis, James? – zapytała Gemma, naciągając na ramię rękaw białej puchówki.

– Bo ja wiem. – James wzruszył ramionami. – Zjem jakiś lunch, a potem nie wiem, naprzeciwko jest PC World, może skoczę się rozejrzeć.

Gemma uśmiechnęła się.

– Nie wiedziałam, że jesteś komputerowym gikiem.

– Bo nie jestem – odparł James urażonym tonem. – Ja tylko... Za parę tygodni dostanę trochę kasy na urodziny i chciałem zobaczyć, czy są jakieś fajne gry.

– Jak sobie chcesz – powiedziała Gemma, zapinając suwak. – Ja idę do pubu za rogiem. Mój Danny stoi za barem i mają całkiem niezłe żarełko.

James pokręcił głową.

– W pubach zwykle nie chcą mnie obsługiwać. Raczej nie wyglądam na osiemnaście lat.

– No raczej nie, ale ja mam tam stałą rezerwację z dala od zwykłych klientów. Jak ładnie poprosisz, to zrobią ci obłędnego chilliburgera z ryżem.

Zapach smażenia z Deluxe stępił Jamesowi apetyt, ale chilliburger brzmiał obiecująco, a perspektywa włóczenia się po sklepach przez bitą godzinę nie należała do ekscytujących.

Kiedy dotarli do knajpy, Danny wyszedł zza baru, żeby przywitać

Gemnę pocałunkiem. Ubrany od stóp do głów w dzins wyglądał, jakby ocierał się o trzydziestkę. Na jego nagich mięsistych ramionach widniały wyblakłe tatuaże, w tym dwie więzienne dziury ręcznej roboty oraz logo Arsenалу.

Idąc za Dannym i Gemną, James wszedł za bar, by stamtąd przejść do części pubu, którą otwierano dla gości tylko wieczorami i w weekendy, wyludnionego pomieszczenia z tarczami do strzałek i stołami bilardowymi. Usiedli przy stoliku, by przy piwku poczekać na burgery. Gemma zapaliła papierosa.

– Kibicujesz Kanonierom – zauważył James, opróżniwszy jedną trzecią szklanki.

– Jasna sprawa – przytaknął Danny.

– Chodzisz na mecze?

– Gdzie tam, już nie pamiętam, ile lat nie byłem. W twoim wieku chodziłem do Junior Gunnersów. To były czasy. Trzy funciaki za wjazd na stadion, a po meczu kurs po knajpach, zjazd do zajezdni na totalnej bani i obowiązkowe kazanie od szanownej mamusi. Teraz za bilet buli się pięć dych. Zrobił się z tego sport dla nadzianych – powiedział Danny z niekłamanym żalem.

James pokiwał głową.

– Słyszałem, że dawniej na Highbury nieźle się działo. Trafiłeś kiedyś na jakąś zadymę?

Danny roześmiał się.

– Jakbym nie trafił, to sam bym coś zaczął. Raz złapali mnie za przestawienie facjat dwóm frajerom na Chelsea. Zgrywali twardych, ale mówię ci, sypnęli się na glebę jak gówno z wora.

– Ile dostałeś?

– Ostrzeżenie – przyznał Danny, umykając w bok zawstydzonym wzrokiem. – Ale miałem dopiero szesnaście lat. Wtedy jak kogoś zgarnęły psy, to był szacunek i czapki z głów. Tak na serio to pierwszy raz przyskrzynili mnie dwa lata później, jak wyjechałem z bani temu księżulowi, kiedy obrabiałem kasę w Tesco.

– Wklepałeś księdzu? – James parsknął śmiechem.

– Spięty byłem. Odwracam się, kątem oka widzę koleśia, cały na czarno, myślałem, że gliniarz, no i... Jeszcze po jednym?

James wstał i sięgnął po portfel.

– Ja przyniosę.

– Siadaj, synek – uśmiechnął się Danny. – Chyba nie myślisz, że za to płacę.

Danny wrócił kilka minut później z trzema szklankami piwa i trzema kieliszkami tequili.

– No to w migdał – zawołał Danny, po czym jednym haustem opróżnił kieliszek i popił połową swojego guinnessa. – To kiedy ostatnio byłeś na Arsenale, James?

– Wieki temu – westchnął James. – Wciąż postanawiam sobie, że się do tego wezmę, ale trzeba mieć kartę członkowską i takie tam bzdety.

– Wiem, żal tyłek ściska, co nie? – Danny pokiwał głową ze zrozumieniem.

Gemie nie uśmiechała się perspektywa spędzenia całej przerwy na lunch na rozmowach o piłce.

– Masz jeszcze to zdjęcie naszych chłopaków? – zapytała.

– Się wie – odpowiedział Danny, sięgając za swój olbrzymi, obciążony dzinsem tyłek, by wyciągnąć z kieszeni portfel i rozłożyć go Jamesowi przed twarzą.

James zdumiał się na widok fotografii Gemmy trzymającej na rękach niemowlaka. Drugi chłopiec, mniej więcej czteroletni, stał obok na dywanie, tuląc się do jej nogi.

– Słodcy są – uśmiechnął się James. – Musiałaś być bardzo młoda, kiedy urodziłaś pierwszego.

Gemma wskazała na Danny'ego.

– Ten napalony prosiak strzelił mi gola, jak miałam szesnaście lat – zachichotała. – Stary dostał szału.

– Starszy Gemmy jest dentystą. – Danny skrzywił się ze wzgardą.

– Jeździ lexusem, nadęty dupek.

Gemma skinęła głową.

– Teraz nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Chyba wyobrażał sobie, że wyjdę za jakiegoś nudnego księgowego czy coś.

– Raz musiałem mu nawet zasunąć, bo za bardzo podskakiwał – dodał Danny.

James zaczynał odnosić wrażenie, że chłopak Gemmy niekoniecznie jest najsympatyczniejszą osobą na ziemi.

– Słuchaj no, James, lubisz clubbing? – zapytał Danny.

– Za młody jestem – odparł James. – Słyszałem, że psy trzymają tutejsze kluby za twarz.

Danny uśmiechnął się.

– Glina też człowiek. Wrzucisz kratę wody na tył radioli, to dadzą ci zrobić czarną mszę i jeszcze przywiozą kogoś na ofiarę. Znasz klub Outrage?

– Tę gejowską knajpę? – skrzywił się James.

– To było dawniej – wyjaśnił Danny. – Teraz są otwarci dla wszystkich, a ja w każdą środę rozkręcam tam własną imprezkę. Ja i dwaj kumple stoimy na bramce, więc jak zajdziesz, to przypilnuję, żebyś wszedł. Mamy didżeja, młodszego brata kolegi. Nie za bardzo moja muza, ale studenciaki walą drzwiami i oknami. Chcesz, to zajrzyj.

– No. Powinieneś przyjść – przytaknęła Gemma. – Tym bardziej jeśli nigdy wcześniej nie chodziłeś na clubbing.

– W sumie chyba mógłbym... – powiedział James, zastanawiając się nad możliwymi pretekstami do wyrwania się z kampusu. – Mogę przyjść z dziewczyną?

– Z którą? – zapytała Gemma z przekąsem.

Drwina w jej głosie zbiła Jamesa z tropu.

– No... z Daną. Mam tylko jedną.

– A Kerry? – droczyła się Gemma. – Mówiłeś, że to twoja była, ale widać gołym okiem, że między wami ciągle nieźle się hajcuje.

James gwałtownie potrząsnął głową, a Danny parsknął śmiechem.

– Weź Kerry, Danę i kogo tam jeszcze chcesz. Kto wie, może nawet zaliczysz trójkącik.

Po kieliszku tequili i półtorej szklanki piwa James był już trochę wstawiony.

– A wiesz, Danny, że chyba nie miałbym nic przeciwko temu – zaśmiał się hałaśliwie.

Gemma pokręciła głową, cmokając z niesmakiem.

– Pomarzyć zawsze można, James.

Tymczasem ktoś z obsługi postawił na barze trzy burgery.

– Jeszcze po jednym? – spytał Danny, gdy James wstał, żeby pomóc mu przynieść jedzenie i sztucce do stolika.

– Czemu nie? – czknął, uświadamiając sobie, że wróci do pracy kompletnie zalany.

23. UKŁAD

Po przerwie na lunch klasa Jake'a i Fahima wreszcie przeholowała, ściągając na siebie gniew dyrektora rocznika, który wparował do pracowni plastycznej i dał wszystkim kozę po lekcjach. W czasie odsiadki dwadzieścioro ósmioro siódmoklasistów miało obejść korytarze i boisko szkoły, zbierając śmieci.

Jake i Fahim siedzieli razem podczas dwóch popołudniowych lekcji, a kiedy zabrzmiał ostatni dzwonek, przydzielono im do sprzątnięcia ten sam fragment korytarza. Kiedy dyrektor rocznika nareszcie ich zwolnił, poszli razem złapać autobus do domu. Jake przeczytał SMS-a.

Moja siostra Laura czeka na mnie na przystanku – wyjaśnił, chowając telefon do kieszeni.

Fahim nie odpowiedział. Miał własne zmartwienia i rozglądał się nerwowo we wszystkie strony. Chłopcy przebiegli przez wybetonowany plac, na którym toczył się luźny polekcyjny mecz.

– Pewnie już dawno sobie poszli – powiedział Jake lekceważącym tonem, chcąc uspokoić kolegę. – Szkoła skończyła się wieki temu.

Fahim nie wydawał się przekonany.

– Lepiej już idź – powiedział. – Jeśli Alom mnie znajdzie, to spuści

mi manto, a jak będziesz ze mną, to jego zbiry dorwą i ciebie.

Jake znów wyjął telefon i wprawnie wystukał wiadomość dla Laury:

„JUŻ WYCHODZIMY, MOGĄ BYĆ KŁOPOTY”.

– Ja cię sunę – jęknął Fahim na widok Aloma i jego kumpli z dziewiątej klasy, kręcących się przy budkach telefonicznych jakieś pięćdziesiąt metrów za bramą szkoły. Natychmiast odepchnął Jake'a od siebie. – Lepiej stąd spadaj.

Jake potrząsnął głową.

– Jesteśmy kumplami, co nie?

– Nie bądź durniem – wycedził Fahim ze złością, gdy tymczasem sześciu wyrostków o azjatyckich rysach zauważyło ich i puściło się biegiem w ich stronę, skandując: „Fa– –him, Fa–him, Fa–him”. – Jak chcesz mi pomóc przeciwko tej bandzie?

Nie było już jednak czasu na spory. Alom złapał Fahima za kołnierz i poderwał w górę, stawiając na palcach stóp.

– Przejdziemy się trochę – oznajmił, po czym rozejrzał się na boki.

– Za dużo tu nauczycieli.

Dwaj inni odepchnęli Jake'a.

– Zjazd, białasie.

Umazany na tęczowo drażał z całej siły pchnął Fahima, który runął twarzą na chodnik.

– I jak ci tam na dole? Fajnie się leży w piachu, grubasie? – wyszczerzył się dręczyciel, kopiąc swoją ofiarę w kluchowate udo. – Skoro nie lubisz skittlesów, przejdziemy się do parku i znajdziemy ci na obiad śliczne soczyste psie gówno.

– Zostaw go w spokoju, palancie! – krzyknął Jake, zaskakując najbliższego z trzynastolatków wybuchowym hakiem w brzuch.

Trafiony był masywnym byczkiem, znacznie większym od Jake'a, ale zupełnie nie spodziewał się ataku. Podczas gdy osuwał się na chodnik z bolesnym jękiem, jego kolega ruszył na jedenastolatka, próbując objąć go ramieniem za szyję. Jake wpadł w panikę. Miał co

prawda czarny pas trzeciego stopnia w karate i biegle posługiwał się najskuteczniejszymi technikami kilku innych sztuk walki, ale nawet najdoskonalsze umiejętności nie kompensują niewielkich rozmiarów, a on zaczął bójkę z sześcioma koleśkami, z których każdy ważył ze dwa razy więcej od niego.

– Jesteś idiotą, Jake – powiedział Fahim. – To mój problem.

Kiedy walczy się ze znacznie cięższymi przeciwnikami, najważniejszą rzeczą jest nie dać się unieruchomić. Jake wiedział, że za wszelką cenę musi utrzymać dystans. Cofnął się o krok i wyprowadził kopnięcie z obrotu, trafiając drugiego przeciwnika w żołądek.

Powaliwszy dwóch łobuzów, Jake cofał się dalej. Trzej następni przestąpili nad obezwładnionymi kolegami i ruszyli do ataku. W filmach czarne charaktery mają przynajmniej na tyle przyzwoitości, by grzecznie czekać w kolejce i pozwalać się nokautować po jednym naraz, niestety, w rzeczywistości takie rzeczy się nie zdarzają.

Alom wbił Fahimowi pięść w brzuch, a Jake szykował się do starcia z trzema dobrze zbudowanymi skośnookimi młodzieńcami. Obejrzał się przez ramię i uświadomił sobie, że najbezpieczniejszym wyjściem byłaby ucieczka z wrzaskiem z powrotem w stronę szkoły. Jednak gdyby to zrobił, zostawiłby Fahima na łasce Aloma.

– Dawajcie, matołki – powiedział Jake z rezygnacją, przyjmując postawę obronną.

– Patrzcie, Karate Kid – zaśmiał się jeden z Azjatów.

Przestał się jednak śmiać, kiedy Jake wystrzelił do przodu i zdzielił go w szczękę. Chrupnęła kość, a Jake zrozumiał, że popełnił fatalny błąd, biorąc na cel przeciwnika w środku. Trafiony zaskowytał z bólu, ale w tej samej chwili jego koledzy spadli na Jake'a z obu stron.

Wił się i miotał ze wszystkich sił, ale chłopak, którego kopnął w brzuch, zdążył już dźwignąć się na nogi i Jake zrozumiał, że ma

przechłapane, w chwili gdy ktoś złapał go za kostki i silnym szarpnięciem oderwał od ziemi. Po chwili niezdecydowania trzech wyrostków poniosło wyrywającego się i klnącego chłopca w stronę krawężnika, by tam rozpostrzeć go na metalowym słupie i zasypać serią ciężkich razów.

– Zostawcie mojego brata w spokoju! – krzyknęła Laura, biegnąc z drugiej strony ulicy.

To, że była dziewczyną, działało na jej korzyść. Była w tym samym wieku co trzej oprawcy Jake'a, ale chłopcy byli więksi i nawet nie przyszło im do głowy, że mogłaby zrobić cokolwiek innego poza krzyczeniem na nich, żeby przestali. To był z ich strony poważny błąd.

Trenując karate w osiedlowym klubie, dzieci poznają takie techniki, by nie zrobić nikomu krzywdy na placu zabaw. Cherubinów, którzy muszą radzić sobie w rozmaitych niebezpiecznych sytuacjach, uczy się bezlitosnego uderzania w najwrażliwsze partie ciała.

Mając przed sobą trzech osiłków, Laura postanowiła spróbować wyeliminować z walki dwóch za jednym zamachem. Poruszając się z wyćwiczoną zwinnością, przyskoczyła pomiędzy wybraną parę. Jej ręce wystrzeliły w stronę głów przeciwników i w następnej chwili dwie czaszki zderzyły się ze sobą z głuchym stuknięciem. Zamroczeni młodzieńcy osunęli się bezwładnie na ziemię.

Jake z trudem łapał oddech po zainkasowaniu ponad tuzina ciosów, ale posłuszny odruchom wyszlifowanym podczas setek godzin walk treningowych natychmiast objął słup, by użyć go jako podpory, i wystrzelił obie nogi przed siebie w potężnym kopnięciu. Jego czarne najki trafiły trzeciego chłopca tak mocno, że ten przeleciał całą szerokość chodnika i runął na ziemię pod murem z pustaków otaczającym teren szkoły. Rozjuszony po pobiciu Jake znokautował go kopniakiem w skroń.

– Podskocz mi teraz, palancie! – wrzasnął i zaniósł się kaszlem.

Tymczasem Laura ruszyła na ostatniego przeciwnika na placu boju. Alom wciąż trzymał Fahima, ale jego umysł nie był w stanie ogarnąć tego, co widziały oczy.

– Puść Fahima albo skreć ci kark – poleciła Laura.

Alom spojrział na swoich koleżków: dwaj gramolili się nieporadnie oszołomieni po zderzeniu głowami; trzeci wił się na ziemi, ściskając zwichniętą zuchwę; czwarty leżał bez życia pod murem, z krwawiącym nosem i rozciętą wargą, a piąty właśnie dał nogę, nie chcąc ryzykować kolejnego starcia.

– Nie chcę kłopotów – wybąkał idiotycznie Alom, puszczając Fahima i uśmiechając się lękliwie do Laury, ale zanim zdążyła podejść, odwrócił się i rzucił do ucieczki.

– Wszystko w porządku, Fahim? – zapytała Laura.

Jake pokuśtykał do nich, trzymając się za obolały brzuch i tocząc wzrokiem po poboju. Kilkoro dzieci wałęsających się w pobliżu szkoły widziało całą akcję i Jake uświadomił sobie, że ktoś prawdopodobnie wezwał już policję i karetkę dla co najmniej jednego poszkodowanego z bandy Aloma.

Odwrócił się w stronę szkolnej bramy.

– To nie my zaczęliśmy! – zawołał z wysiłkiem. – Mordy w kubek, jasne? Jak któryś coś chlapnie, to jest trupem.

Laura nie była zachwycona tym, co się stało, i podeszła do Jake'a, mierząc go gniewnym spojrzeniem.

– Świetnie, wiesz? Zrób jeszcze większą scenę. Lepiej zmywajmy się stąd jak najszybciej.

Nie bacząc na jęki obolałych chłopców, Laura złapała ich za blezery i pociągnęła, zmuszając do szybkiego marszu. Najbliższy przystanek był oddalony o zaledwie dwie minuty drogi od szkoły, więc ruszyli od razu do następnego. Po drodze natknęli się na McDonalda, który o tej porze był niemal wyludniony.

– Wchodzimy – zarządziła Laura.

Fahim potrząsnął głową.

– Ja nie mam kasy i...

– Ja stawiam – ucięła Laura. – Musimy pogadać.

Fahim uśmiechnął się.

– Słuchajcie, doceniam to, co dla mnie zrobiliście, i nie jestem głupi. Jeśli ktokolwiek spyta, co tam się wydarzyło, będę trzymał gębę na kłódkę.

Uśmiech Fahima był wymuszony. Chłopiec mdlał ze strachu na myśl o tym, że wieści o bijatyce mogą dotrzeć do domu. Wiedział, że jeśli zostanie wyrzucony ze szkoły lub choćby zawieszony, to jego ojciec dostanie upragniony pretekst do wysłania go za granicę.

– Nie chcę rozmawiać o bójce – powiedziała Laura, wyjmując z kieszeni blezera dwudziestofuntowy banknot. – Pewnie chce się wam pić po takiej awanturze.

Mówiąc to, Laura zauważyła, że z Jakiem nie jest najlepiej. Podczas bójki zainkasował kilka brutalnych ciosów, a teraz miał wilgotne oczy.

– Dać ci chusteczkę czy coś...? Jake?

– Przecież nie płaczę – odburknął Jake. – Weź dla mnie jakieś fryty i colę.

Przy kasach nie było kolejki, więc już niecałe dwie minuty później Laura wróciła do chłopców z frytkami i napojami na tacy.

– Wzięłam sześć nuggetów – oznajmiła, siadając z Jakiem i Fahimem w najbardziej odosobnionym zakątku restauracji.

Lokal był pusty, jeśli nie liczyć garstki dzieci z pobliskiej podstawówki, ich rodziców i pary emerytów leniwie sączących herbatę.

Fahim otworzył pudełko z kurczakiem.

– To mamy po dwa na łebka.

Laura potrząsnęła głową.

– Jestem wegetarianką.

– Ja nie chcę – stęknął Jake.

Chłopak wciąż trzymał się za brzuch i Laura zaczynała się

niepokoić.

– Jesteś pewny, że nic ci nie jest?

– Bywało lepiej – zaskrzeczał Jake. – Ale to przejdzie. Po prostu mnie zatkało.

Laura spojrzała przeciągle na Fahima i przemówiła poważnym tonem.

– Fahim, muszę ci coś powiedzieć. Jake i ja jesteśmy tu po to, żeby ci pomóc.

Fahim podniósł wzrok znad kawałków kurczaka.

– Naprawdę jestem wam ogromnie wdzięczny. Gdyby nie wy, nie jadłbym teraz kurczaka, tylko psie gówno.

Laura potrząsnęła głową.

– Nie o to chodzi. Dwa tygodnie temu zadzwoniłeś na antyterrorystyczną gorącą linię. Mówiłeś takim tonem, jakbyś bardzo się bał, a potem zauważyliśmy, że twoja mama zniknęła.

– Fahimowi opadła szczęka, odsłaniając obrzydliwą pecynę częściowo przeżutego nuggeta.

– Eee... że co?

– Wiem, że to dla ciebie szok – ciągnęła Laura, próbując zdobyć się na uspokajający uśmiech – ale zachowaj zimną krew i wysłuchaj mnie bardzo uważnie. Jake i ja pracujemy dla rządu. Służby wywiadowcze wytropiły cię po telefonie.

Fahim przeczesał włosy palcami.

– Jaja sobie robicie. Skąd to wszystko wiecie?

Jake nie wyglądał zbyt zdrowo, ale przewyciężył słabość i podjął opowieść.

– Nasi ludzie sprawdzili twojego ojca, ale zamiast od razu nasyłać na niego policję i przesłuchiwać, chcieliśmy najpierw porozmawiać z tobą i zdobyć trochę więcej danych.

Laura uznała, że nadeszła pora na frontalny atak.

– Tamten telefon to był żart czy nie? – zapytała bez ogródek. – Uważasz, że twój tata może mieć coś wspólnego z katastrofą tego

samolotu?

Fahim był wstrząśnięty. W pierwszym odruchu chciał wyprzeć się wszystkiego i spławić natrętów, ale ostatnie dwa tygodnie były najgorszymi, jakie pamiętał, i rozpaczliwie potrzebował porozmawiać z kimś o swoim żalosnym życiu zamienionym w koszmar.

Fahim prychnął ze zdumieniem i wyciągnął palec w stronę Jake'a.

– Ty masz jedenaście lat, tak? Laura, ty ile? Trzynaście? Mówisz, że pracujecie dla rządu... Co wy jesteście, jacyś mali agenci czy coś?

– Coś w tym rodzaju – uśmiechnęła się Laura. – Posłuchaj mnie, Fahim. Wszystko, co mamy, to twoja rozmowa przez telefon. Gdyby gliniarze wkroczyli i aresztowali twojego tatę, nie mając bladego pojęcia, co się naprawdę dzieje, prawdopodobnie tylko zrobiliby z siebie kretynów. Wiemy, że zdecydowałeś się wykazać inicjatywę i zadzwonić na gorącą linię, ponieważ chciałeś pomóc, ale przestraszyłeś się i odłożyłeś słuchawkę. Rozumiemy to i teraz jesteśmy tutaj, żeby ci pomóc.

– I możemy też pomóc w odnalezieniu twojej mamy – dodał Jake.

– Ale jak? – zapytał Fahim.

– Chcemy, żebyś nam powiedział wszystko, co wiesz – powiedziała Laura.

Fahim wzruszył ramionami.

– Ale ja nic nie wiem. Podśledzałem tylko przypadkiem parę rzeczy, kiedy rodzice się kłócili.

– Jakich rzeczy? – dążył Jake.

– To na pewno miało coś wspólnego z kraksą Anglo-Irish – powiedział Fahim. – Nie wiem, co mama i tata zrobili, ale słyszałem, jak się o to kłóca. A potem, w nocy, przed tym jak dzwoniłem, znowu się pokłócili i mama powiedziała, że pójdzie na policję i wszystko im opowie. Następnego dnia, kiedy wstałem, już jej nie było.

– Myślisz, że twój tata ją zabił? – zapytał Jake.

Zagranie nie należało do subtelnych i Laura spiorunowała kolegę wzrokiem.

– Mama nie ma żadnych przyjaciół ani krewnych w tym kraju – powiedział Fahim słabym głosem. – Mam nadzieję, że żyje, ale jeśli tak, to musiała uciec w środku nocy, z wybitym zębem, bez telefonu i bez pieniędzy.

– Co ci powiedział tata?

– Same kłamstwa – wypalił Fahim bliski łez. – Najpierw powiedział, że wyjechała do spa, potem, że niby musiała się kimś zaopiekować. Ostatnim razem, kiedy wspomniałem o mamie, to tak na mnie spojrzał, jakbym powiedział coś strasznego. No i skasował taśmy z kamer.

Laura zbystrzała.

– Jakich kamer?

– Mamy kamery obserwujące główne drzwi i teren dookoła domu – wyjaśnił Fahim. – Czekałem, aż tata przejrzy nagrania z nocy, kiedy zniknęła mama, ale on po prostu włożył nowe kasety.

– Wiemy, że po twoim telefonie nie korzystała z komórki ani z kart kredytowych – powiedziała Laura. – Ale jeżeli była zamieszana w zamach terrorystyczny, to równie dobrze może posługiwać się inną tożsamością.

Fahim potrząsnął głową.

– Zagroziła, że pójdzie na policję... Niczego nie wiem na pewno, ale zdecydowanie nie podobało jej się to, co zrobił ojciec, cokolwiek to było. Problem jednak w tym, że nie mam żadnych dowodów, a szkolny świrolog uznał mnie za szajbusa, więc kto mi uwierzy?

– I tu właśnie wkraczamy my – powiedziała Laura uspokajającym tonem. – Powiesz tacie, że jesteśmy kolegami z nowej szkoły. Będzie miał coś przeciwko temu, jeśli zaprosisz nas do domu?

– Nie zabrania mi przyprowadzać kumpli, byle nie robili zbyt dużego hałasu. – Fahim wzruszył ramionami. – Zresztą mamy duży dom, a jego albo nie ma, albo siedzi w biurze przynajmniej do

siódmej.

– To kto się tobą zajmuje? – zapytał Jake.

– Rano po domu kręci się sprzątaczką. Dawniej była mama, ale teraz, jak tata jest na spotkaniu albo gdzieś, to jestem sam, dopóki nie wróci do domu i nie zrobi obiadu. Chyba że ma wrócić o ósmej albo później, to wtedy zostawia mi kartkę i obiad do odgrzania w mikrofalce.

Laura starała się mówić autorytatywnym tonem:

– Naszym pierwszym krokiem będzie dyskretne zgromadzenie tylu dowodów, ile się tylko da. Telefon domowy i komórkę twojego taty mamy już na podsłuchu przez centralę. W domu spróbujemy podłożyć pluskwy, żeby zdobyć nagrania jego rozmów, oraz przeszukamy wszystkie jego dokumenty i pliki w komputerach.

Fahim w zamyśleniu odgryzł końce parze frytek. Wyglądał na zafrasowanego.

– A co będzie ze mną? – zapytał po chwili milczenia.

– O co ci chodzi? – Jake zmarszczył brwi.

– Przypuśćmy, że zdobędziecie dowody przeciwko mojemu ojcu, a mama nie wróci.

Laura nie była na to przygotowana.

– W naszych aktach znaleźliśmy informacje, że niedaleko masz stryja, a do tego krewnych w Pakistanie i Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

Fahim potrząsnął głową.

– Wujek Asif i tata wszystko robią razem. Jeżeli mój ojciec maczał w czymś palce, to Asif na pewno też. Jak pójdą za kratki, skończę u dziadka, a ja go nienawidzę tak samo jak Abu Zabi. Jest megabogaty, ale to najżałośniejszy stary pierdziel, jakiego można sobie wyobrazić. Wszystkie moje ciotki i wujkowie biegają dookoła niego na paluszkach i robią wszystko, czego chce, bo ma prawie osiemdziesiątkę i każdy chciałby drapnąć trochę jego kasy, kiedy już kopnie w kalendarz. Moi kuzyni są fajni, ale posłali ich do

islamskich szkół, które są tak supersurowe, że... normalnie nie wiem. Uczniowie muszą się uczyć Koranu na pamięć i dostają baty, jeśli pomylą choćby jedno słowo.

– A rodzina twojej mamy? – zapytał Jake.

– Rodzice mamy pochodzą z Pakistanu i przyjechali do Emiratów, żeby pracować jako służba. Są biedni jak myszy kościelne i w życiu nawet ich nie spotkałem.

Mac nie przewidział takiego problemu.

– No więc jak to sobie wyobrażasz? – zapytała Laura.

– Słuchajcie, ja po prostu nie mogę wam pomóc – powiedział Fahim z mocą. – Ojca nienawidzę do samych flaków, ale jak go podkabluję, to będę miał przerąbane.

– Może w tym Abu Zabi nie będzie tak źle, jak się przyzwyczaisz – powiedział niepewnie Jake.

– Tu nie chodzi o kraj – zirytował się Fahim. – Mój dziadek to psychol, a wszyscy inni tańczą, jak on im zagra. Gdyby nie on, to poleciałbym na policję natychmiast, gdy zrozumiałem, że mama prawdopodobnie nie żyje.

Laura oparła łokcie na stole i w zamyśleniu pomasowała kciukami skronie.

– No dobra, Fahim – powiedziała po chwili, wpatrując się w blat.

– A pomógłbyś nam, gdybyśmy załatwili ci miejsce, w którym mógłbyś zamieszkać?

– No ale gdzie? – Fahim wzruszył ramionami.

Jake wyszczerzył się w uśmiechu.

– Mógłbyś wstąpić do CHERUBA i zamieszkać z nami.

Laura poderwała głowę i posłała partnerowi mordercze spojrzenie. Czyżby zapomniał, że pod żadnym pozorem nie wolno mu wymieniać tej nazwy?

– Co to jest CHERUB? Organizacja, w której pracujecie? – natychmiast podchwycił Fahim.

– Owszem – powiedziała Laura niechętnie. – Ale nie można do

niej tak po prostu wstąpić. Trzeba być superwysportowanym, znać języki obce, przejść mnóstwo testów...

– Znam całkiem dobrze arabski – wtrącił Fahim. – Właściwie biegle.

Laura była wściekła na Jake'a. Nie dość, że wymienił nazwę agencji, to jeszcze nie przyszło mu do głowy, że ze swoją historią problemów psychicznych i emocjonalnych Fahim nie ma żadnych szans na przejście weryfikacji w CHERUBIE.

– Porozmawiam z naszym szefem i zobaczymy, co da się zrobić – powiedziała ostrożnie Laura. – Na razie z tego, co wiemy, twoja mama może w każdej chwili się zjawić.

– Nie chcę wylądować w jakimś obskurnym domu dziecka – oświadczył Fahim, a jego brak reakcji na wzmiankę o mamie wskazywał wyraźnie, że w głębi duszy uważa ją za martwą. – Chcę dorastać jak normalny dzieciak.

– Na karierę w CHERUBIE bym nie liczyła – westchnęła Laura. – Ale rodzina zastępcza nie powinna być problemem.

Fahim zamyślił się nad ostatnim kawałkiem kurczaka.

– Nie wkręcajcie mnie, no bo skąd moglibyście wiedzieć o moim telefonie, ale chcę rozmawiać z jakimś dorosłym i... No więc tak: chcę wiedzieć, co się stało z moją mamą, i jeżeli zagwarantujecie mi, że nigdy nie będę musiał wyjechać i mieszkać z dziadkiem, to zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wam pomóc.

24. DOM

Było już wpół do piątej, kiedy Laura, Fahim i Jake wsiedli do autobusu jadącego do Hampstead. Wszyscy troje wspięli się na górny pokład. Jake i Fahim poszli do przodu, a Laura została w pustej tylnej części pojazdu, by dyskretnie zadzwonić do Maca i zrelacjonować mu przebieg rozmowy w McDonalddie.

– Daj mi go do telefonu – powiedział Mac, wysłuchawszy opowieści.

Z przodu siedzieli jacyś ludzie, więc Laura przywołała Fahima do siebie. Jake ruszył za nim przejściem między fotelami, a chłopiec podniósł do ucha podany mu telefon.

– Cześć, Fahim – powiedział Mac rzeczowym tonem. – Rozumiem, że znalazłeś się w szalenie trudnej sytuacji, ale bardzo się cieszę, że postanowiłeś nam pomóc.

– Nie ma sprawy – powiedział Fahim, zajmując miejsce w ostatnim rzędzie siedzeń. – Moje życie to ruina i muszę się jakoś wyplątać.

– Jeżeli pomożesz nam zdobyć dowody przeciwko twojemu ojcu, to jestem gotów zagwarantować ci, że nigdy nie będziesz musiał wyjeżdżać do Abu Zabi. Możemy znaleźć ci wygodny dom i wyasygnować wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zapewnić ci

odpowiednią opiekę.

– Wiem tylko to, co mówili rodzice, i nie mam żadnych dowodów – powiedział Fahim. – Co będzie ze mną, jeśli niczego mu nie udowodnicie?

– Wtedy będzie trudniej – powiedział Mac ostrożnie. – Ale nasze dochodzenie będzie wnikliwe i choć nie jestem w stanie przewidzieć, co się stanie w każdych możliwych okolicznościach, daję ci słowo, że się tobą zaopiekujemy.

Dla Fahima, od dwóch tygodni uwięzionego w koszmarze, brzmiało to niemal zbyt dobrze, by mogło być prawdziwe.

– To chyba uczciwy układ, ale czy mógłbym dostać jakieś gwarancje na piśmie? – zapytał.

– Należymy do tajnych służb, więc nie możemy zawrzeć oficjalnej umowy – wyjaśnił Mac nieco mniej pewnym tonem. – Jednak z przyjemnością usiądę z tobą, żeby przedyskutować twoje potrzeby. Jest też pewna sprawa, nad którą musisz się bardzo poważnie zastanowić.

Co takiego?

– Jeżeli zdecydujesz się przyjąć nową tożsamość, to nie będzie już powrotu. Separacja od rodziny i jej pieniędzy będzie nieodwracalna.

Fahim nie zastanawiał się ani sekundy. Jako jedenastolatki znacznie bardziej zależało mu na byciu szczęśliwym dzieckiem niż bogatym dorosłym.

– Bylebym nie skończył, mieszkając u dziadka – powiedział zdecydowanie. – Moi krewni w Abu Zabi mają dwie rzeczy wspólne – wszyscy są bogaci i nieszczęśliwi.

– Okej – powiedział Mac. – Ale chcę, żebyś dokładnie to sobie przemyślał.

– A jest jakaś szansa, żebym poszedł do CHERUBA jak Laura i Jake?

Laura nie powiedziała Macowi, że Jake zdradził nazwę CHERUBA, i emerytowany prezes omal nie udławił się swoją

sztuczną szczęką.

– Fahim, CHERUB jest... Są bardzo rygorystyczne kryteria przyjęcia...

– Laura wspominała o tym, proszę pana, ale czy nie mógłbym chociaż spróbować? Czy ktoś nie mógłby przynajmniej ze mną porozmawiać?

– Być może – wycedził Mac równie niechętnie jak wcześniej Laura. – Ale nie mogę zagwarantować ci przyjęcia.

Na twarzy Fahima zakwitł promienny uśmiech.

– Rozumiem – powiedział jedenastoletk.

– Potrzebuję kilku godzin na przygotowania, a potem proponuję, żebyśmy się gdzieś spotkali i spokojnie omówili twoją przyszłość. Nie chcę, żebyś pochopnie podjął decyzje, których później mógłbyś żałować, ale musimy działać szybko. Może prześpij się z problemem, pomyśl nad ewentualnymi pytaniami i spotkamy się jutro rano przed szkołą. Co ty na to?

– Może być – powiedział Fahim. – Powiem tacie, że wychodzę wcześniej, żeby pograć w piłkę czy coś. I rozumiem, że zależy panu, żebym był absolutnie pewien swojej decyzji, ale przysięgam, że się nie rozmyślę.

– Mam nadzieję – powiedział Mac ciepło. – Dasz mi jeszcze na chwilę Laure?

Fahim uśmiechnął się i przekazał telefon.

– Hej – powiedziała pogodnie Laura. – Wszystko załatwione?

– Skąd, do diabła, on wie o CHERUBIE? – zawarczał Mac. – Nie odpowiadaj przy Fahimie, ale mówię ci, że z tego będą jeszcze duże kłopoty.

Laura wystraszyła się gniewu Maca, ale wiedziała, że to nie jej wina.

– Jestem pewna, że Jake z przyjemnością to wyjaśni – powiedziała z uśmiechem, wyobrażając sobie srogą burę czekającą jej koleżkę.

*

Do czasu kiedy wrócili do domu, obrzęk piersi Jake'a powiększył się. Chłopiec oddychał z trudem, więc Mac, nie zwlekając, zaprowadził go na dół i zawiózł do najbliższego szpitala na prześwietlenie. Tymczasem Laura przebrała się, umyła i właśnie zażywała relaksu przed telewizorem, kiedy panowie wrócili, niosąc pudełka z pizzą i pieczywem czosnkowym.

Spod rozpiętej szkolnej koszuli Jake'a wyzierały bandaże, którymi ciasno owinięto mu pierś. Na jego nieszczęście dość mocno poturbowane żebra nie wystarczyły, by wzbudzić współczucie partnerki i koordynatora misji.

– Naprawdę przepraszam – wybąkał Jake markotnie, siadając na kanapie z trójkątem pizzy hawajskiej w dłoni.

Mac potrząsnął głową. Głos miał spokojny, ale widać było, że jest rozgniewany nie na żarty.

– Wiem, że to pierwszy dzień twojej pierwszej poważnej misji, Jake. Mógłbym zrozumieć jedno potknięcie, ale dwie bezmyślne wtopy?

– Ojeju, z tym CHERUBEM po prostu mi się wypsnęło. Jedno małe słówko.

– Nietrudno o to, kiedy jest się zdenerwowanym – zgodził się Mac. – Ale już samo nawiązywanie do CHERUBA było czystą głupotą, a ty tyle razy brałeś udział w ćwiczebnych grach fabularnych w kampusie, że mógłbyś nie popełniać tak idiotycznych błędów. Jednakże to incydent przed szkołą martwi mnie najbardziej. Co do jasnej anielki podkusiło cię, żeby wszcząć bójkę z sześcioma bambrami, z których każdy jest o wiele większy od ciebie?!

– Może i masz czarny pas w karate, ale nie jesteś Supermanem – dodała Laura. – A wtedy, jak kopnąłeś tego kolesia w głowę? Mógł skończyć z poważnym urazem mózgu, wiesz?

Jake wyglądał żałośnie w swoich bandażach i wymiętym mundurku. Widać było, że jest wstrząśnięty, ale Laura uznała, że przy jego zgubnej zarozumiałości odrobina twardej rzeczywistości

może mu tylko pomóc.

– Miałeś kupę szczęścia, że zjawiała się tam Laura – powiedział Mac.

– Ale zajęło jej to chyba ze sto lat – uniósł się Jake. – Przecież wysłałem jej esa.

Jake trafił w ten jeden punkt, w którym Laura rzeczywiście czuła się winna.

– Owszem, mogłam zostać przy bramie, zamiast iść na przystanek – przyznała. – Ale pobiegłam jak najszybciej, kiedy tylko odebrałam wiadomość.

– A ja co, miałem tam stać i patrzeć, jak Fahim dostaje manto?

– Powinieneś był zaczekać na Laurę – powiedział Mac. – Czego uczymy was na szkoleniach o panowaniu nad sytuacją podczas bójki? Co mówi podręcznik?

– Dobra, dobra – burknął Jake z goryczą. – Wiem.

– Co mówi podręcznik? – naciskał Mac. – Powiedz to.

Jake potrząsnął głową, ale nie odważył się cmoknąć.

– W razie konfrontacji gangi stanowią znacznie większe zagrożenie, ponieważ obecność innych członków grupy dodaje im śmiałości i pobudza do agresywnych zachowań.

– Wcześniej, na przerwie, już raz musiałam cię odciągnąć, żebyś się nie wtrącał, pamiętasz? – przypomniała Laura. – A gdyby któryś z nich miał nóż? Jak teraz byś wyglądał, gdybym przybiegła dwie minuty później?

– Laura, odwal się, dobrze? – krzyknął Jake, zrywając się z kanapy. – Wiem, że dałem cię, nie musisz jeszcze wcierać mi tego w czoło.

– Siadaj, idioto! – warknął Mac, tracąc cierpliwość. – Laura jest doświadczoną agentką. To nie jest zabawa, Jake. To nie to samo co wydurnianie się z kolegami w kampusie. Kilka osób odniosło poważne obrażenia, ty i Laura mieliście wielkie szczęście, że wyszliście z tego w zasadzie bez szwanku, i możemy śmiało

założyć, że policja zechce was przesłuchać w sprawie wydarzeń przed szkołą. Jeżeli postanowią porozmawiać także z Fahimem i sprawa dotrze do jego ojca, to facet zabroni mu się z wami zadawać i nasza misja będzie spalona, jeszcze zanim zdążycie przekroczyć próg domu Hassama.

Jake otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale zaraz zamknął je i zaszlochał:

– Już mówiłem... strasznie przepraszam.

Laura nigdy nie dostrzegąca w Jake'u nikogo więcej poza wkurzającym młodszym bratem swojej koleżanki, ale widząc go zapłakanego, poczuła się okropnie. Dobrze pamiętała własny strach przed pierwszą misją i poczucie ulgi, kiedy udało jej się niczego nie zepsuć.

– Czy mogę już iść? – mruknął Jake, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

Mac podał mu papierowy ręcznik, by otarł sobie twarz.

– A uda się coś zrobić z policją? – zapytała Laura.

– Chyba tak – westchnął Mac. – Skontaktowałem się już z kampusem. Niebawem miejscowi funkcjonariusze dostaną z góry polecenie niewnikania zbyt głęboko w sprawę bójki.

Jake spojrzał smutno na Laurę.

– Proszę cię, nie mów o tym Bethany – chlipnął żałośnie. – Nie chcę, żeby wszyscy w kampusie zaczęli po mnie jeździć.

Po wszystkich przemądrzałych uwagach i głupich zagrywkach Jake'a jakaś część Laury pragnęła jego upokorzenia, ale aby ich misja miała szansę na powodzenie, dwoje agentów musiało sobie ufać.

– Proponuję układ – powiedziała Laura. – Nie pisnę ani słowa, ale ty przestajesz zachowywać się jak debil i zaczniesz wreszcie słuchać, co mam do powiedzenia.

– Okej – powiedział cicho Jake i otarł kącik oka wierzchem dłoni.

– Wszyscy popełniamy błędy, Jake – powiedział Mac nieco łagodniejszym tonem. – Ważne jest, żebyśmy umieli się na nich

uczyć.

25. PLUSKWY

Laura podeszła do Fahima, kiedy tylko wysiadł z autobusu ubrany w szkolny mundurek. Do rozpoczęcia zajęć mieli jeszcze całą godzinę.

– Gdzie jest Jake? – zapytał Fahim, kiedy ruszyli w stronę pobliskiej kafejki.

– Ma poobijane żebra – wyjaśniła Laura. – Nic poważnego, ale nie za bardzo nadaje się do ganiań po szkolnych korytarzach.

– Ani kolejnego spotkania z Alomem i jego bandą – uśmiechnął się Fahim.

– Szkoła wezwała policję, ale Mac wyciszył i spowolnił dochodzenie – powiedziała Laura. – Oficjalnie gliny sprawdzają sprzeczne zeznania świadków. W rzeczywistości posiadają sobie na dowodach przez parę dni, a potem umorzą śledztwo.

– Wasi ludzie mogą tak robić?

Laura skinęła głową.

– Nie można zatrzymać dochodzenia w sprawie morderstwa ani innej sprawy tej wagi, ale służby wywiadowcze mogą wpływać na dowódców policji, by mieć pewność, że nasze rutynowe włamania i przepychanki skończyły na samym dole sterty akt przy biurku śledczego.

–Wiesz coś może o Alomie i jego kumplach? – zapytał Fahim.

– Jake złamał jednemu z nich szczękę, a ten, którego wyłączył kopniakiem, przez parę dni będzie miał paskudny ból głowy. Pozostali są tylko posiniaczeni.

– Ale wtedy walczyliście... rany. – Fahim uśmiechnął się z podziwem. – Musi być super, kiedy wchodzisz do klasy i wiesz, że możesz usadzić każdego, kto ci podskoczy. Jeśli dostanę się do CHERUBA, ile czasu będę musiał ćwiczyć, żeby być naprawdę dobry?

– Większości technik można się nauczyć w pół roku, ale porządne ich wyćwiczenie trwa lata.

– Nie mogę się już doczekać. – Fahim wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Raczej cię nie przyjmą – ostrzegła Laura. – Nie myśl, że zadzieram nosa, ale cherubinami zostają tylko najlepsi z najlepszych. Selekcja jest bardzo ostra. Oprócz inteligencji trzeba mieć idealną kondycję fizyczną i psychiczną. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie przejdiesz nawet testów rekrutacyjnych, nie wspominając o szkoleniu podstawowym.

– Ja wiem, Laura, ale chciałbym dostać szansę. O nic więcej nie proszę.

– Tyle możemy ci obiecać – powiedziała Laura.

W kafejce oddalonej o kilometr od Camden Central roiło się od robotników budowlanych i taksówkarzy raczących się smaženiną na śniadanie, ale w lokalu było dość gwarno, by móc prowadzić przyciszoną rozmowę bez obawy, że ktoś ją podsłucha.

Mac czekał przy stoliku w tylnej części sali i Fahim natychmiast poczuł sympatię do jego lśniącej łysiny i szkockiej nuty w głosie.

– Sądzę, że tu jest wszystko, o co prosiłeś – powiedział Mac, przesuwając kartkę z laserowym wydrukiem po laminowanym blacie.

Kelnerka przyjęła zamówienie na herbatę i grzanki, po czym

Fahim zaczął wnikliwie studiować dokument. Oprócz szansy na wstąpienie do CHERUBA kartka obiecywała mu nową tożsamość oraz dom u rodziny zastępczej. Państwo miało mu zapewnić pieniądze na edukację w prywatnych szkołach – gdyby Fahim sobie takiej zażyczył – utrzymanie do końca studiów plus rok wakacji, używany samochód po uzyskaniu przez Fahima prawa jazdy, a także dwadzieścia pięć procent wkładu na pierwsze mieszkanie.

– Taki sam pakiet dostają cherubini – powiedział Mac. – Jeżeli jakiegokolwiek aktywa twojego ojca zostaną przejęte na mocy przepisów antyterrorystycznych, pieniądze zostaną ulokowane na twoim funduszu powierniczym. Rzecz jasna, nic z tego nie dojdzie do skutku, jeżeli odnajdziemy twoją mamę.

Fahim spojrzał na Laurę.

– A ty masz fundusz powierniczy?

– Mhm – przytaknęła Laura. – Moja mama miała nasze mieszkanie i drugie, które wynajmowała. Kiedy umarła, ubezpieczenie spłaciło obie hipoteki. Miała również trochę starej biżuterii w skrytce depozytowej i nieco gotówki. Ja i mój brat dostaniemy po połowie, kiedy odejdziemy z CHERUBA.

– Dobra – uśmiechnął się Fahim. – Gdzie mam podpisać?

– W naszej sytuacji nie ma mowy o czymś takim jak pisemna umowa – powiedział Mac. – Oficjalnie CHERUB nie istnieje. Mógłbym przeciągnąć nas przez farsę podpisywania kontraktu, ale byłby on wart mniej niż papier, na którym został spisany. Wszystko, co mogę ci dać, to moje słowo.

– I moje – dodała Laura. – Zajmiemy się tobą, Fahim, przysięgam na swoje życie.

Fahim zawahał się, a potem niepewnie uśmiechnął.

– Wiecie, nie mam wielkiego wyboru – powiedział cicho. – A co z moją mamą? Czy policja próbuje ją znaleźć albo szuka jej ciała?

– Zawiadomiłem dyskretnie kilka osób – powiedział Mac – ale trudno prowadzić dochodzenie, jeżeli twój ojciec ma się nie

domyślić, że jesteśmy na jego tropie. Naszym pierwszym zadaniem będzie zebranie materiału dowodowego, by aresztować Hassama, a potem możemy uruchomić rzetelne poszukiwania.

– Oczywiście – skinął głową Fahim. Starał się mówić spokojnie, ale emocje i tak wkradły się do jego głosu. – Wczoraj w nocy nie mogłem zasnąć i im więcej o tym myślałem, tym bardziej byłem pewny, że ona nie żyje. Wiedziała, jaki jest mój ojciec, i nie ma mowy, żeby zostawiła mnie z nim samego, a nawet gdyby wylądowała w szpitalu czy coś takiego, to znalazłaby sposób, żeby zadzwonić na moją komórkę.

– Niestety, możesz mieć rację – powiedział ponuro Mac. – Ale widzisz, w swojej karierze prowadziłem wiele dochodzeń i jeżeli czegoś mnie one nauczyły, to tego, że niczego nie można być pewnym, dopóki nie zobaczy się przed sobą niezbitych dowodów.

Fahim pokiwał głową.

– Mam nadzieję, że ma pan rację. Dobra wiadomość jest taka, że tata zostawił mi spaghetti z klopsikami do odgrzania. To znaczy, że ma dziś spotkanie, a kiedy spytałem, kiedy wróci do domu, powiedział, że na wpół do ósmej ma zarezerwowany stolik w restauracji.

– Fantastycznie – uśmiechnęła się Laura.

– To naprawdę świetnie się składa, Fahim – powiedział Mac. – Kiedy twój tata wychodzi na wieczór, to po prostu zostawia cię samego? Nie opiekuje się tobą sąsiadka albo może...

– Sprzątaczką wychodzi, zanim wrócę ze szkoły, a sąsiadów nie widziałem na oczy – powiedział Fahim. – Mieszkają po drugiej stronie ogromnego muru. Tata nie pozwala mi wpuszczać nikogo przez bramę, a jak ktoś zadzwoni, mam czekać, aż odpowie automatyczna sekretarka, i odbierać tylko, jeżeli dzwoni on albo wujek Asif.

*

Opustoszały dom stwarzał fantastyczną sposobność do

zainstalowania sprzętu podsłuchowego. Aby zwiększyć efektywność działań, Mac ściągnął z kampusu posiłki w osobach Bethany Parker – będącej wprawdzie na urlopie, ale chętnej do spędzenia go w towarzystwie Laury oraz byłych agentów Dave'a Mossa i Jake'a McEwena, którzy jeszcze przez kilka tygodni mieli pomagać w kampusie, do czasu powrotu na uniwersytet.

Na wszelki wypadek Mac zaczął się w pobliżu luksusowego domu w bmw serii pięć z przyciemnianymi szybami. Tak jak przepowiedział Fahim, gosposia wyszła o trzeciej, a pół godziny później dom opuścili Hassam i jego brat Asif.

McEwen zajechał przed szkołę Laury i Fahima minivanem, w którym siedzieli już Bethany i Dave Moss. Przy Fahimie nie mogli rozmawiać otwarcie o życiu w kampusie, ale Laura nie mogła oprzeć się pokusie rzucenia paru żarcików na temat białych koszulek, które przechytryła na nocnych ćwiczeniach dwa tygodnie wcześniej.

– Hamuj, słoneczko – zawarczał ostrzegawczo McEwen. – Może i jesteś dziewczyną, ale nie myśl, że nie wsadzę ci tego blond mopa do kibelka, jak mnie rozdrażnisz.

Laura odwróciła się do Bethany, która przeciągnęła palcem po szyi i potrząsnęła głową.

– Daj spokój, to świr – powiedziała, bezgłośnie poruszając ustami.

Fahim i Laura wysiedli z samochodu pół kilometra przed domem Bin Hassamów. Na rogu ulicy spotkali się z Jakiem, który ten dzień spędził w łóżku, na przemian bolejąc nad swoim nieszczęściem i grając na PS3.

– I jak, wszystko z tobą w porządku? – zapytał Fahim. – Wczoraj byłeś normalnie niesamowity.

Jake uśmiechnął się.

– E tam, nic takiego – powiedział lekceważącym tonem. – Jutro pewnie już pójdę do szkoły.

Ale jego uśmiech zgasł, kiedy tylko do chłopców zbliżyła się

Laura. Jake wolał nie myśleć, co będzie, jeśli Bethany dowie się, że płakał.

– Rany, ale gdyby nie Laura, to byłoby po tobie, co nie? – dodał Fahim. – Jeszcze dwie minuty i ci kolesie by cię chyba zabili.

– Były jakieś problemy w szkole w związku z tą bójką? – zapytał Jake.

– Chodzi plotka, że banda Aloma dostaje po tyłkach – odpowiedziała Laura. – Rano dyro zrobił apel i prosił, żeby zgłaszali się świadkowie, a mnie zaczęło paru gostków, którzy widzieli akcję, ale zasugerowałam im, że powinni zająć się własnymi sprawami.

– Ale nikt nas nie wkopał? – dopytywał się Jake.

– Na to wygląda – powiedziała Laura. – Spotkałam Aloma na korytarzu. Prawie się posikał z wrażenia i uciekł.

– Mieliśmy szczęście, że to było poza szkołą – dodał Fahim. – Gdyby mnie zawiesili, miałbym przechlapane.

Troje uczniów stanęło przed bramą domu. Po drugiej stronie ulicy Mac opuścił czarną szybę bmw i skinął Laurze głową na znak, że wszystko jest w porządku.

Wysokie metalowe podwoje broniły dostępu do trzydziestometrowego podjazdu z kostki brukowej, ale Fahim miał klucz do furtki wprawionej w ceglany słup bramy.

– Wróciłem! – zawołał, wchodząc przez frontowe drzwi domu do marmurowego holu. – Halo, jest tu kto?

Laure onieśmiała kościelna akustyka wielkiego budynku i abstrakcyjne obrazy na ścianach. Czuli się bardziej jak w muzeum niż w domu.

– Sprawdź szybko pokoje, a potem wyłączymy kamery, żeby van mógł wjechać na podjazd – powiedziała do Fahima.

Fahim był pewien, że dom jest pusty, ale zajrzał do każdego pokoju, a potem na wszelki wypadek także do biura. Następnie wyjął klucz z szuflady w kuchni i otworzył nim szafkę wbudowaną

w ścianę pod krętymi schodami. Szafka zawierała cztery magnetowidy podłączone do kamer nadzoru wokół domu.

– Wiesz, jak to działa? – zapytała Laura.

– Niby nie wolno mi tego dotykać, ale to jest jak normalne wideo, tyle że taśmy wystarcza na siedemdziesiąt dwie godziny.

Laura zajrzała do kredensu, a tymczasem Jake delikatnie wysunął jeden z magnetowidów i obrócił, by zerknąć na podłączone z tyłu przewody.

– Normalne złącza RCA i kable prosto od kamer – oznajmił. – Nic specjalnego.

Laura rozłożyła telefon i zadzwoniła do Maca.

– Jestem przy magnetowidach nadzoru. System wygląda na prosty, ale chciałam potwierdzić, zanim odłączę...

W głosie Maca słychać było pewność siebie.

– Na rachunku bankowym Hassama jest stałe zlecenie na trzydzieści funtów miesięcznie dla agencji ochrony. Zadzwoniłem do nich, udając klienta, i dowiedziałem się, że właśnie tyle kosztuje ich pakiet podstawowy. Przyjeżdżają, kiedy włączy się alarm przeciwwłamaniowy, ale nie ma żadnego zdalnego nadzoru wideo ani niczego w tym rodzaju.

– Jasne, szefie – powiedziała Laura.

Odwróciła się w stronę słupka magnetowidów i po kolei zatrzymała nagrywanie w każdym z nich.

– Na taśmach będzie luka czasowa, ale to niczego nie dowodzi – wyjaśniła Fahimowi. – To mało prawdopodobne, ale gdyby twój tata postanowił je jednak odtworzyć, po prostu udasz, że nie wiesz, o co chodzi.

Dwie minuty później Fahim otworzył bramę, a McEwen wjechał volkswagenem na podjazd przed domem. Bethany od razu pobiegła do środka, a Dave otworzył bagażnik, skąd wyjął dwa laptopy i torbę do krykieta wypełnioną sprzętem szpiegowskim.

– Dobra – powiedział McEwen, kiedy zespół zebrał się wokół

sprzętu w holu. – Dave i ja obejdziemy dom z laptopami i sklonujemy każdy twardego dysku, na jakim uda się nam położyć łapy. Jake, chcę mieć pluskwy podsłuchowe w każdym pokoju. Bethany i Laura, w samochodzie są dwie szybkie kopiarki do dokumentów. Idźcie do biura i skserujcie wszystko, co uznacie za interesujące.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytał Fahim.

Głos McEwena brzmiał nieprzyjaźnie.

– Na pewno powiedziałaś Macowi, gdzie są wszystkie komputery?

– Na pewno – powiedział Fahim. – Mój ojciec w ogóle się na tym nie zna. Muszę mu instalować programy, ustawiać internet, kiedy padnie...

– Okej – burknął McEwen. – I podałeś nam już kombinację do sejfu, czyli najlepsze, co możesz zrobić, to usiąść na tyłku i pozwolić nam pracować.

Bethany i Laura wybiegły na zewnątrz po kopiarki, a Jake rozsunął zamek ogromnej torby ze sprzętem i wyjął z niej urządzenie przypominające zszywacz tapicerski.

– Jak chcesz, to chodź ze mną – powiedział do Fahima. – Pokażesz mi, gdzie twój stary lubi siadać, żebym mógł zainstalować pluskwy w najlepszych miejscach.

– Co to za ustrojstwo? – zapytał Fahim, wchodząc za Jakiem po schodach.

Kiedy wspięli się na galerię, Jake zwolnił zatrząsk w górnej części urządzenia i odsunął metalową pokrywę, odsłaniając rolkę taśmy z czymś, co wyglądało jak cieniutkie czarne igły.

– Najnowocześniejsza technika – oznajmił z dumą. – Kiedyś mieliśmy nadajniki wielkości paznokcia na małym palcu, ale zawsze było ryzyko, że cel je zauważy. Te nowe są jak włosy; przystawiasz pistolet do czegoś miękkiego i bach wstrzeliwujesz w materiał. W momencie strzału w środku pęka membrana, aktywując małą

baterijkę i sprzęt zaczyna pracować. Nadaje impulsy ze skompresowanym nagraniem mniej więcej co trzy sekundy przez osiem do dziesięciu dni, zależy jak często ludzie coś mówią.

Chcąc zademonstrować działanie urządzenia, Jake przytknął wylot lufy do oparcia fotela i nacisnął dźwignię pod rękojęścią. Rozległo się psyknięcie sprężonego powietrza.

– I pluskwa zasadzona. Jest elastyczna, więc nie kłuje w plecy, jeśli ktoś tu usiadzie, a mikrofon ma tak czuły, że odbiera dźwięk, nawet jak siedzi dwa, trzy centymetry pod powierzchnią poduszki czy materaca.

– Sprytne – uśmiechnął się Fahim. – Pewnie trwa wieki, zanim nauczycie się obsługi całego tego sprzętu.

– Dają nam takie instrukcje do przeczytania. – Jake rozstawił kciuk i palec wskazujący, demonstrując grubość lektury. – Zanim dostaniesz licencję na używanie jakiegokolwiek urządzenia, musisz zdać egzamin, i to taki, w którym nie ma miejsca na błędy. Zaliczasz sto procent albo oblewasz. – Jake uniósł dłoń z pistoletem. – Taka metkownica jest w sumie prosta, ale jak masz się nauczyć wszystkich niuansików klonowania dysków, instalowania keyloggerów i innych takich, to czasem zakuwa się tygodniami.

Oczy Fahima błyszcząły z podniecenia.

– Rany, ale to wszystko jest super – jęknął z zachwytem. – Marzyłem o czymś takim, odkąd obejrzałem *Małych agentów*.

Wstrzyknąwszy nadajniki w poduszki, dywany i materace w całym domu i biurze, Jake uruchomił palmtopa i zrobił obchód, sprawdzając siłę sygnałów.

– Ostatnim krokiem jest instalacja przekaźnika – wyjaśnił, grzebiąc w torbie ze sprzętem w holu. – W domu tej wielkości pewnie będą potrzebne dwa. Przekaznik odbiera słabiutkie sygnały nadajników, wzmacnia je i przesyła do głównego odbiornika, który ustawia się kilkaset metrów od domu.

– A jak to jest z wykrywaniem podsłuchów, jak w filmach, że

przychodzi ekipa i coś tam skanuje?

– To działa tylko ze sprzętem starego typu – oświadczył Jake, pokazując Fahimowi dwa prostokątne przekaźniki wielkości podkładki pod kufel, ale nieco cieńsze. – Takie pluskwy, jakie sprzedają w sklepach szpiegowskich, nadają bez przerwy. Nie dość, że zużywają przez to dużo energii, więc trzeba je zakładać w miejscach, gdzie jest zasilanie, jak oprawki oświetleniowe czy radiobudziki, to jeszcze ciągła praca bardzo ułatwia ich wykrycie. Nasze pluskwy zapisują dźwięk w pamięci, a potem kompresują dane i wysyłają jako impuls, który trwa krócej niż jedną setną sekundy. Czegoś takiego nie da się wykryć, bo całkowicie ginie w zakłóceniach wytwarzanych przez pole magnetyczne ziemi.

Fahim wziął jeden z podsuniętych mu przekaźników i obrócił go w dłoni.

– Najlepiej byłoby schować to w jakiejś zabawce albo gdzieś, gdzie twój tata nigdy nie zajrzy. Im wyżej, tym lepiej, bo zasięg będzie większy.

– Pudełko po płycie? – zaproponował Fahim. – No wiesz, jeśli wyjmie się to czarne, co trzyma płytę, to można to włożyć do środka, a ojciec tam nigdy nie zajrzy.

– Dobrze kombinujesz – uśmiechnął się Jake.

Przekaźnik miał z jednej strony samoprzylepny podkład. Jake oderwał papierową osłonkę i umieścił urządzenie w pozbawionym wkładu pudełku po płycie Killersów, które Fahim ukrył następnie na swojej szafie pod stertą gier planszowych.

Jake wyjął komórkę i zadzwonił do Maca.

– Hej, szefie, potrzebny mi test sygnału. Kody zainstalowanych nadajników: od 65341 do 65409 włącznie.

Mac nie powstrzymał się od uśmiechu, kiedy wyjął palmtop ze schowka i stuknął rysikiem w ekran.

– Sześćdziesiąt dziewięć mikronadajników w jednym domu! Nazwij mnie starym prykiem, ale pamiętam czasy, kiedy wierciło się

dziury w ścianach, żeby zainstalować podsłuchy wielkości pięści... Dostaję średni i mocny sygnał ze wszystkiego oprócz 65389 do 65404.

– Mniej więcej tak, jak przypuszczałem – powiedział Jake. – Musimy dołożyć przekaźnik w skrzydle biurowym. Wezmę się do tego od razu.

Tymczasem w biurze trwała gorączkowa krzątanina. Hassam i Asif Bin Hassamowie mieli trzy stacjonarne pecety i trzy laptopy plus dwa dodatkowe komputery w trzecim gabinecie, używanym, kiedy tymczasowo zatrudniali sekretarkę albo kiedy Jaśmina zajmowała się księgowością.

Podczas gdy Dave i McEwen kopiowali zawartość dysków i taśm archiwum za pomocą laptopa specjalnie skonfigurowanego do ripowania danych na baterię szybkich twardych dysków, Laura i Bethany pracowały ze skanerami dokumentów.

Były to najnowsze urządzenia tego rodzaju, o konstrukcji opartej na przetwornikach optoelektronicznych ultrawysokiej rozdzielczości. Wystarczyło machnąć kartką przed obiektywem, a po jednej piętnastej sekundy czytelny obraz dokumentu trafiał do pamięci skanera.

Dziewczęta przedzierały się przez segregatory z papierami, pospiesznie pokazując kartki skanerom na statywach, a potem odkładając je tam, gdzie zostały znalezione. Ale nawet przy niemal natychmiastowym skanowaniu skopiowanie całej szafy akt trwałoby wiele godzin, dlatego musiały umiejętnie selekcjonować dokumenty, wybierając tylko te, które mogły dostarczyć cennych śladów.

– Ma ktoś pomysł na dobre miejsce na przekaźnik? – rzucił Jake.

Dave Moss wskazał na segment z szufladami podpierający jedną stronę biurka Hassama.

– Wyciągnij jedną i przyklej z tyłu. Nikt tam nigdy nie zagląda, a nawet jak zajrzy, to pomyśli, że to jakaś naklejka.

Jake ukląkł przed biurkiem i zabrał się do mocowania

przekąźnika. Laura spojrzała na Fahima.

– Trzymasz się jakoś? – zapytała.

– Serce mi wali jak młotem – przyznał chłopiec. – Ale to niesamowity widok, jak pracujecie, wiesz? Wyciągacie ten supersprzęt; wiecie, jak to wszystko działa...

– Mac obserwuje teren przed domem – powiedziała Laura uspokajającym tonem. – A gdyby twój tata pojawił się w pobliżu, to mamy opracowane kryjówki i drogi ucieczki.

– Gotowe – powiedział Jake, wstając i otrzepując z kurzu dłonie w cienkich rękawiczkach. – Mamy jeszcze jeden skaner czy może zrobić jakąś herbatę?

– Mamy tylko dwa – powiedziała Laura. – Ale bez obaw, myślę, że w ciągu godziny sfilmujemy wszystko, co ważne.

Dave Moss klasnął w dłonie.

– O tak, walnąłbym herbatkę. Tylko nie zachlap dywanu, bo będzie problem.

– Jezu, Dave, wiem – jęknął Jake z irytacją. – Nie jestem głupi.

– Tylko przemądrzały – powiedziała Laura i odchrząknęła znacząco.

Bethany, Dave i McEwen spojrzeli po sobie zdumieni, ale Jake zrozumiał, że otrzymał ostrzeżenie dotyczące jego postawy.

– Sorki, sorki – powiedział pospiesznie. – Będę uważał, a potem umyję filiżanki i odłożę dokładnie tam, gdzie były.

– Będzie najbezpieczniej, jeśli zrobimy sobie dziesięć minut przerwy i napijemy się w kuchni – powiedział McEwen. – Mamy mnóstwo czasu.

26. IMPREZA

Było już ciemno, a wiatr niósł ze sobą mgliste fale mżawki. Obejmując Danę w talii, James podprowadził ją do drzwi mieszkania na drugim piętrze i wolną ręką nacisnął dzwonek. Kerry szła o kilka kroków za nimi. Zaprosiła Gabriellę i jej chłopaka Michaela, ale nie przyszli, ponieważ Gabriella źle się poczuła.

– Właźcie! – zawołała radośnie Gemma, otworzywszy drzwi boso i w workowatym kardiganie. – Ja pierdykam, James, aleś się odstawił! A ty pewnie jesteś Dana.

– Hej – powiedziała Dana. – Dzięki, że nas zaprosiłaś.

Na ten wieczór James ubrał się w koszulkę Chunk, skórzaną kurtkę Dany, czarne chinosy i bladobrązowe buty; Dana przyszła w wyświechtanych bojówkach z przydziału CHERUBA i dżinsowej kurtce, a Kerry postawiła na mocny efekt, wkładając czerwoną mikrosukienkę i białe trampki Converse.

– Jak widzicie, jeszcze jestem w proszku – powiedziała Gemma przeproszającym tonem. – Chodźcie do dużego pokoju. Moja siostra zrobi wam po drinku.

Troje przyjaciół posłusznie pomaszerowało za Gemmą przez przedpokój z krzykliwą wykładziną na podłodze i kilkoma pojazdami Tonka zaparkowanymi wzdłuż listwy przypodłogowej.

Kiedy weszli do pokoju dziennego, w telewizorze leciał Charlie i Lola z DVD. Siostra Gemmy, wyglądająca jak jej nastoletnia wersja, siedziała na kanapie, za którą baraszkowali dwaj mali chłopcy.

– Mela robi dziś za nianię – wyjaśniła Gemma. – Muszę iść na górę poszukać butów, więc rozgoście się. Melka, weź wódkę z barku. Czuję, że muszę się dziś migiem nawalić.

Mela wyglądała na najwyżej piętnaście lat i James osłupiał, kiedy wstała, ujawniając, że jest co najmniej w szóstym miesiącu ciąży.

– Wiem – westchnęła Gemma, widząc zaskoczone miny Jamesa i dziewcząt. – Pobiła mój rekord, krowa jedna.

Mela pokazała siostrze środkowy palec i ściągnęła w dół front barku wbudowanego w meblościankę. Kiedy dwa maluchy usłyszały skrzypnięcie zawiasów, natychmiast wystrzeliły zza kanapy i zażądały coli.

– Nie zaczynajcie znowu, bo powiem tacie – zawarczała Gemma, zatrzymując się w połowie schodów. – Powinniście być w łóżkach już godzinę temu.

– Jest Danny? – zapytał James, podczas gdy Mela wlewała wódkę i colę do plastikowych kubków ozdobionych postaciami z Flinstonów.

– Nie ma – odpowiedziała dziewczyna. – Poszedł otworzyć klub i pomóc didżejowi przy sprzęcie.

Kerry i Dana, wyraźnie zafascynowane widokiem ciężarnej rówieśniczki, zaczęły gruchać nad jej brzuchem i zadawać mnóstwo pytań. James zaległ na skajowej leżance; w jednej dłoni trzymał swój kubek, a drugą obleczoną w pacynkę ciasteczkowego potwora grał w a kuku z najmłodszym synem Gemmy.

– Ładnie wyglądasz – powiedział, kiedy Gemma wróciła w sukience i dopasowanych do niej butach.

– Damy w gaz, damy w gaz, damy w gaz – zanuciła Gemma na melodię *Here we go, here we go*, po czym jednym haustem wychyliła swoją wódkę z colą, pocałowała dzieci na dobranoc i przykazała im

nie denerwować cioci Meli.

Klub Outrage mieścił się w parku przemysłowym oddalonym od domu Gemmy o dziesięć minut drogi przez osiedle. O tej porze wszystkie okoliczne firmy były już zamknięte i klubowicze parkowali gdzie popadnie, ignorując znaki „Parking tylko dla klientów”. Ludzie kręcili się przy swoich samochodach, zaprawiając się alkoholem z supermarketu przed przejściem na ceny klubowe.

Budynek Outrage był niegdyś lekką halą przemysłową, w której wytwarzano wysokiej klasy kolumny głośnikowe, ale przed przemianą w klub nocny został przebudowany, otrzymując między innymi bardzo trendy ogródek piwny na dachu i fosforyzujące pomarańczowe okładziny zewnętrznych ścian.

– Dziwne miejsce na klub – stwierdził James.

Gemma skinęła głową.

– Na początku to był lokal dla gejów, zresztą wciąż tak jest, ale tylko w weekendy. Przenieśli się tutaj, bo na mieście jest kupa dresiarni i po zamknięciu klienci często dostawali łomot.

James jeszcze nigdy nie był w klubie. Wyobrażał sobie niejasno aksamitny sznur i tłum odpicowanych ludzi czekających na wpuszczenie do środka, ale to był środowy wieczór w małym miasteczku, dlatego za kwadrans jedenasta przy wejściu kręcił się tylko Danny i dwaj groźnie wyglądający kolesie.

– James, mamrocie jeden! – ryknął czule Danny, klepiąc Jamesa po plecach. – Miło cię widzieć.

– Dzieciaki nie chciały iść spać – poskarżyła się Gemma, kiedy Danny przywitał ją pocałunkiem.

– Jeszcze godzinka i padną. – Danny wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nie przejmuj się, to problem Melki. Płacę jej za to.

Kiedy weszli do środka, Danny rozdał wszystkim wejściówki uprawniające do darmowego wstępu i nabycia dwóch drinków w cenie jednego przed godziną jedenastą. Wnętrze okazało się mroczne, z podłogą z podkładów kolejowych i wyposażeniem

w stylu z lat siedemdziesiątych. Wśród gości przeważali studenci i licealiści, w tym wielu niepełnoletnich. James, Dana i Kerry należeli do najmłodszych, ale nie wyróżniali się z tłumu.

Nastoletni didżej pozwalał, by domowa składanka garage'u i rocka z lat siedemdziesiątych ogłuszała tłum, a sam siedział na schodkach przy scenie i popijał wodę z butelki, podczas gdy dziewczątka w krótkich spódniczkach łąsiły się do niego, łapczywie chłonąc każde słowo, jakie padało z jego ust. James przyglądał mu się zawistnie, wiedząc, że tylko drewniane ucho i całkowity brak talentu stały pomiędzy nim a karierą przy gramofonach.

*

Do północy klub wypełnił się tłumem studentów, dwudziestoparolatków i niepokojących starszawych jegomościów, najwyraźniej przekonanych, że koszule od Bena Shermana wciąż są na topie. Jeden z nich dostał ostrą odprawę, kiedy spróbował zagadać z Kerry.

Kiedy mieli już dość szaleństw na parkiecie, taras na dachu zapewniał wytchnienie dla bębenków usznych i ochłodę. Miejsc do siedzenia było za mało, więc goście przeważnie stali, prowadząc burzliwe dyskusje, rozgrzani drogim alkoholem i tanimi narkotykami.

Dana, Kerry i James siedzieli przy stoliku pod daszkiem w ogrzewanej części dla VIP-ów. Być może dawniej naprawdę uświetniały ją pomniejsze lokalne sławy, ale w środowe wieczory status VIP-a należał do każdego, kto znalazł didżeja albo któregoś z bramkarzy.

James spojrział na zegarek i z wysiłkiem skupił na nim pijany wzrok, by odkryć, że jest za kwadrans druga. Noc nie należała do bardzo zimnych, ale on był spocony od skakania na dole i dostawał gęsiej skórki przy każdym powiewie.

Wszyscy bawili się wyśmienicie, a James był szczególnie zadowolony z tego, że on, Dana i Kerry tak dobrze się ze sobą

dogadują. Tańczył z Kerry i nie narzekał, kiedy musiał przysłuchiwać się nudnym rozmowom o jakichś babskich sprawach.

– Jak tam? – zapytał Danę. – Zmywamy się?

Blond włosy Dany pozlepiały się w strąki od tańca w duchocie na dole. Na lśniącej od potu szyi rozpuszczał się zapisany flamastrem numer komórki jakiegoś przypadkowego kołesia, z którym flirtowała, żeby podrażnić Jamesa.

– Minie godzina, zanim załatwimy taryfę i wrócimy do kampusu – zauważyła z uśmiechem. – A jutro o wpół do siódmej mam matkę.

– Przesraniutko – wyszczerzył zęby James. – My musimy być w kurczakowni dopiero o wpół do jedenastej, ale nie zamierzam wypruwać sobie flaków, żeby dotrzeć tam tak wcześnie. A co, kurde, polecą nam po premii?

Kerry zachichotała.

– To będzie absolutnie gówniany kacowy poranek.

– Język, Kerry – zaśmiała się Dana.

Kerry prasnęła dłońmi w blat i potrząsnęła głową.

– Wszyscy zachowują się, jakbym była królowną – wybełkotała. – A przecież absolutnie nie jestem!

James uznał to za przedni dowcip.

– No tak, kiedy Gabriel złapał cię za tyłek, to jakby otworzył drzwi do całkiem nowej Kerry.

– Bla, bla, bla. – Kerry machnęła ręką, wstając chwiejnie od stołu.

– Dźdobry, jestem James Adams i lubię sadzić smuty przez dwadzieścia cztery na siedem. Arsenał, laski, motory, laski... Arsenał, pitu, pitu... nudy.

– Ale się złołaś – ucieszył się James. – Poczekajcie, skoczę się odlać, a potem rozejrzemy się za Gemmą. Musimy jej podziękować.

– Jestem głupiutkim blondaskiem – ciągnęła Kerry, ignorując lekko już poirytowanego Jamesa. – Kocham siebie nad życie, ale mój siusiak jest taki maciupci... – Spojrzała przez centymetrową szczelinę

między palcem wskazującym a kciukiem i zanosła się opętańczym chichotem.

Dana stłumiła śmiech i odwróciła się, bo miała telefon przy uchu i właśnie próbowała zamówić taksówkę.

– Za pięć minut przed wejściem – oznajmiła po chwili, chowając komórkę.

– Idę do wucetu. Spotkajmy się przy tej różowej niby-rzeźbie – powiedział James.

Spiralne schody, które prowadziły na taras, były bardzo trendy, ale mniej niż idealne, kiedy w głowie szumiał alkohol i trzeba było lawirować między gośćmi przesiadującymi na obitych wykładziną stopniach. Kiedy James dotarł na dół, drogę zastąpiła mu drobna gotka. Dziewczyna położyła mu dłonie na piersiach.

– Przystojniaczek – zamruczała zalotnie.

Wyglądała na napaloną i bez oporów, ale przy Danie i Kerry James nie miał złudzeń.

– Sorki, nie jestem sam – powiedział przepaszająco.

– Młody, ale fajniutki – zaśmiała się dziewczyna, odwracając się do koleżanek zarzucających jej próbę uwiedzenia nieletniego.

Podryw ze strony przypadkowej dziewczyny zawsze działa budująco, ale euforia prysła, kiedy tylko James zajrzał do toalety. Była elegancka, ale zalana centymetrową warstwą wody z zatkanego pisuaru. Nie zniechęcało to pary ostro zabawiającej się w jednej z kabin i James nie mógł skupić się na sikaniu, bo dziewczyna co chwila ryczała „Oooch, mój olbrzymie” z akcentem, jaki przywodził mu na myśl Schwarzeneggera.

Walczył ze sobą naprawdę dzielnie i parsknął śmiechem dopiero, kiedy wypadł na korytarz. W jedną stronę szło się z powrotem do klubu, ale na przeciwległym końcu stali Danny i Gemma. James bez namysłu ruszył w ich stronę, o sekundę za późno uświadamiając sobie, że jego znajomi się kłócą.

– To nie twoja forsa – wysyczał Danny, potrząsając Gemmą za

ramiona.

– Pożyczyłam ci wszystko, co miałam! – krzyknęła Gemma. – Wszystkie oszczędności. Beze mnie w życiu nie zacząłbyś tych imprez. Chcę swoją dolę.

James gwałtownie zahamował i chciał czmychnąć, ale Danny przyszpilił go wzrokiem.

– Fajna nocka? – zapytał takim tonem, jakby nie działo się nic szczególnego.

James niepewnie kiwnął głową.

– W dechę. Ale jutro mamy kupę roboty, więc Dana ściągnęła taksówkę.

– Takie życie – westchnął filozoficznie Danny. – Dzisiaj był rekordowy tłum. Przychodzi coraz więcej luda, a didżej jest za-rą-bi-sty! Zareklamujecie nas znajomym, co nie?

– Sie wie – powiedział James, udając entuzjazm. – Dzięki, że nas zaprosiliście, wpuściliście do części dla VIP-ów i w ogóle. Pierwszy raz byłem w normalnym klubie.

Gemma trochę się odprężyła.

– To lepsze niż dyskoteka w emdeku, co?

James wyszczerzył się radośnie.

– W emdekach jest seksu i dragów od groma, ale tu jest bardziej stylowo.

Gemma i Danny roześmiali się.

– Trzymaj się – rzucił na pożegnanie Danny, a James skinął mu głową, odwrócił się i zaczął odchodzić.

Uszedł sześć kroków, gdy usłyszał krzyk Gemmy.

– Zabieraj ode mnie te łapy!

James odwrócił się. Ujrzał jak Danny złapał Gemmę za nadgarstek i przyparł ją do ściany. Mógłby to zignorować, ale dziewczyna była w potrzasku i nie chciał zostawiać jej bez pomocy.

– Hej, no co ty, Danny? – powiedział, zawracając. – Uspokój się, dobrze?

Danny zmrużył oczy.

– Nie twój interes, dzieciaku.

James potrząsnął głową.

– Kurde, jesteś dwa razy większy od niej – powiedział ze złością. – O co się kłócicie, to faktycznie nie moja broszka, ale nie będę stał i patrzył, jak rzucasz dziewczyną o ścianę.

– Nic się nie dzieje – wtrąciła Gemma drżącym głosem. – Wracaj do dziewczyn, James.

James zawahał się.

– Smaruj wroty, zanim wkopię cię w przyszły tydzień – pogroził mu Danny.

James pokręcił głową i wyciągnął rękę do Gemmy.

– Chodź, wrócisz z nami. Podrzucimy cię taksówką do domu.

Danny nie był zachwycony tym pomysłem. Wybałuszył przekrwione oczy i powoli odwrócił głowę w stronę Jamesa.

– Życie ci, kurdefaja, niemiłe, gówniarzu zafajdany?

Danny był roslym mężczyzną, o sporym doświadczeniu w barowych bójkach, ale poruszał się ze zwinnością worka kartofli. Chciał odepchnąć natręta masywnymi rękami, lecz nawet po alkoholu ten przeciwnik był dla niego po prostu za szybki. James zanurkował w błyskawicznym uniku i poderwał kolano, trafiając osiłka w nerki. Danny stęknął z bólu, ale nie przestał nacierać.

– No i dograłeś się, mały draniu.

– Daj mu spokój! – wrzasnęła Gemma, ale jej niepokój był bezpodstawny.

W porównaniu z nastolatkami, z jakimi James walczył trzy razy w tygodniu na treningu samoobrony, Danny poruszał się w zwolnionym tempie i nie zdążył nawet spróbować się osłonić, kiedy James przygrzmocił mu nasadą dłoni w prawą skroń. Licząc gwiazdy, jakie zawirowały mu przed oczami, wielki dryblas runął w bok na ścianę, po czym osunął się w kałużę wody wyciekającej spod drzwi męskiej toalety.

– O ja pierdykam! – zachłysnęła się Gemma, nachylając się nad swoim chłopakiem. Po chwili uniosła ręce do twarzy. – Po coś to zrobił, matole?!

– Miałem tu stać i patrzeć, jak cię leje?

Gemma była wystraszona nie na żarty.

– Tutaj jest jeszcze czterech bramkarzy, James, i wszyscy są kumplami Danny'ego. Lepiej stąd zmiataj, bo jak to zobaczą, to cię zabiją.

– Chodź z nami – poprosił James. – Taksówka będzie lada chwila.

W głosie Gemmy narastała irytacja.

– I dokąd ja pójdę, James, co? Mieszkam w jego domu.

– Eee... cóż... – zająknął się James, czując się podle.

Gemma zdobyła się na słaby uśmiech.

– Wiem, że chciałeś dobrze, ale ja muszę z nim żyć – powiedziała łagodnie, kładąc mu rękę na ramieniu. – Nokautując go, w niczym mi nie pomożesz.

Z głębi korytarza wytoczyli się dwaj kolesie zmierzający w stronę toalet. Na widok wielkiego mężczyzny na ziemi unieśli brwi, ale uznali, że to nie ich sprawa.

– Mam go zawlec gdzieś w bezpieczne miejsce? – zapytał James.

– Nie – wypaliła nerwowo Gemma. – Idź po Kerry i Danę i proszę, wsiadajcie już do taksówki.

– No to do zobaczenia jutro w pracy.

Gemma potrząsnęła głową.

– W piątek. Jutro mam wolne.

James oddalił się targany mieszanymi uczuciami. Uważał, że postąpił słusznie, ale Gemma nie podzielała jego zdania i najwyraźniej bała się tego, co może nastąpić, kiedy Danny dojdzie do siebie.

– Nie spieszyłeś się – zauważyła Kerry, kiedy spotkali się w holu.

– Taksówka już czeka.

– Spotkałem Gemmę – powiedział James, resztę wyjaśnienia

pozostawiając na czas jazdy do domu.

– O czym rozmawiałaś z tą małą gotką? – zainteresowała się Dana, mrużąc oczy.

James był pijany i rozkojarzony, więc minęła dłuższa chwila, nim przypomniał sobie incydent na schodach.

– Co...? A nie, nic takiego. Pytała, czy mam ogień. To ciebie powinienem spytać, co robi ten numer telefonu na twojej szyi.

Oznaki zazdrości Dany sprawiły mu przyjemność, ale nie uśmiechnął się, dopóki nie minęli bramkarzy i nie wsiedli do czekającego nissana.

27. ZESPÓŁ

Po zainstalowaniu urządzeń podsłuchowych Laurze i Jake'owi nie zostało już wiele do zrobienia oprócz chodzenia do szkoły i dotrzymywania towarzystwa Fahimowi. Laurze to nie przeszkadzało, bo Camden Central była niewymagającą szkołą i dziewczyna miała znacznie mniej nauki niż w kampusie. Poza tym w weekend odwiedzili ich Bethany, Rat i dwaj koledzy Jake'a. Rat nie znał Londynu, więc przejechali się na Kole Milenijnym i odwiedzili kilka innych atrakcji turystycznych, by potem powrócić się po sklepach, a wieczorem wybrać do kina.

We wtorek Mac był niemal nieznośnie smutny po ceremonii pogrzebowej, podczas której pożegnał swoją żonę, z którą przeżył czterdzieści lat, synową oraz dwoje wnucząt – Angusa i Megan. Choć jego ojciec był założycielem CHERUBA i organizacja była ogromnie ważną częścią jego życia, rodzina Maca sądziła, że pracuje on dla armii jako ekspert od testów uzbrojenia. Legenda współgrała z tym, że Mac jeździł do pracy na poligon artyleryjski, jak również na regularne spotkania w Londynie i w okazjonalne delegacje za granicę.

Mimo oczywistego przygnębienia Mac zachował profesjonalne podejście do misji. Każdego ranka, wyprawivszy Laurę i Jake'a do

szkoły, zasiadał do analizy danych wywiadowczych i sprawozdań zespołu badającego przyczyny katastrofy samolotu Anglo-Irish. Po południu odbierał e-maile z raportami zespołu MI5 monitorującego sprzęt podsłuchowy w domu Fahima.

Wracając ze szkoły, Laura zawsze była ciekawa wieści o postępach dochodzenia, a Mac cieszył się obecnością dzieci po całym dniu spędzonym sam na sam z własnymi myślami. Był piątek, od zainstalowania podsłuchów minęło dziewięć dni.

– Chcecie kakao? – zawołał Mac, słysząc rumor w przedpokoju. Laura cisnęła plecak w kąt, powiesiła blezer na wieszaku i weszła do kuchni. – Na ekologicznym mleczku, zero procent okrucieństwa, dokładnie według instrukcji.

– Brzmi cudnie – powiedziała Laura, łapiąc oburącz kubek i wystawiając twarz na dotyk gorącej aromatycznej pary. – Ale dziś paskudna pogoda.

Mając sporo czasu, Mac chętnie dogadzał parze młodych agentów. Kiedy wstawali z łóżek, zawsze czekało na nich gorące śniadanie i torebki z lunchem, po szkole dostawali gorące napoje i przekąski, a po odrobieniu lekcji porządny obiad. Mac gotował przyzwoicie, ale jego umiejętności nie wykraczały poza pieczeń, rybę z frytkami i inne tradycyjne brytyjskie dania, dlatego też czasem zabierał młodzież na curry, a raz zaprosił ich także do znakomitej włoskiej restauracji mieszczącej się w pasażu tuż pod ich mieszkaniem.

– A gdzie młody? – zapytał Mac, siadając naprzeciw Laury przy niedużym stole kuchennym. – Dla niego też przygotowałem.

– Playstation u Fahima – wyjaśniła Laura. – Ci dwaj naprawdę nieźle się dogadują. Czuję się prawie niepotrzebna.

– Należało się tego spodziewać – kiwnął głową Mac. – Ale na początku Jake potrzebował twojej pomocy, a i teraz wolę mieć pod ręką kogoś doświadczonego. Przydasz się jeszcze, kiedy wreszcie wyskoczy coś ciekawego.

– Jakieś nowiny od nasłuchowców?

– Nic – westchnął Mac. – Jeśli Hassam i Asif należą do jakiejś organizacji terrorystycznej, to kamuflują się znakomicie.

– Może są ostrożni i na wszelki wypadek porozumiewają się szyfrem?

Mac pokiwał głową na boki.

– To możliwe, ale raczej nieprawdopodobne, jeśli mamy do czynienia z dwoma braćmi rozmawiającymi ze sobą w swoich własnych gabinetach.

– Może Hassam jest zamieszany, a Asif nie – kombinowała Laura.

– Zastanawiałem się nad tym, ale szczerze mówiąc, zaczynam odnosić wrażenie, że tylko tracimy czas.

– Ale Fahim mówi, że pamięta, co dokładnie mówili jego rodzice – zauważyła Laura. – I trudno zaprzeczyć, że jego mama zniknęła niespodziewanie w mocno podejrzanych okolicznościach.

– Być może Fahim coś źle zrozumiał – powiedział Mac. – To bystry chłopak, ale MI5 postawiło troje funkcjonariuszy na dwudziestoczerogodzinny nadzór. Przeanalizowali każdy telefon, podsłuchali każdą rozmowę i przeczytali każdy e-mail. DNA Hassama przepuszczono przez wszystkie bazy danych o terrorystach i facet okazał się czysty, podobnie jak cała jego najbliższa rodzina. Otworzyliśmy każdy plik z twardych dysków i przestudiowaliśmy wszystkie dokumenty, jakie skopiowałeś. Znaleźliśmy dowody na oszustwa podatkowe, ale obraz, jaki się nam wyłania, przedstawia najwyżej lekko szemraną firmę handlową, która lubi czasem nagiąć przepisy. Nigdzie ani śladu związków z terroryzmem.

– No dobra, a co z tym, co mówiła mama Fahima, że samolot serwisowała firma jego dziadka?

Mac potrząsnął głową.

– Rozbita maszyna należała pierwotnie do przewoźnika z Japonii. Została wyremontowana i wyposażona zgodnie z wymogami

Anglo-Irish w Indiach dwa miesiące przed katastrofą. Sprawdziłem firmę remontową i okazało się, że żaden z jej większych udziałowców nie ma powiązań z rodziną Bin Hassamów.

Laura zmarszczyła brwi.

– Czy to nie jest podejrzane? Kto wysłał samolot do serwisu w kraju Trzeciego Świata?

– Też byłem zaskoczony – skinął głową Mac. – Ale okazuje się, że przemysł lotniczy w Indiach właśnie przeżywa boom. Przelecieć samolotem na subkontynent to żaden problem, a przeglądy i remonty są pracochłonne. W Indiach koszty potrafią być nawet o jedną trzecią niższe niż w Europie czy Stanach. Większość indyjskich warsztatów remontowych to nowoczesne zakłady należące w całości bądź częściowo do zachodnich wytwórni lotniczych, które ręką swoją reputacją za wysokie kwalifikacje pracowników i standardy jakości takie same lub nawet wyższe niż gdziekolwiek indziej.

– Mimo wszystko – powiedziała Laura. – Terrorystom na pewno łatwiej umieścić ładunki wybuchowe i detonatory w samolocie przechodzącym remont w Indiach, niż przemycić bombę przez zabezpieczenia na Heathrow.

– Być może. – Mac wzruszył ramionami. – Tuż po katastrofie dochodzeniowcy wysłali do Indii swoich ludzi, żeby przesłuchali zespół, który pracował przy maszynie, i skopiowali rejestry prac serwisowych. Ale nic z tych rzeczy nie zmienia faktu, że mimo wszystkich informacji, jakie zgromadziliśmy, po tygodniu podsłuchiwania Hassama Bin Hassama naszym jedynym dowodem na jego związek z katastrofą jest oświadczenie Fahima, który twierdzi, że jego rodzice wspomnieli o tym podczas kłótni.

– Myśli pan, że to wszystko jest tylko w głowie Fahima? – zapytała Laura, zsuwając szkolne buty i przebierając palcami stóp.

– Fahimowi naprawdę zdarzały się koszmary i niezrównoważone zachowanie – powiedział Mac. – A jak ty sądzisz? Znasz go lepiej

niż ja.

Laura zamyśliła się.

– Wydaje się najzupełniej normalny – powiedziała po chwili. – Jasne, jest przybity, ale kto nie byłby w takich okolicznościach? A kiedy rozmawiam z nim o różnych sprawach, to widać, że jest inteligentny. I bardziej dojrzały od Jake'a, jeśli mam być szczerą.

– Tak sobie myślałem... – powiedział Mac, kręcąc głową. – Przyczyną, dla której potraktowałem poważnie telefon Fahima do gorącej linii, był oczywisty strach w jego głosie. Ale jeśli przeraził go koszmar senny i chłopak obudził się wstrząśnięty i zdezorientowany?

– Chodzi panu o to, że mógł nie wiedzieć, co się dzieje naprawdę? Miał wstrząśnienie mózgu. Jego rodzice wdali się w okropną kłótnię, mama zniknęła, a jego przerażony umysł podsuwał mu przeróżne zwariowane rozwiązania.

– Właśnie tak – skinął głową Mac. – Niewykluczone, że strach, jaki ogarnął go po zniknięciu mamy, namieszał mu w głowie, splatając jego własne przeżycia z tym, co usłyszał w wiadomościach. Raport psychologa z Warrender Prep określa Fahima jako fantastę.

Laura potrząsnęła głową.

– Nie odnoszę wrażenia, że zmyśla.

– W głowie Fahima to wszystko może być jak najbardziej realne.

– To co robimy? – zapytała Laura. – Skąd mamy wziąć pewność, jak jest naprawdę?

– Myślę, że już czas powoli zwijać manatki – powiedział Mac. – Ty i Jake możecie wracać do kampusu. Podsluch możemy zostawić jeszcze na tydzień lub dwa, ale powiem MI5, że mogą wstrzymać monitorowanie na bieżąco. Wystarczy, że ktoś co jakiś czas będzie przesłuchiwał nagrania, dopóki nie siądą baterie w mikrofonach.

– Biedny Fahim – powiedziała Laura ze smutkiem w głosie. – Cokolwiek spowodowało tę katastrofę, nic nie zwróci mu jego mamy.

– Wiem – westchnął Mac. – Jeszcze nie za bardzo wiem jak, ale znajdę sposób, żeby dyskretnie poinformować policję o jej zaginięciu. I oby mieli więcej szczęścia w rozgryzaniu tej zagadki niż my.

– Będziemy musieli powiedzieć Fahimowi, że go porzucamy – powiedziała Laura. – Po tym, co przeszedł, pęknie mu serce.

28. ROZMOWA

Dwutygodniowe praktyki w Deluxe Chicken miały się ku końcowi, a James i Kerry stopniowo przywykli do rutyny i nudy swojej próbnej pracy. Oboje pozostali na porannej zmianie, ale w poprzedni piątek Gemma zmieniła swoje godziny pracy i od poniedziałku widywali ją tylko przelotnie, tuż przed swoim powrotem do kampusu. Gabriel także przesunął swoją zmianę, żeby nie musieć spotykać się z Kerry, a jego miejsce zajęła wicekierowniczka o imieniu Wendy. Wendy zaciągnęła się do Deluxe Chicken w ramach programu rekrutacyjnego dla absolwentów, co oznaczało, że może spodziewać się szybkiego awansu na kierowniczkę nowo otwartej restauracji. Mimo wysokiego stanowiska miała niewiele ponad dwadzieścia lat, a na studiach przewinęła się przez dość lichych posad, by nie nękać swoich pracowników, chyba że ich lenistwo sięgnęło bulwersująco wysokiego poziomu.

James i Kerry zjawiali się rano, przebierali w uniformy i aż do końca zmiany robili tak mało, jak tylko się dało, bez zbytniego narażania się kierownictwu. Kerry wydawała się pogodna i James cieszył się, że w ich relacjach nareszcie przestało wiać mrozem. Przypominały mu się czasy pomiędzy szkoleniem podstawowym

a ich pierwszym pocałunkiem, kiedy byli po prostu dobrymi przyjaciółmi.

Kerry ucieszyła się na widok Gemmy, która niespodziewanie weszła do lokalu w piątkowe południe, ale jej radość najwyraźniej nie była odwzajemniona.

– Zamieniłam się – wyjaśniła burkliwie Gemma, nie patrząc Kerry w oczy.

– Jak poszło w klubie w środę? – zapytała Kerry, podczas gdy Gemma poprawiała baseballówkę na głowie.

– Nie byłam. Chłopak Meli przyjechał na przepustkę z wojska, a mama Danny'ego chodzi na pilates, więc musiałam zostać z dziećmi.

– Tak się zastanawiałam... – zaczęła Kerry niepewnie. – Bo widzisz, w przyszłym tygodniu James ma urodziny. Rozmawiałam z Daną i tak sobie pomyślałyśmy, że byłoby super znowu pójść razem do Outrage. Chyba że Danny wciąż jest zły na Jamesa, bo wtedy oczywiście nie da rady...

– Nawet nie myślcie o tym, żeby tam przyłazić – powiedziała twardo Gemma, dopiero teraz odwracając się w stronę Kerry. – Danny ciągle jest wściekły.

– O cholera – zakląła Kerry na widok ogromnego sińca pod okiem i spuchniętej wargi dziewczyny. – Czy to on?

Gemma przepchnęła się obok Kerry, unosząc ręce w geście irytacji.

– Nawet nie zaczynaj, dobrze?

– Nie wierzę – wypaliła Kerry, ruszając za nią. – Czy to ten bydlak tak cię urządził?

Gemma cmoknęła niecierpliwie.

– A kto inny? Nic na to nie poradzisz, Kerry. Przyszłam do pracy, żeby nie musieć siedzieć w domu i o tym rozmyślać.

Kerry trzęsła się z gniewu.

– Nie możesz mu na to pozwalać.

Gemma ujęła się pod boki.

– Kerry, moje życie to nie twój interes. To twój ostatni dzień praktyk. Za parę godzin wrócisz do domu i nie zobaczymy się już nigdy więcej.

– Jak go dorwę, to tak mu dowalę... – pieniała się Kerry.

– A co dobrego miałoby z tego wyniknąć dla mnie? – zapytała Gemma łamiącym się głosem, czerwona ze wstydu, z trudem powstrzymując łzy. – Mieszkam w jego mieszkaniu. Mam dwójkę dzieci poniżej pięciu lat i nie mam się gdzie z nimi podziąć. Odkąd James mu przyłożył, jest na zwolnieniu. Ma bóle głowy i krzyża, stracił tygodniowe zarobki, jest wściekły i wyładowuje się na mnie i dzieciach.

– Biję dzieci? – Kerry skrzywiła się z niedowierzaniem.

Gemma potrząsnęła głową.

– Jest porywczy. Nigdy ich nie bije, ale wpada w szał, kiedy za bardzo dokazują.

– A co z twoimi rodzicami? – zapytała Kerry.

– Chrzanić ich. – Gemma machnęła ręką. – Myślisz, że stanę na ich progu z dwójką dzieciaków i miską żebracza, żeby mogli powiedzieć: „A nie mówiliśmy”?

– Nie możesz pójść do urzędu mieszkaniowego czy gdzieś? Złożyć podania o dach nad głową? Może nie będzie to pałac, ale nie możesz dalej żyć w ten sposób!

– To dobry chłopak – powiedziała cicho Gemma i otarła Izę z kącika oka. – To mój facet. Po prostu ma temperament.

Kerry potrząsnęła głową.

– Jak możesz go bronić? Widziałaś się w lustrze?

Gemma cofnęła się o krok i krzyknęła na tyle głośno, by usłyszeli ją wszyscy klienci.

– Kerry, nie wtrącaj się do mojego życia, dobrze?! Trzymajcie się z dala od klubu i ostrzeż Jamesa, że Danny wraca dziś do roboty. Niech lepiej idzie prosto do domu, bo Danny gotuje się z wściekłości

i wie, że to wasz ostatni dzień.

Kerry zerknęła na zegarek.

– James poszedł na przerwę. Powinien wrócić lada chwila.

*

James przebiegał przez ulicę, powiewając za sobą reklamówką PC World. Był wniebowzięty, bo w koszu z przecenami znalazł małeńki odtwarzacz MP3. Wprawdzie Dana miała iPoda, ale szukała czegoś lżejszego, co mogłaby przypinać sobie do szortów, kiedy wychodziła pobiegać, a James nauczył się już, że prezenty bez okazji są punktowane bez porównania bardziej niż prezenty na Gwiazdkę czy urodziny – miłe, ale zawsze spodziewane.

Przeskakując krawężnik przy dziesięciometrowym pasie suchych liści i śmieci dzielącym go od Deluxe Chicken, James dostrzegł Danny'ego wyłaniającego się z alejki prowadzącej do wejścia dla personelu.

– Hej, hej, odbycie! – zawołał Danny, po czym zamierzył się kijem baseballowym na śmietnik Deluxe Chicken i sieknął od ucha, strącając wieko, które upadło na beton z blaszanym łomotem.

Dwaj barczyści kumple Danny'ego stali tuż za nim. Nie dorównywali mu wzrostem, ale skórzane kurtki i masywne karki nadawały im podobnie zakapiorski wygląd.

– Nie chcę kłopotów – powiedział James, zerkając za siebie, by sprawdzić, czy nikt nie idzie z przeciwnego kierunku. Widząc, że teren jest czysty, odetchnął z ulgą: w razie czego te trzy ociężałe bambry na pewno go nie dogonią.

– Widziałeś dziś Gemmę, misiu? – wyszczerzył się Danny. – Wczoraj wieczorem przeniosłem ją na kopach z jednego końca chaty na drugi. Masz coś do powiedzenia w tym temacie?

– Dżentelmen z ciebie – powiedział James, kiwając głową z uznaniem. – Mam nadzieję, że odzyskałeś respekt swoich kochasiów.

– Wiesz co? Myślę, że dziś znów się z nią zabawię.

– Nie chcę kłopotów – powtórzył James, cofając się nieznacznie. – Wiem, że to wszystko przez twoje ciężkie dzieciństwo, matkę dziwkę i tak dalej.

Danny wyprostował się; uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Cho no tu i powtórz, coś powiedział.

James nie miał zamiaru wdawać się w rozróbę z trzema grzmotami, którzy nawet nie byli w stanie go złapać, ale kiedy odwrócił się, by odbiec, ujrzał Gemmę, która wyszła na ulicę przez frontowe drzwi Deluxe Chicken.

– Daj mu spokój, Danny – powiedziała gniewnie. – To tylko dzieciak.

– Przecież tylko się z nim drażnię, malutka – odparł Danny takim tonem, jakby było oczywiste, że żartował. – No chodź, daj buziaka.

Gemma rozejrzała się niepewnie i z nadąsaną miną podeszła do Danny'ego, który pocałował ją w spuchnięte usta.

Ale kiedy tylko odwróciła się od swojego chłopaka, ten złapał ją za kucyk wystający spod baseballówki i szarpnął w dół, aż głowa dziewczyny odskoczyła do tyłu. Gemma krzyknęła z bólu.

– No dawaj, mały, uciekaj! Uciekaj! – zawołał Danny z wrednym uśmiechem, jedną ręką brutalnie ściągając Gemmę w dół, a drugą unosząc pałkę. – A może przyjdiesz jej na ratunek?

James wyjął z kieszeni komórkę.

– Dzwonię po gliny, ty tłusty ćwoku.

– Twoje słowo przeciwko mojemu, James – powiedział Danny ostrzegawczym tonem. – Ta mała dziwka nie weźmie twojej strony, jeżeli zostało jej trochę rozumu w tej pustej czaszce.

– Hej! – wrzasnęła Kerry, wypadając z restauracji. W dłoni trzymała coś czerwonego, ale dopiero gdy tym rzuciła, James uświadomił sobie, że to miniaturowe frisbee, jakie w Deluxe Chicken dodawano do zestawów dla dzieci.

Przefrunąwszy dwa metry, krążek odbił się Danny'emu od czoła. Korzystając z chwilowej dekoncentracji przeciwnika, Kerry skoczyła

naprzód i grzmotnęła go bykiem w brzuch. Danny puścił Gemmę i zamachnął się pałką, ale Kerry uchyliła się, by w następnej chwili przymalować mu pięścią w szczękę.

Dwaj kolesie z obstawy Danny'ego ruszyli na Kerry, ale James zareagował szybciej. Z rozpędu staranował osiłków, odtrącając na bok, a potem odskoczył i powalił ich na ziemię: jednego kopnięciem z obrotu, drugiego ciosem w brzuch.

Tymczasem Kerry przyszpiliła Danny'ego do ziemi i zdzierła sobie gardło krzykiem.

– Ty głupi, zasrany, porąbany bydlaku! – pomstowała, łapiąc za wytatuowany nadgarstek i wykręcając go, aż ramię trzasnęło z budzącym mdłości chrupnięciem. – Zobaczymy, jak ty znosisz ból!

Precyzyjne ciosy Jamesa nie były dość mocne, by stanowić coś więcej niż ostrzeżenie, ale goryle Danny'ego najwyraźniej nie mieli ochoty na dokładkę, bo czmychnęli z placu boju na czworakach. Kerry poderwała się, złapała kij baseballowy obiema rękami i zamachnąwszy się znad głowy, z całej siły rąbnęła Danny'ego w goleń.

– Jezu Chryste! – wyrwało się Jamesowi podbiegającemu do rozjuszonych koleżanki. To nie miało nic wspólnego z samoobroną. Kerry się mściła.

– Lubisz bić kobiety? – krzyknęła chrapliwie. – Lubisz chwalić się koleżkom, jak to jej tym razem dowaliłeś? Ożeż ty tłusty balasie!

Kolejny straszliwy oburęczny cios strzaskał mu drugą goleń, wrywając z gardła dziki wrzask.

– Zadowolony? – krzyknęła Kerry, zawisając nad Dannym, dysząc wściekłością i ściskając w dłoniach pałkę. – Nie rozwalę ci drugiej ręki tylko dlatego, że wtedy jakaś kolejna nieszczęsna kobieta musiałaby podcierać ci tyłek!

James czujnie odciągnął koleżankę na bok. Kompletnie straciła panowanie nad sobą i trochę się bał, że dostanie się i jemu, ale kiedy ujął kij, bez protestów pozwoliła wyjąć go sobie z rąk.

– Spróbuj ją jeszcze raz choćby dotknąć – prychnęła w stronę leżącego, celując w niego palcem. – Znajdę cię. Polecisz, kurde, na Marsa, a ja tam będę, żeby przemienić twoje życie w piekło.

Danny nie słyszał tych gróźb, bo właśnie tarzał się w liściach, jęcząc z bólu. Miał złamaną rękę i dwie pęknięte golenie.

James wsunął wolną dłoń za plecy Kerry i przyciągnął ją do siebie. Dygotała z gniewu. W tym samym momencie Gemma spojrzała na Kerry, a potem z wahaniem na swojego chłopaka.

Gemma zawsze brała Danny'ego w obronę, utrzymując, że w gruncie rzeczy jest przyzwoitym człowiekiem cierpiącym z powodu gwałtowności charakteru. Kiedy jednak usłyszała, jak chełpi się tym, że ją pobił, by potem użyć jej do sprowokowania Jamesa, złudzenie przysło. Dziewczyna postąpiła naprzód i splunęła z furią na skórzaną kurtkę dryblas.

– Zwierzę jesteś, nie człowiek! – krzyknęła bliska łez. – Przynęte sobie zrobił, psiakrew... Nie jestem zabawką, wiesz?!

James zmartwiał, kiedy puścił Kerry, żeby się rozejrzeć. Koledzy Danny'ego znikli z zasięgu wzroku, ale we wnętrzu restauracji wytrzeszczało oczy około tuzina gapiów. Wendy, wicekierowniczka, zamknęła drzwi, żeby nikt nie mógł wejść ani wyjść, a sama stała za szybą z telefonem przy uchu.

– Wezwą gliny – powiedział James nerwowo. – Komisariat jest rzut beretem stąd.

Ale Kerry patrzyła już na radiowóz hamujący przy krawężniku tuż za nim. Drugi pędził przez parking, żeby odciąć drogę ewentualnym uciekinierom.

– Spadamy? – zapytał James, patrząc na Kerry.

Kerry potrząsnęła głową przy wtórze jęków Danny'ego. Być może udałoby im się uciec, ale wiadomość o rozróbie i tak dotarłaby do kampusu, a ich wyjaśnienia przed policją wyglądałyby znacznie wiarygodniej, gdyby zostali na miejscu, by się wytłumaczyć.

Czymś, czego nie wzięli pod uwagę, była wymowa sceny, jaką

ujrzeli czterej policjanci, kiedy wyskoczyli ze swoich samochodów: dwie drobne dziewczyny, Danny wijący się na ziemi i prawie mdlejący z bólu, i wreszcie potężnie zbudowany James stojący na środku tego wszystkiego z kijem baseballowym w dłoni.

– Rzuć tę pałkę! – zawołał policjant, wyszarpując z kabury paralizator i ruszając w stronę Jamesa.

– To nie on! – krzyknęła Kerry.

James nie miał ochoty na pięćdziesiąt tysięcy woltów, więc posłusznie odłożył broń i uniósł ręce. Dwaj policjanci pchnęli go na ceglany mur obok Deluxe Chicken.

– Mamy cię! – zawołał entuzjastycznie pierwszy, podczas gdy jego kolega złapał Jamesa za nadgarstki, by zatrzaskać na nich kajdanki.

*

– To były zwyczajne praktyki, na miłość boską! – denerwowała się Zara Asker. Prezeska stała przy swoim biurku wsparta pięściami o szklany blat. – Mogę zrozumieć, że dzieciaki wpadają w tarapaty na misjach, ale ty chcesz mi powiedzieć, że James Adams nie potrafi nawet przez dwa tygodnie smażyć głupich kurczaków, żeby nie dać się aresztować ?!

– No więc... bo to było... – zająknęła się Kerry. – Chodzi o to, że...

Złapała taksówkę i wróciła do kampusu najszybciej, jak mogła. Po prostu nie miała czasu wymyślić dobrego wyjaśnienia, zanim zapukała do gabinetu szefowej CHERUBA.

– Wyrzuć to z siebie wreszcie! – krzyknęła Zara. Prezeska nieczęsto traciła panowanie nad sobą, ale kiedy już się to działo, to na całego. – Mam dość problemów na głowie i bez tych waszych idiotyzmów!

– James jest niewinny – wypaliła Kerry. – To ja pobiłam tego koleśka, a policja aresztowała Jamesa. On wziął ode mnie pałkę, bo próbował mnie uspokoić, no i jak przyjechali gliniarze, to go zobaczyli z tym kijem...

– Nie próbowałaś wyjaśnić?

– Powiedziałam im, że chcę złożyć zeznanie, ale w lokalu były tłumy ludzi, którzy twierdzili, że widzieli coś innego. Powiedziałam nawet, że powinni aresztować mnie, a nie Jamesa, ale mnie olali i w końcu spławili. Nie jestem duża i pewnie uznali, że tylko James ma dość ciała, żeby załatwić takiego byka jak Danny.

– Sprzeczne zeznania świadków działają na naszą korzyść – powiedziała Zara. – A co z tym Danny? Grożą mu poważne komplikacje?

Kerry potrząsnęła głową.

– Nie celowałam w głowę ani w żadną zbyt wrażliwą część ciała.

Zara opadła na krzesło, odchyliła się do tyłu i wbiła wzrok w sufit, jakby była przerażona i nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– To zupełnie do ciebie niepodobne, Kerry. Co cię napadło, żeby go atakować?

– Danny próbował sprowokować Jamesa, żeby zaczął bójkę, ale James nie chwycił przynęty, więc Danny złapał swoją dziewczynę Gemmę i zaczął ją tarmosić. Gemma przyszła do pracy ze śliwą pod okiem, bo drań pobił ją też wczoraj wieczorem, no i... puściły mi nerwy.

W głosie Zary po raz pierwszy pojawił się cień życzliwości.

– No dobrze, a dlaczegoż to ten facet próbował sprowokować Jamesa do bójki? – zapytała prezeska.

Kerry uświadomiła sobie, że zapędziła się w kozi róg.

– W zeszłym tygodniu James mu przyłożył, kiedy Danny szarpał Gemmę – powiedziała cicho.

– Ach tak – uśmiechnęła się Zara. – Czy to nie było przypadkiem wtedy, kiedy ty, James i Dana powiedzieliście, że jeden ze współpracowników zaprosił was na imprezkę, obiecaliście, że o pierwszej będziecie w kampusie i wtoczyliście się przez bramę kwadrans po trzeciej? Pamiętam, że w sprawozdaniu oddziału wartowniczego opisano was jako „śmierdzących jak wewnątrz butelki

wódki”.

– Straciliśmy poczucie czasu – wybąkała Kerry.

– Nie byłam zachwycona, ale przymknęłam oko, bo to był jednorazowy wybryk, a rano grzecznie wstaliście i poszliście do pracy czy tam na lekcje. Ale nie miałam pojęcia, że James wdał się też w bójkę.

– Posłuchaj – Kerry uderzyła w błagalny ton. – Przyjmę każdą karę, jaką mi wymierzysz, bo zrobiłam źle. Ale James próbował tylko bronić młodej matki, którą lał jej własny chłopak.

– Na szczęście inspektor Marsdell jest moim dobrym znajomym. Zawiadomił mnie telefonicznie, że James jest w jednej z jego cel, jeszcze zanim się zjawiłaś.

– Och... – Kerry była zaskoczona. – To znaczy, że już wiedziałaś? Myślisz, że go oskarżą?

Zara potrząsnęła głową.

– Pomyślałam, że pozwolę Jamesowi pokisić się w areszcie przez kilka godzin. Meryl powiedziała, że skoczy po niego, kiedy skończy trening z juniorami o piątej.

– Słuchaj... jest jeszcze jedna sprawa – powiedziała Kerry. – Potrzebuję rady.

– Na temat?

– Gemmy – wyjaśniła Kerry. – Mieszka z tym Danny'm w jego mieszkaniu. Ma dwójkę dzieci mniej więcej w wieku twoich, a on wciąż się nad nią pastwi.

– Rozumiem – mruknęła Zara. – Czy Gemma nie ma rodziców albo przyjaciół, którzy mogliby jej pomóc?

Kerry potrząsnęła głową.

– Gemma nie chce rozmawiać z rodzicami i twierdzi, że nie potrzebuje pomocy. Opluła Danny'ego po awanturze, ale potem pojechała razem z nim karetką.

– Zdaje się, że naprawdę jej na nim zależy – westchnęła Zara.

– Ale on ją leje – jęknęła Kerry. – Może nie powinnam była się

mieszać, ale stało się i nie chcę mieć Gemmy na sumieniu, jeśli skończy z rozwaloną czaszką albo wyrzucona na bruk z dwójką małych dzieci. Musi być jakiś sposób, żeby jej pomóc.

– Gemma jest dorosła. Wyjdzie z tego patologicznego związku tylko, jeśli sama zechce to zrobić.

W Kerry narastało rozdrażnienie.

– Ja próbowałam jej wytłumaczyć, Zara, ale ona po prostu nie słucha.

– Założę się, że nie ty pierwsza próbowałaś jej mówić, jak ma żyć – westchnęła Zara. – Miejmy nadzieję, że spotka innego faceta, przyjaciela, przy którym zrozumie, że zasługuje na coś lepszego, ale kiedy próbuje się zbyt agresywnie wtrącać ludziom w życie i mówić, jak mają postępować, wtedy zamykają się i przyjmują postawę obronną.

– No to co ja mam robić? – Kerry załamała rękę.

Zara wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę, byś mogła zrobić cokolwiek poza słuchaniem Gemmy i służeniem emocjonalnym wsparciem, kiedy będzie tego potrzebować.

– To znaczy, że czekamy, aż Danny wyjdzie ze szpitala i znów zacznie ją tłuc, tak? – rozzłościła się Kerry.

– Ten Danny wygląda mi na kawał drania i rozumiem, że działałaś pod wpływem bardzo silnych emocji, ale nie jesteś prawem, Kerry. Nic nie upoważnia cię do biegania po mieście i łamania ludziom kończyn. Nie wydaje mi się, bym mogła zrobić wiele dla Gemmy, ale są ośrodki, grupy, które oferują schronienie i inną pomoc osobom uwikłanym w związki skażone przemocą. Zadzwoń w kilka miejsc i zorganizuję trochę ulotek, które wyślemy jej do pracy.

– Ulotki? – Kerry skrzywiła się i cmoknęła z niesmakiem. – Ciekawe, co jej to da.

– Nie możemy zmusić Gemmy do zrobienia czegoś wbrew jej woli

– powiedziała Zara twardym tonem. – Najpierw musi sama zechcieć sobie pomóc. Przy odrobinie szczęścia przestudiuje podsunięte jej informacje i zrozumie, że są inne wyjścia. Ze ma wybór. Jeśli zaś chodzi o twoją karę...

– Czyli jednak zostanę ukarana – westchnęła Kerry.

– Tego możesz być pewna – przytaknęła Zara. – Będę musiała jeszcze porozmawiać z Jamesem i Daną, żeby wyrobić sobie pogląd w kwestii tego, co działo się w ciągu minionych dwóch tygodni, ale owszem, karę dostaniesz i spodziewaj się, że będzie surowa.

29. SOBOTA

W sobotni poranek Fahim wstał wcześnie. Odkąd zniknęła jego mama, nie znośli przebywać w domu, ale był w niezłym nastroju, bo na później był umówiony z Jakiem do kina.

Zjadłszy niespiesznie śniadanie, zszedł do piwnicy i ustawił bile na stole bilardowym ojca. Dysponując stołem w domu, Fahim dużo ćwiczył i grał bardzo dobrze, ale tym razem, gdy za całe towarzystwo miał prakosuszarkę, po dwóch rozgrywkach znudził się i poczłapał z powrotem do swojego pokoju. Kiedy zbliżał się do szczytu piwnicznych schodów, przestraszył go krzyk.

– Gadaj, ty mała suko! – zawołał Hassam, po czym ciało gruchnęło o drewnianą boazerię po drugiej stronie drzwi.

Ton głosu przypomniał Fahimowi kłótnie rodziców. Chłopiec przytknął ucho do drzwi tknięty nadzieją, że jego mama wróciła, ale pełna rozpacz odpowiedzi pochodziła od Sylwii, sprzątaczkii Bin Hassamów.

– Puść mnie! – zaskowytała. – Nie wiem, o co ci chodzi, przysięgam na Boga!

– Dobra, kto jeszcze? – grzmiał Hassam. – Widziałaś kogoś, kto wchodził tu i wychodził?

– Proszę, Hassam – błagała Sylwia. – Naprawdę nie wiem, czego

ty chcesz.

– Wstrętna dziwka – huknął Hassam. – Kto cię na mnie nasłał? Dla kogo pracujesz?

– Co ty mówisz, Hassam? – łkała Sylwia. – Sprzątam ci dom, to wszystko.

Fahim usłyszał krzyk i odgłos rozdieranego materiału. Sylwia została rzucona na ścianę po raz drugi, ale tym razem straciła równowagę i runęła na marmurową podłogę obok frontowych drzwi. Z bijącym sercem Fahim przekręcił klamkę i nieznacznie uchylił drzwi, by zajrzeć do holu.

Szlak z plamek krwi wiódł od kuchni aż do drzwi wejściowych. Fahim patrzył, jak jego ojciec wpycha Sylwię do niewielkiej ubikacji w holu. Dziewczyna jęknęła przeciągle, kiedy dręczyciel wepchnął jej głowę do muszli sedesowej i kilka razy z furją przytrzasnął ciężką ceramiczną pokrywą, by na koniec pociągnąć za łańcuszek spłuczki.

– Gadaj – rozkazał. – Dla kogo pracujesz? Kto cię do tego namówił?

Gdy zaszumiła spływająca woda, Fahim wysunął się ostrożnie zza drzwi piwnicy. Spojrzał w stronę kuchni i zmartwił na widok smug krwi w miejscu, gdzie twarz sprzątaczkki spotkała się z wiszącą szafką. Na podłodze leżał pogięty plastikowy krążek. Fahim z przerażeniem rozpoznał w nim jeden z przekaźników zainstalowanych przez Jake'a. Natychmiast pomyślał o ucieczce i pobiegnięciu do mieszkania Jake'a i Laury dwie ulice dalej, ale wiedział, że to nie będzie łatwe: żeby dostać się do drzwi, musiał przejść obok otwartych drzwi toalety, w której był jego ojciec. Ubrany tylko w dres i skarpetki chłopiec pobiegł cicho po marmurowej posadzce, omijając plamy krwi.

– Jeszcze ci mało?! – ryknął Hassam, spuszczaając wodę jeszcze raz i znów waląc Sylwię w głowę pokrywą sedesu.

Gdyby się obejrzał, zobaczyłby syna próbującego wy mknąć się z domu.

– Nie, błagam, przestań – zaszlochała Sylwia, kiedy wy ciągnął jej twarz z lejącej się wody.

– Przestać? – zarechotał sadystycznie Hassam. – Ja jeszcze nawet nie zacząłem! Gadaj, dla kogo pracujesz, albo będzie o wiele gorzej.

Fahimowi przemknęło przez głowę, że mógłby wziąć buty z szafki przy drzwiach, ale tak rozpaczliwie chciał uciec, że sięgnął prosto do klamki. Niestety, jego ojciec zaryglował drzwi na zamek otwierany tylko kluczem, by Sylwia nie mogła uciec, a skoro to zrobił – uświadomił sobie Fahim – to na pewno zablokował także elektryczną bramę wjazdową, odcinając jedyną drogę na zewnątrz. Jedynym wyjściem było przedostanie się do swojego pokoju i zadzwonienie po pomoc.

– Boże, nie! – zawodziła Sylwia, podczas gdy Fahim puścił się biegiem po schodach. – Proszę cię, wypuść mnie!

W pokoju Fahim zamknął za sobą drzwi, sięgnął po komórkę i tak długo wertował spis kontaktów, aż znalazł numer Jake'a.

– No, stary, odbieraj – mruknął, przyciskając telefon do ucha i słuchając sygnału. – Odbierz telefon, ty karle.

*

Powyjazdowy urlop Bethany skończył się, ustępując miejsca surowemu programowi treningowemu, jaki wymagał od niej spędzania sobotnich poranków w kampusowej siłowni. Tylko Rat zdołał namówić swojego opiekuna, by po raz drugi z rzędu pozwolił mu opuścić sobotnie lekcje i odwiedzić Jake'a i Laureę w Londynie.

– Mac robi obłędne śniadania. – Rat pomasaował się po brzuchu, na kolanach wyciskając powietrze z materaca, na którym spędził noc.

Laura leżała na wznak na swoim łóżku i wpatrywała się w halogenowe lampki na suficie.

– Szkoda, że wycofujemy się z tej misji – powiedziała ze smutkiem. – MI5 przerwała nadzór na żywo i wygląda na to, że w poniedziałek wieczorem będziemy już w kampusie.

– Wiesz, nie wszystkie misje muszą się udawać – powiedział Rat.
– Ale i tak jestem zdziwiony. Tydzień temu wszyscy byliście tacy optymistyczni.

– Szliśmy tylko za przecuciem Maca, ale Fahim był tak absolutnie przekonany, że wie, co usłyszał podczas tamtej kłótni! Byłam pewna, że nadzór zgromadzi jakieś dowody.

– A teraz ktoś będzie musiał powiedzieć Fahimowi, że go zostawiacie.

Laura jęknęła.

– Chłopak się załamał i wiadomo, że to ja będę musiała to zrobić, bo Jake ma wycucie napalonego nosorożca.

– Są i dobre strony – uśmiechnął się Rat. – Kiedy wrócisz, będziesz mogła nabijać się z brata, że go aresztowali na praktykach w fast foodzie.

– Klasyka – zaśmiała się Laura. – Tylko jemu mogło się coś takiego przytrafić.

– Kerry dostała trzysta rundek, sto godzin prac remontowych i trzy miesiące absolutnego zakazu opuszczania kampusu. James ma pięćdziesiąt rundek i dwadzieścia godzin. Dzięki Zarze policja nie wniesie sprawy.

– W moim pokoju przydałoby się małe malowanko – zamyśliła się Laura. – Chyba złożę wniosek.

Rat potrząsnął głową.

– Nie mają tak dobrze. Posyłają ich na rusztowania, żeby malowali dookoła okien na zewnątrz bloku juniorów. Ludzie mówią, że to niesprawiedliwe. Bronili jakiejś dziewczyny, którą maltretował jej chłopak.

– Jak później wyjdziemy na miasto, to kupię mu pędzel i puszkę terpentyny. – Laura uśmiechnęła się szeroko. – Ale się zapieni.

Rat skończył zwijanie materaca i wyszedł do przedpokoju, by wepchnąć go do swojej torby.

– Maca i Jake'a wciąż nie ma – zauważył, zerkając na zegarek,

kiedy wrócił do pokoju kilka chwil później.

– Nic dziwnego – odparła Laura. – Sainsbury's w sobotę... Pewnie są straszne kolejki.

Telefon Laury obudził się do życia, by odegrać *Sweet Child o' Mine* Guns'n'Roses. Laura przetoczyła się leniwie po łóżku przekonana, że to Bethany albo któraś z koleżanek z kampusu, ale ożywiła się, kiedy na wyświetlaczu zobaczyła zdjęcie Fahima.

– Co tam? – zapytała. – Wszystko w porządku?

– Nie! – wypalił Fahim przerażonym głosem. – Próbowałem dodzwonić się do Jake'a, potem do Maca, ale nikt nie odbiera. Ojciec jest na dole i właśnie wybija siedem odcieni gówna z naszej sprzątaczką. Drzwi i brama są zablokowane. Jakimś cudem ojciec znalazł jeden z tych przekaźników, które instalował Jake.

– Żartujesz – zachłysnęła się Laura. – Mac i Jake wyszli, ale ja już do ciebie jadę. Zachowaj spokój i trzymaj się z dala od kłopotów.

– Co się dzieje? – zapytał Rat, kiedy Laura schowała telefon.

– Mamy problem – odpowiedziała Laura. – Ubieraj się i łap każdy sprzęt, jaki wpadnie ci w ręce. Musimy dostać się do tego domu.

– Nie powinnaś najpierw zawiadomić Maca? Albo choćby policję? – zapytał Rat, pospiesznie wkładając buty.

– Jak pobiegniemy, będziemy tam w niecałe dziesięć minut – odparła Laura. – Fahim próbował już dzwonić do Maca. Pewnie nie mają zasięgu, ale jeszcze spróbuję. Jak zadzwonimy po gliny, to pomyślą, że to dowcip, a jeśli nawet mi uwierzą, to miną wieki, zanim im wszystko wyjaśnię.

– Myślałem, że MI5 trzyma dom pod nadzorem – powiedział Rat. – Czemu niczego nie wyłapali?

– Wczoraj okroili operację. Wszystko jest nagrane, ale nikt nie monitoruje sygnałów na żywo, pamiętasz? Mówiłam ci.

– No dobrze, ale co zrobimy, kiedy już tam będziemy? – dopytywał się Rat.

– Nie wiem – odpowiedziała Laura, łapiąc klucze i plecak ze

swoim wyposażeniem szpiegowskim. – Ale siedząc tutaj, na pewno nie zrobimy niczego.

*

Zakończywszy rozmowę z Laurą, Fahim wyszedł na galerię nad holem i ku swemu zaskoczeniu ujrzał stryja Asifa wbiegającego do domu przez frontowe drzwi.

– Co się dzieje? – zapytał Asif, zatrzymując się w drzwiach toalety.

– Dziwka, nie chce mówić – sapnął zdyszany Hassam.

– Podstuchiwali nas, tylko to ma teraz znaczenie – powiedział Asif, omiatając ściany podejrzliwym spojrzeniem.

– Ktoś nas namierza, więc przede wszystkim musimy czym prędzej zniknąć. W domu mogą być inne pluskwy i jeśli gliny coś usłyszały, to pewnie już tu jada.

– To chyba MI5 albo wydział specjalny. Ta rzecz wyglądała bardzo nowocześnie – powiedział Hassam, wychodząc z łazienki, w której wciąż szlochała przemoczona i zmaltretowana Sylwia.

– Jak to znalazłeś? – zainteresował się Asif.

– Wciąż słyszałem takie ciche buczenie, wysoki ton, cichy, ale świdrujący mózg. Wyciągam szufladę, patrzę z tyłu, a tu to gównem przyklejone do ścianki. Jesteś gotowy do wyjazdu?

– Za jakieś trzy godziny – odpowiedział Asif. – Moja żona jest już w drodze do nory.

– Fahim! – zawołał Hassam. – Złaż tu na dół.

– Tata? – powiedział Fahim, wychylając się przez barierkę, udając zaskoczenie obecnością Asifa i łkaniem Sylwii.

– Natychmiast zejść na dół. Włóż buty. Wyjeżdżamy.

– Wyjeżdżamy? Ale dokąd?

Hassam poczerwieniał z gniewu.

– Choć raz w życiu po prostu zrób, co ci każe! – ryknął.

Fahim odwrócił się, by wrócić po komórkę.

– W tej chwili, Fahim! Nie zmuszaj mnie, żebym tam po ciebie

poszedł.

– A moje rzeczy?

Rzut oka na minę Hassama upewnił Fahima, że jeśli spróbuje przeciągać strunę, za chwilę będzie zbierał z podłogi swoje zęby. Bez dalszych targów zszedł na dół i z szafki na buty wyjął swoje najki. Asif spojrzał na Sylwię, która wisiała na muszli sedesowej wstrząsana spazmami płaczu.

– A co z nią?

– Niczego nie powie – powiedział Hassam. – Wzięłeś broń?

Asif wyjął pistolet z wewnętrznej kieszeni kurtki i podał go bratu. Hassam kliknął bezpiecznikiem, a Sylwia w panice uniosła dłonie przed swoją zakrwawioną twarzą.

– Nie, proszę – zakwiliła, rozpaczliwie kręcąc głową. – Ja nie wiem nawet, co to jest, przysięgam, ja nic nie wiem...

Fahim wsunął stopę w but i wstał.

– Ona mówi prawdę – usłyszał własny głos. – Zostaw ją.

– Zamknij się – rozkazał Asif ostro. – Poczekaj w samochodzie.

Ale Hassam zwrócił na syna przenikliwe spojrzenie. Stojąc w jednym bucie, lekko dygocząc, Fahim spojrzał ojcu w oczy.

– Mów, co wiesz! – zasyczał Hassam.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego – powiedział Fahim podniesionym głosem. – Kiedy mama zniknęła, oni skontaktowali się ze mną i pozwoliłem im zamontować nadajniki, kiedy byłeś na spotkaniu.

Lęk wykrzywił Fahimowi twarz, kiedy jego ojciec powoli podszedł i przytknął mu koniec lufy do czoła.

– Nadajniki? – krzyknął Hassam. – Ile?

Fahim wzruszył ramionami na znak, że nie ma pojęcia.

– Dużo. Są w każdym pokoju.

Hassam zaklął, a potem pchnął Fahima na szafkę z butami.

– Zdrajca! – krzyknął. – Gadaj wszystko, co wiesz, albo zabiję cię na miejscu.

Ale Asif spojrział na zegarek.

– Musimy się zmywać, Hassam. Cokolwiek chłopak wie, może nam opowiedzieć, kiedy dotrzemy do nory. Skoro podsłuchów jest więcej, to na pewno ktoś już tu jedzie.

Fahim zadrżał, kiedy ojciec ścisnął go za ramię i pchnął w stronę drzwi.

– Najmocniej przepraszam – powiedział Hassam, uśmiechając się do zalanej krwią, dygoczącej sprzątaczkii. – Zdaje się, że jednak nie łągaś.

Jednak Asif nie życzył sobie, by Sylwia wyczołgała się na dwór i wołała o pomoc, dlatego na odchodnym strzelił jej w udo, po czym zwawym krokiem ruszył do samochodu.

30. BIEG

Laura biegła przodem, z plecakiem ze sprzętem przewieszonym przez ramię, prowadząc Rata, który wprawdzie był szybszy, ale nie znał drogi. Kiedy usłyszała sygnał swojej komórki, zwolniła kroku, by wyjąć telefon z kieszeni džinsów.

– Jake? – sapnęła.

– Gdzie jesteście? Właśnie wyjechaliśmy z Sainsbury's i Mac dostaje kota. Fahim nagrał się nam na sekretarki.

– Właśnie z nim rozmawiałam – powiedziała Laura. – Teraz biegniemy z Ratem do niego. Za moment skęcimy w jego ulicę.

– Mac rozmawia z MI5 – wyjaśnił Jake. – Dyżurny zespół ma przesłuchać taśmy z podsłuchów. Za parę minut powinni mieć jakieś pojęcie o tym, co się tam wydarzyło.

Rat wziął odbiornik i nasłuchuje sygnałów z pluskiew. W domu jest cicho. Zdaje się, że odjechali samochodem jakieś pięć minut temu. Chcemy wejść do środka i spróbować dowiedzieć się, dokąd pojechali.

Nastąpiła przerwa potrzebna Jake'owi na przekazanie zasłyszanych informacji Macowi, który właśnie skończył rozmowę z MI5. Wysłuchawszy pospiesznej relacji, doktor McAfferty wyrwał chłopcu telefon z dłoni.

– Macie broń? – rzucił do mikrofonu.

– Paralizatory i gaz pieprzowy – odpowiedziała Laura.

– Dobrze – szczerknął Mac. – Nie wchodźcie do domu, jeżeli nie będziecie pewni, że domownicy wyjechali.

– Zrozumiałam – potwierdziła Laura. – Będziemy w kontakcie.

Ruszyła biegiem wzdłuż łagodnie wznoszącej się ulicy, mijając ogrodzenia kolejnych rezydencji. Rat wykorzystał swoją przewagę szybkości i wyprzedził koleżankę, by dopadłszy bramy, zacząć się na nią wspinać. Laura była zdenerwowana, ale nie mogła się nie uśmiechnąć, kiedy wstuknęła kod i otworzyła metalową furtkę.

– O kurde – jęknął Rat, balansując niebezpiecznie na wieńczących bramę kolcach.

– Mam też klucz do drzwi – uśmiechnęła się szeroko Laura. – Ale jak chcesz, to możesz spróbować z byka.

Rat upewnił się, że jego spodnie od dresu nie zaczepiły się o kolce, i zeskoczył na żwir po wewnętrznej stronie ogrodzenia. Przy lądowaniu słuchawka spadła mu z ucha, ale natychmiast włożył ją z powrotem, po czym wyjął z kieszeni odbiornik wielkości iPod'a i szybko przesłuchał zaprogramowane częstotliwości.

– W domu martwa cisza – powiedział.

– Pewności nie mamy – ostrzegła Laura. – Hassam zniszczył jeden przekaźnik, więc dostajemy sygnały tylko z połowy domu.

Trzymając w dłoni paralizator, Laura otworzyła frontowe drzwi i weszła do holu, rozglądając się ostrożnie. Jej uwagę przykuł krwawy desień na marmurowej posadzce, ale to Rat pierwszy zauważył stopę sprzątaczkę, wystającą zza drzwi toalety.

– Jezu – zachłysnął się.

Natychmiast odwrócił wzrok, ale na widok skatowanej kobiety ze sterczącymi z uda drzazgami rozłupanej kości żołądek podszedł mu do gardła.

Laura była niemal tak samo wstrząśnięta, ale zmusiła się do patrzenia przez wystarczająco długi czas, by dostrzec, że pierś

Sylwii unosi się i opada.

– Ona oddycha!

– To już coś – wykrztusił Rat, wciąż zbyt bliski torsji, by spojrzeć.

Laura ostrożnie wstąpiła w plamę krzepnącej krwi i złapała Sylwię za nadgarstek, żeby sprawdzić puls.

– Strasznie słaby – powiedziała z niepokojem w głosie. – Wezwij karetkę, szybko.

Wstrząśnięci widokiem straszliwych obrażeń Sylwii zapomnieli o upewnieniu się, czy dom jest pusty. Podczas gdy Rat dzwonił na pogotowie, Laura pobiegła na górę, zostawiając za sobą krwawe odciski trampka, po czym sprawdziła piwnicę, aneks biurowy, a na koniec także kuchnię na parterze.

– Teren czysty! – zawołała, skończywszy oględziny. – Hassam pewnie ściągnął Asifa i dał nogę, jak tylko znalazł podsłuch. Nie ma żadnych śladów pakowania.

– Po co mu Asif? Dlaczego po prostu nie wsiadł do samochodu i nie odjechał? – dociekał Rat.

Laura wzruszyła ramionami.

– Założyliśmy podsłuch we wszystkich jego furach. Może się tego spodziewał.

Wychodząc z kuchni, Laura podniosła z podłogi skrzywioną prostokątną płytkę przekaźnika. Hassam próbował rozszczepić obudowę śrubokrętem albo nożem, ale plastik nie ustąpił. Ku swemu zdumieniu, gdy przysunęła urządzenie do twarzy, usłyszała cichy, ale wyraźny gwizd.

– Ten szajs jest zwalony – powiedziała ze złością, podchodząc do Rata, by przytknąć mu przekaźnik do ucha. – W życiu by tego nie znalazł, ale posłuchaj...

Rat potrząsnął głową z niesmakiem.

– Ktoś mógł przez to zginąć. Karetka jest w drodze; będzie za pięć do dziesięciu minut.

Laura zerknęła na Sylwię – teraz, gdy minął pierwszy szok,

przyszło jej to łatwiej.

– Oprócz pierwszej pomocy niewiele możemy dla niej zrobić, a nie chcę się tłumaczyć, kiedy przyjadą.

– No ale kto ich wpuści?

Laura zastanowiła się.

– W kuchni są stołki barowe. Zablokujemy jednym drzwi wejściowe i otworzymy bramę, żeby mogli podjechać pod sam dom.

Laura już miała biec do kuchni, ale w tym momencie zadzwonił jej telefon.

– To Mac – oznajmiła, a potem zreferowała szefowi sytuację.

– Dobrze, posłuchaj – powiedział Mac. – Zespół MI5 zbadał ostatnie zapisy sprzed wystrzału. Wygląda na to, że Hassam i Fahim przenoszą się do tymczasowej kryjówki, ale nie mamy zielonego pojęcia, gdzie to jest. Asif miał pojechać do magazynu po jakieś kosztowności i fałszywe dokumenty. Nie podał adresu, ale podejrzewam, że chodzi o wynajęty magazyn, który widziałem w rachunkach Bin Hassamów. W tej chwili jestem w samochodzie i niestety, stoję w korku. MI5 próbuje pchnąć kogoś od siebie, ale na razie to wy jesteście najbliżej. Macie tam jakiś wóz, którym moglibyście pojechać? Jeśli teraz zgubimy Asifa, to istnieje poważne ryzyko, że zgubimy całą rodzinę.

– Wszystkie samochody Hassama są tutaj – powiedziała Laura, otwierając drzwi garażu.

Złapała za klamkę Bentleya Azure, ale wóz był zamknięty.

– Rat, poszukaj kluczyków! – zawołała za siebie.

– Dostałem już adres – oświadczył Mac. – Masz coś do pisania?

Podczas gdy Rat buszował po domu w poszukiwaniu kluczyków, Laura wyszperała z plecaka notes i zapisała informację.

– Co tak długo? – jęknęła na widok kolegi, który wparował do ogromnego garażu, wymachując pilotem od wielkiego bentleya. – Musimy wydostać się stąd, zanim przyjedzie karetka.

– To wielki dom – naburmuszył się Rat. – Znalazłem to w kurtce,

którą Hassam powiesił przy drzwiach sypialni.

Laura wgramoliła się na okazały, obity skórą fotel kierowcy i wcisnęła guzik start, a zaraz potem drugi przycisk otwierający garaż i główną bramę. Hassam był postawnym mężczyzną, więc musiała poświęcić kilka sekund na przestawienie elektrycznego siedzenia, by nogami dosięgać pedałów.

Rat usiadł na miejscu pasażera i podczas gdy Laura wytaczała wielkie auto na żwirowy podjazd, wprowadził zapisany przez nią adres do układu nawigacyjnego.

– Wytyczanie trasy zakończone – oznajmił syntetyzowany głos w chwili, gdy Laura ostrożnie wysuwała długą maskę bentleya na ulicę za bramą. – Odległość: trzy koma dwa kilometra. Szacowany czas jazdy: osiem minut.

– Chyba słyszę karetkę – powiedział Rat, patrząc pod stopy i podziwiając masakrę, jaką niechcący urządził zakrwawionymi adidasami na futrzanym kremowym dywaniku.

31. STRACH

Hassam wywlókł Fahima z bmw X5 Asifa i pchnął go przez ulicę w stronę volvo coupe zwykle prowadzonego przez jego bratową.

– Zadzwoń, jak będziesz wracał z magazynu – powiedział Hassam, odwracając się do brata. – Mam zrobić coś jeszcze, jak już będę w domu?

Asif wzruszył ramionami.

– Możesz pomodlić się, żeby nas nie śledzili, to chyba tyle.

Fahim nie śmiał spojrzeć na ojca, podczas gdy małe volvo przedzierało się przez poranny sobotni ruch. Gapił się tępo przez okno, zazdroszcząc ludziom w mijanych samochodach normalnego życia: dzieciakom odwożonym na zajęcia sportowe; dorosłym w weekendowych ciuchach jadącym do Ikei albo galerii handlowej.

– Czy mama nie żyje? – zapytał nagle, zaskakując same go siebie.

Hassam zabębnił palcami o kierownicę, udając, że nic dosłyszał.

– Nie lubię automatów – mruknął, sięgając do nieistniejącego drażka zmiany biegów, podczas gdy samochód wtoczył się na rozjazd, by skrócić na początek autostrady M I

Fahim zawsze bał się ojca, ale wyjawienie swojej zdrady było dlań swego rodzaju wyzwoleniem: cokolwiek by teraz powiedział, nie mogło już pogorszyć jego sytuacji.

– Skoro nie odpowiadasz, przyjmuję to za potwierdzenie – powiedział Fahim.

Samochód zjechał z łącznicy i zaczął rozpędzać się do standardowej szybkości na autostradzie.

– Dlaczego ją zabiłeś, tato?

Fahim obrócił głowę, by spojrzeć na ojca. Hassam ścisnął kierownicę tak mocno, że zbielały mu kostki dłoni. Na jego czole perlił się pot.

– Nie gap się tak na mnie, Fahim – wycedził Hassam. – Przysięgam na Boga, zjadę na pobocze i odstrzelę ci łeb.

– Oddałeś pistolet wujkowi Asifowi – przypomniał Fahim. – Dlaczego zabiłeś mamę?

Hassam zacisnął usta.

– Nie zostawiła mi wyboru – powiedział po dłuższej chwili. – Przysięgała, że będzie mi posłuszna. Kiedy złamała przysięgę, stała się dla mnie nikim.

Fahim podejrzewał, że jego mama nie żyje, od wielu dni, ale w głębi serca żywił jeszcze isierkę nadziei i potwierdzenie uderzyło weń jak młotem.

– A co ze mną? – szepnął ze ściśniętym gardłem, ukradkiem ocierając łzę.

– Nie mogę z tobą zostać – odpowiedział Hassam z lodowatym uśmiechem. – W Abu Zabi też będę poszukiwany, ale znam tam wiele dobrych kryjówek. Dopilnuję, żeby dziadek posłał cię do szkoły... Może w Pakistanie, gdzieś w górach. Pięć albo sześć lat mrozu, podłego jedzenia, recytowania Koranu i regularnej chłosty powinno wypłukać zachodnią papkę z twojej głowy.

– Lecimy do dziadka? – zapytał Fahim, ze wszystkich sił starając się nie okazać wzburzenia.

– Dowiesz się tego, co powinieneś wiedzieć, w stosownym czasie – powiedział Hassam surowym tonem. – Może i nie mam ochoty zabijać jedyne go syna, ale kiedy dotrzemy do kryjówki, poczujesz

mój pas jak jeszcze nigdy dotąd.

*

– Namierzyliśmy komórkę Asifa – powiedział Mac. Zadzwoił do Laury, ale odebrał Rat, by mogła skupić się na prowadzeniu. – Do rozmów używa telefonu na kartę, ale idiota zostawił włączoną swoją normalną komórkę. Jest teraz w magazynie albo gdzieś w pobliżu. Jake i ja jesteśmy w drodze, ale wciąż daleko za wami.

Rat spojrział na ekran nawigacyjny.

– Zostało nam mniej niż kilometr – powiedział do telefonu. – Ale gorsze pudło do jazdy to chyba nie mogło się nam trafić. Wszyscy się na nas gapią i szkoda, że nie możecie zobaczyć ich min, jak wypatrzą Laurę za kierownicą. No i nie pomaga nam fakt, że ta lebiega fatalnie jeździ.

– Hej – zaprotestowała Laura. – Umiem prowadzić, tylko tu są wąskie uliczki, a ten złom jest większy niż transatlantyk.

– Przestańcie się kłócić – powiedział twardo Mac. – Kiedy dojedziecie, pamiętajcie, że Asif prawie na pewno ma broń.

Bentley zatrzymał się za przegubowym autobusem i kolejką samochodów czekających na wolny wjazd na skrzyżowanie. Rat zakończył połączenie i schował telefon Laury do kieszeni.

– Aaaa, walę to! – nie wytrzymała Laura i zakręciła kierownicą do oporu, wduszając jednocześnie gaz i klakson. Potężny silnik zaryczał i ogromny wóz wyrwał się z zatoru prosto w płynący z przeciwka potok aut. Szybko wyprzedził korek, zmuszając do gwałtownych manewrów kierowców próbujących uniknąć spotkania z mamucim grillem bentleya. Małe smart wyjeżdżający właśnie z bocznej uliczki miał pecha i nie zdążywszy zahamować, zmiażdżył sobie przód na masywnym błotniku limuzyny.

– Uważaj! – wrzasnął Rat.

Laura warknęła coś pod nosem i kolejnym szarpnięciem kierownicy wróciła na właściwą stronę jezdni.

– Jadę powoli, źle; jadę ostro, też źle; zdecyduj się!

– Za pięćdziesiąt metrów skręć w lewo – polecił układ nawigacyjny.

Wciskając klakson, by ostrzec pieszych, Laura skręciła w przecznicę i wcisnęła gaz. Luksusowy wóz miał miękkie zawieszenie, ale nie dość miękkie, by powstrzymać go przed wyskoczeniem w górę, gdy wpadli na garb spowalniający z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę. Przedni błotnik zazgrzytał o asfalt.

– Jezu! – krzyknął Rat.

– Uderzyłeś się w głowę? – uśmiechnęła się Laura, zerkając na kolegę. – Dobrze ci tak.

Nawigacja poinformowała agentów, że znajdują się czterysta metrów od celu podróży. Nie chcąc przyciągać nadmiernej uwagi, Laura zwolniła do normalnej prędkości, po czym pokonując ostatni zakręt, wjechała w ślepią uliczkę.

Cel podróży osiągnięty.

Brama z siatki ogrodzeniowej przed zdewastowanym budynkiem magazynu była otwarta. X5 Asifa był jedynym samochodem na małym parkingu i Laura zaparkowała wielkiego bentleya w poprzek wjazdu, blokując drogę ucieczki.

– No i co teraz? Czekamy? Wchodzimy? – zapytał Rat, łapiąc plecak koleżanki.

Laura zastanawiała się przez chwilę.

– Na razie element zaskoczenia jest po naszej stronie, ale jak tylko Asif wyjdzie na zewnątrz i zobaczy bentleya Hassama w bramie, od razu skuma, że coś jest nie tak. A jeśli faktycznie ma broń, ściganie go będzie zbyt niebezpieczne.

– Gdzie twoje ochraniacze?

– Zostały w mieszkaniu. Nie miałam czasu się ubrać.

Ruszyli w stronę budynku, ostrożnie, Laura z paralizatorem gotowym do strzału, kierując się na tyły magazynu w stronę blaszanych drzwi pokrytych łuszczącą się farbą. Rat przykucnął

przy ścianie, a potem zajrzał do środka przez brudne okno.

– Światło się pali – wyszeptał. – Przy drzwiach leżą dwie torby i plecak, ale nie widzę Asifa.

Laura zdążyła już przygotować wytrychy, ale kiedy Rat nacisnął klamkę, drzwi z kliknięciem odskoczyły od framugi. Nie oliwiono ich od lat i zardzewiałe zawiasy przeraźliwie zaskrzypiały. Odczekawszy kilka sekund, na wypadek gdyby Asif zareagował na hałas, Laura i Rat dopadli bagaży przy drzwiach. Rat otworzył najmniejszy plecak zawierający fałszywe paszporty i powiązane gumkami zwitki funtów, dirhamów Zjednoczonych Emiratów Arabskich i amerykańskich dolarów.

Piasek na betonowej posadzce zgrzytał im pod stopami. Nagle z drugiego końca przestronnej hali poniosł się echem szum spuszczonej wody. Wykorzystując hałas do zamaskowania tupotu nóg, Laura i Rat pobiegli między metalowymi regałami w stronę drzwi toalety ozdobionych kalendarzem topless z dwa tysiące czwartego roku.

Przycupnęli po obu stronach drzwi, podczas gdy rezerwuar napełniał się wodą, a Asif Bin Hassam płukał ręce pod kranem. Laura oddychała głęboko, z paralizatorem w dłoni, palcem na spuście, gotowa wystrzelić zestaw elektrycznych kolców, zanim przeciwnik zdąży sięgnąć po pistolet.

W łazience nie było ręczników, więc Asif pojawił się w drzwiach, energicznie strzepując dłonie. Spojrzał w dół i zdębiał na widok patrzącego mu w oczy Rata, ale zanim zdążył zareagować, Laura wypaliła mu w pierś. Z lufy paralizatora wystrzeliły cztery srebrzyste druciki, po czym rozległ się terkot kliknięć, z których każdy oznaczał impuls o napięciu pięćdziesięciu tysięcy woltów, rażący ciało mężczyzny przez ostre jak igła elektrody.

Asif momentalnie stracił władzę nad mięśniami i bezwładnie osunął się na beton. Rat ukląkł mu na piersi i wyrwał pistolet z kabury ukrytej pod blezerem.

– Kto wy...? – wystękał Asif.

– Przyjaciele Fahima – odpowiedziała Laura, trzymając paralizator tak, żeby Asif mógł go widzieć. – Gadaj, gdzie go znajdziemy, albo porażę cię znowu.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Agenci odstąpili od mężczyzny, a Laura lekko nacisnęła spust. Asif zawył i wygiął się w pałąk, a powietrze wypełnił swąd przysmażanej skóry.

– Gadaj, ale już! – rozkazała Laura.

Rat szybkim ruchem zerwał pokrywkę z pojemnika z gazem pieprzowym.

– Policzę do dziesięciu, a potem przytrzymam ci powiekę i siknę tym na otwarte oko. Gadaj, gdzie jest Fahim, łachudro!

Laura niechętnie trąciła palcem spust paralizatora, częstując Asifa kolejną porcją elektryczności i przy okazji omal nie smażyła Rata.

– Dżizas! – wrzasnął Rat, odskakując od podrygującej ofiary. – Uważaj z tym trochę, dobrze?!

Przy trzecim wstrząsie Asif przygryzł sobie język i z ust pociekła mu strużka krwi.

Laura i Rat musieli grać pewnych siebie, ale cherubinom nie wolno było grozić jeńcom, chyba że w razie bezpośredniego zagrożenia ludzkiego życia, a choć Fahim był w niebezpieczeństwie, nie mieli podstaw, by sądzić, że Hassam zamierza go zabić.

– Lepiej zadzwonię i poproszę Maca o zgodę – powiedział Rat nerwowo, wyjmując komórkę. – Możemy wdepnąć w niezłe gówno, jak przesadzimy.

Odebrał Jake.

– Co się dzieje?

– Daj mi Maca! – zawołał niecierpliwie Rat. – Mamy Asifa, ale nie chce gadać.

– Mac rozmawia z policją z mojego telefonu. Próbuje ustalić, czy kamery drogowe wyłapały którykolwiek z samochodów Bin

Hassamów.

– Potrzebujemy zgody na wyciągnięcie informacji z Asifa – nalegał Rat. – Daliśmy mu parę pstryknięć z paralizatora, ale nie mogę iść dalej bez pozwolenia Maca.

Jake cmoknął zniecierpliwiony.

– Dziwne, że jego komórka nie zarejestrowała żadnych połączeń.

Słowa Jake'a podziały na Rata niczym policzek.

– Jego komórka – szepnął, wytrzeszczając oczy na Laurę. – Jeżeli w pamięci są połączenia z komórką Hassama, możemy wziąć numer i namierzyć telefon.

– O, raju – sapnęła Laura.

Sprawdzenie telefonu Asifa było pierwszą i najbardziej oczywistą rzeczą, jaką powinni byli zrobić, ale w panice żadnemu z nich nawet nie przyszło to do głowy.

Na drugim końcu linii Jake usłyszał przekleństwo Laury i parsknął śmiechem.

– Dobrze, że o tym wspomniałem, zanim zaczęliście wyrywać mu paznokcie.

Rat obserwował z niepokojem Laurę, która wyszperała telefon Asifa.

– Wygląda na tani telefon na kartę – powiedziała, szukając w menu listy połączeń. – Mamy szczęście, że paralizator nie usmażył obwodów.

Asif jęknął i złapał się za krwawiące usta. Przeglądając listę, Laura spostrzegła, że wszystkie rozmowy Asifa z tego ranka łączono z jednym numerem, i natychmiast wcisnęła zielony przycisk. Po trzech sygnałach telefon odezwał się głosem Hassama.

– Asif, gdzie jesteś? Wszystko w porządku?

Laura rozłączyła się, nie odezwawszy ani słowem.

– To on – powiedziała, patrząc na Rata. – Przekażę numer do kampusu. Znajdą Hassama w mniej niż minutę.

– Dzięki za podpowiedź, Jake – powiedział Rat i także przerwał

połączenie.

– Pogiębieni przez głupiego smarkacza – westchnęła Laura, wystukując numer centrali operacyjnej w kampusie. – Teraz już nigdy nie zejdzie mi z karku.

32. PAS

Volvo zatrzymało się przed wolno stojącym domem z muru pruskiego, ze znakiem „Na sprzedaż” zawieszonym od frontu i tylnym ogrodem graniczącym z polem golfowym. Hassam i Asif byli współwłaścicielami agencji handlu nieruchomościami, co dawało im dostęp do sporej liczby pustych posesji.

Kiedy Hassam i Fahim ruszyli w stronę domu, drzwi otworzyła im Muna, żona Asifa. Jej siedmioletnia córka Jala cieszyła się na spotkanie ze starszym kuzynem, dlatego wybiegła na dwór, by go uściskać.

– Wszyscy do środka – powiedział twardo Hassam, klepiąc bratanicę w plecy przez jej długą sukienkę. – Lepiej się nie pokazywać.

W przeciwieństwie do mamy Fahima, która po wyjeździe z Bliskiego Wschodu przyjęła zachodni styl życia i ubioru, Muna pod każdym względem pozostała tradycyjną arabską żoną. Fahimowi ciocia jawiła się jako bardzo tajemnicza postać głównie dlatego, że mówił po arabsku w sposób daleki od doskonałości, zaś angielski Muna był jeszcze gorszy.

We wnętrzu niedawno odnowionego domu unosił się zapach niemalowanych tynków.

– Co z moim Asifem? – zapytała Muna z niepokojem w głosie.

– Chyba w porządku – odpowiedział Hassam, idąc przez przedpokój. – Pojechał po papiery i wkrótce powinien tu być.

– Rozmawiałeś z nim?

– Miałem głuchy telefon. Ale Asif nie jest przyzwyczajony do tego aparatu, więc pewnie niechcący wcisnął przycisk połączenia.

Fahim miał nadzieję, że ojciec zapomniał o obietnicy chłosty, i z radością pozwolił kuzynce zaciągnąć się do kuchni, gdzie rozłożyła na stole swoje karty, ale ojciec odwołał go z powrotem.

– Na górę – warknął Hassam.

Fahim odwrócił się, ale zbyt wolno jak na gust ojca, który zirytowany się, złapał go za bluzę od dresu i pchnął w stronę schodów.

– Dokąd idziecie? – zapytała Jala.

– Fahim był dziś niegrzeczny – wyjaśnił Hassam.

Hassam poprowadził syna na piętro, a potem do nieumeblowanego pokoju.

– Obnaż plecy i pochyl się – rozkazał, uśmiechając się paskudnie i szarpnięciem wrywając pasek ze spodni.

Jedynym obiektem, na jakim można było się oprzeć, był kominek. Hassam pociągnął Fahima w jego stronę i przycisnął pulchną dłoń syna do kamiennej półki.

Fahim zerknął przez ramię. Jego ojciec szykował pas w taki sposób, by uderzać klamrą. Wiedział, że będzie bardzo bolało, ale to nie strach przed cierpieniem, lecz zimne okrucieństwo ojca przyprawiało go o gęsią skórę.

– Patrz na ścianę! – krzyknął Hassam, a potem wziął krótki rozbieg i z rozmachem sieknął Fahima przez nagie plecy. – Będiesz tak cierpieć do dnia, w którym nauczysz się szacunku.

Metalowa sprzączka wydarła wielką ranę w pulchnym boku Fahima. Pod chłopcem ugięły się nogi, kolana gruchnęły na surowe deski podłogi.

–Wstawaj! – rozkazał Hassam, zawisając złowrogo nad synem. – A do tego wszystkiego jesteś jeszcze mazgajeni. Gdybym ja tak się użalał nad sobą, kiedy twój dziadek mnie chłostał, nie przestawałby, dopóki nie nauczyłby mnie rozumu!

– Pro-oszę – szlochał Fahim, zakrywając twarz dłońmi.

Hassam przykucnął i uderzył syna pięścią między łopatki, rozplaszczając go na podłodze. Na koniec splunął mu na głowę.

– Musisz być w stanie podróżować – burknął i bez pośpiechu zabrał się do przewleknięcia paska przez szlufki spodni. – Ale poczekaj tylko, zobaczysz, jakie ci wyszykuję niespodzianki, kiedy już dotrzemy do Emiratów.

*

– Mac – rzuciła Laura w słuchawkę, kucając na zakurzonej posadzce magazynu. Rat z paralizatorem w dłoni stał nad Asifem, który zagryzał chusteczkę, by zatamować krwawienie z języka. – Mamy namierzoną komórkę Hassama. To niecałe osiem kilometrów stąd, przy polu golfowym, trzeci zjazd z M1.

Mac siedział za kierownicą swojego peugeota. Zdążył już wyrwać się z korka przy supermarkecie i teraz gnał pełnym gazem mniej zatłoczoną dwupasmówką. Zerknął na ekran nawigacyjny, podczas gdy Jake wstukiwiał kod pocztowy, jaki przed chwilą przesłała mu Laura. Wytyczenie trasy zajęło urządzeniu dwadzieścia sekund.

– Jeżeli nie będzie korków na autostradzie, powinienem zdążyć w niecałe dziesięć minut – powiedział Mac. – Ale nie wiemy, co tam zastaniemy, a ja jadę prosto ze sklepu i nie mam nic oprócz telefonu i scyzoryka. Nadal nie wiemy, co knują Hassam i Asif, ale możemy ich aresztować pod zarzutem skatowania tej sprzątaczkii, więc ściągnę lokalne gliny jako wsparcie.

– Mamy tam pojechać? – zapytała Laura.

– Jak sytuacja z Asifem?

– Jest oszołomiony, ale słyszał więcej, niżbyśmy sobie życzyli, i mam paskudne przeczucie, że gliny szukają naszej fury. To wielki

śmierdzący bentley, a ja trochę przeszarżowałam i miałam małego dzwona, więc pewnie ktoś już zadzwonił na policję.

– Rozumiem – powiedział Mac, po czym przerwał na chwilę, by skupić się na objeżdżaniu ronda. – Zadzwoń do centrali w kampusie i powiedz, żeby spróbowali zająć się policją.

– Już to zrobiłam – odparła Laura.

– Najważniejsze, żeby Asif nie zaczął paplać o was. Macie w plecaku jakieś środki odurzające?

– Powinna mieć dwie fiołki ketaminy. Wystarczy, żeby wyłączyć go na kilka godzin.

– Bardzo dobrze – ucieszył się Mac. – Zróbcie mu zastrzyk. Przyślemy medyka ze sztabu MI5 z psychotropami, żeby namieszać mu w głowie.

– Jasne – powiedziała Laura. – W czasie kiedy będziemy czekać na MI5, przeszukam jego torby. Zobaczymy, może trafię na coś ciekawego.

– Nie zaszkodzi spróbować – przytaknął Mac. – Właśnie wjeżdżam na autostradę. Rozłączam się i dzwonię po gliny.

*

Dom był kompletnie pusty, a Fahim nie wziął ubrań na zmianę. Siedział na kłapie świeżo zamontowanego sedesu, z nagim torse, twarzą skrzywioną z bólu i ciekącymi po policzkach łzami. Namoczoną pod kranem koszulkę przyciskał do boku, by powstrzymać krwawienie. Na dole Hassam nerwowo przemierzał salon, czekając na wieści od Asifa, podczas gdy Jala i Muna w kuchni kontynuowały beztroską grę.

Fahim dźwignął się, jęcząc boleśnie, i wyjrzał przez okno nad rezerwuarem. Ogród za domem otaczało wysokie ogrodzenie, ale była tam też zakratowana furtka otwierająca się bezpośrednio na pole golfowe. Mimo niezbyt sprzyjającej pogody w dali widać było golfistów w pastelowych strojach wędrujących po fairwayu za sporą kępą imponująco rosnących wierzb.

Fahim pomyślał o ucieczce, ale prawda była taka, że miał sporą nadwagę i męczył się błyskawicznie, nawet kiedy nie umierał z bólu po okrutnym laniu. Ciocia Muna w jej długiej sukni i szpilkach dogoniłaby go bez trudu, jednak przede wszystkim, jeżeli chciał mieć choćby najmniejszą szansę na wydostanie się z domu, musiał zacząć od obezwładnienia ojca. W umeblowanym domu znalazłby mnóstwo przedmiotów mogących służyć za broń, od noży kuchennych po chińskie wazy, ale w tym były tylko białe ściany i deski na podłodze. Nie było nawet mydła.

Fahim obejrzał trzy sypialnie na piętrze. Otwierał wbudowane garderoby i szarpał wieszaki, ale wszystkie były mocno przykręcone. Nie znalazł też niczego w komórce bojlera i w końcu zrezygnowany zszedł na dół, by poszukać czegoś w kuchni. Krwawienie prawie ustało, ale czerwone ślady pozostały i siedmioletnia Jala z przerażeniem zakryła oczy.

Ciocia Muna milcząco uniosła się z krzesła i obejrzała ranę.

– Syn musi nauczyć się szanować ojca – przemówiła wreszcie starannie artykułowaną angielszczyzną. – W moim samochodzie jest apteczka.

Słyszając Mune idącą w stronę wyjścia, Hassam wytknął głowę do przedpokoju i rozejrzył się podejrzliwie.

– A ty dokąd?

Muna odwróciła się i skłoniła przed swoim szwagrem

– Po bandażu i wodę utlenioną.

Fahim nie wiedział, czy ma być zasmucony, czy zde gustwany postawą swojej ciotki, która płaszczyła się przed Hassamem tylko dlatego, że był mężczyzną.

Tylko szybko – warknął Hassam, zerkając na zegarek. – Daję Asifowi jeszcze pięć minut. Jeżeli nie wróci w tym czasie, będziemy musieli założyć najgorsze i wyruszyć bez niego.

W spojrzeniu Muni pojawiła się groza, ale ton jej głosu nie uległ zmianie.

– Czy on nie miał pojechać po paszporty i pieniądze? Przecież będą nam potrzebne.

– Jest wiele sposobów na zabicie kota – odparł tajemniczo Hassam. – W razie czego dogoni nas, ale nie możemy ryzykować schwytania.

33. GOLF

Mac skręcił pomiędzy dwa szeregi wolno stojących domów i nawigacja oznajmiła, że dotarli do celu podróży. Margines błędu przy namierzaniu komórki Hassama sięgał stu metrów, co oznaczało, że zbieg może być na każdej z tuzina okolicznych posesji.

– Jakiś pomysł, czego właściwie szukamy? – zapytał Jake.

– Nie jestem pewien – powiedział Mac w zamyśleniu, jadąc tak wolno, jak tylko mógł bez wzbudzania podejrzeń. – Może rejestracje samochodów coś nam powiedzą. Zadzwoń do kampusu i powiedz, żeby przygotowali się do sprawdzenia kilku tablic.

Jake uniósł telefon do ucha, ale w tej samej chwili brwi Maca wystrzeliły w górę.

– Masz coś? – zainteresował się chłopiec.

Mac zwolnił do prędkości pieszego. Mijali dom z dziewiczym podjazdem i prostokątnym znakiem „Na sprzedaż” przymocowanym do frontowej ściany.

– Agencja Hart McFadden – powiedział Mac ożywionym tonem, znów przyspieszając. – Widziałem tę nazwę w dokumentach ściągniętych z komputera Hassama. Niech centrala sprawdzi volvo GK57 NNP.

Podczas gdy zespół w kampusie sprawdzał numer, Mac

zaparkował peugeota trzy domy dalej, wjeżdżając dwoma kołami na krawężnik, by nie blokować wąskiej uliczki.

– Wygląda na to, że trafił pan za pierwszym strzałem, szefie. – Jake uśmiechnął się szeroko, odsuwając telefon od twarzy. – Wóz jest zarejestrowany na firmę Bin Hassam Dubai Mercantile Limited, Londyn N7.

– Wyśmienicie – powiedział Mac, stawiając stopę na chodniku i pociągając dźwignię otwierającą bagażnik. – Powiedz centrali, żeby przekazali policji numer domu: szesnaście.

Jake przekazał wiadomość i zatrzasnąwszy telefon, wysiadł z samochodu, by dołączyć do Maca przy bagażniku.

– Lepiej od razu tam zajrzyjmy – powiedział Mac.

– Nie lepiej poczekać na gliny? – zapytał Jake. – A jeśli oni tam mają gany? Cały nasz sprzęt został w mieszkaniu.

Mac potrząsnął głową.

– Prosiłem o wsparcie patroli interwencyjnych, ale dotarcie tutaj zajmie im trochę czasu, a Hassam pewnie zaczyna już podejrzewać, że jego brat nie wróci. Może zniknąć w każdej chwili.

Mówiąc to, Mac podniósł klapę bagażnika, odepchnął na bok pół tuzina reklamówek Sainsbury's i odciągnął fragment wykładziny, odsłaniając wnękę zawierającą koło zapasowe, a także podnośnik, ciśnieniomierz i ciężki klucz do kół.

– Dalekie to od ideału, ale i tak lepsze niż nic – powiedział Mac, wając w dłoni masywny stalowy kształtownik z miętko wyściełaną łapą skonstruowaną tak, by nie rysowała lakieru podczas podnoszenia samochodu. Podnośnik mógł służyć za całkiem poręczną pałkę. – Trzymaj – dodał Mac, wręczając Jake'owi klucz. – Na wszelki wypadek.

Jake wsunął klucz za pas spodni od dresu, a wystający u góry koniec ukrył pod bluzą. Ruszyli spacerkiem w stronę domu.

– Kiedy dojdziemy, zatrzymaj się i zawiąż but – polecił Mac.

Dotarcie do nieogrodzonego wysypanego żwirem podjazdu

numeru szesnaście zajęło im dwadzieścia sekund. Podczas gdy Jake odwiązywał i zawiązywał z powrotem sznurowadło, Mac uważnie zlustrował dom.

– Ma tablicę „Na sprzedaż” – zauważył, wyjmując z kieszeni ciśnieniomierz. – Doskonały pretekst, by powałęsać się dookoła i pozaglądać przez okna. Weź to i z przedniego koła tamtego volvo spuść tyle powietrza, ile zdołasz.

Jake zgarbił się i chyłkiem poszurał po żwirze w stronę samochodu, a Mac chrząknął, skrzywił się i przeobraził w marudnego dziadka, który umyślił sobie, że zainwestuje oszczędności w dom. Swobodnym krokiem podszedł do frontowej ściany i zaczął bezczelnie zaglądać przez okna.

Malutkie volvo Muni miało zaledwie kilka miesięcy, ale plastikowa osłonka wentyla zarosła brudem i Jake miał poważne kłopoty z jej odkręceniem. Nim upadła między kamyki, Mac zdążył wypatrzeć tył głowy Hassama w pustym salonie i skrócić za róg domu, kołysząc nonszalancko metalową sztabą, którą trzymał w dłoni.

Jake zerknął za siebie, by upewnić się, że nikt nie obserwuje go od strony ulicy, po czym nasadził końcówką ciśnieniomierza na wentyl i wcisnął przycisk redukcji ciśnienia ostry syk uchodzącego powietrza. Spuszczanie powietrza z kół należało do podstawowych umiejętności, jakie każdy cherubin ćwiczył podczas zajęć praktycznych. Kłopot w tym, że opróżnienie jednej opony w stopniu wystarczającym do unieruchomienia samochodu zajmuje cztery do pięciu nerwowych minut.

Po niespełna dwóch rozległ się odgłos otwieranych drzwi. Jake ostrożnie uniósł głowę i spojrzał przez szyby samochodu w stronę domu, ale natychmiast schował się znowu na widok Arabki, która weszła na żwirowy podjazd i wcisnęła guzik pilota, odblokowując drzwi volvo. Czując, jak serce łomocze mu w piersi, Jake schował ciśnieniomierz do kieszeni i próbował na spokojnie przeanalizować

sytuację. Nie wiedział, czy Muna ma broń, ale słyszał, jak okrutnie Hassam i Asif potraktowali Sylwię w domu Fahima.

Mac także usłyszał trzaśnięcie drzwi i przywarł do ściany za rogiem domu, ściskając w dłoniach podnośnik. Minęło więcej niż dziesięć lat, odkąd po raz ostatni brał aktywny udział w operacji, i napięcie zrodziło w nim osobliwe uczucie: jakby był starcem obserwującym z pewnego dystansu młodszą wersję samego siebie.

Trzymając prowizoryczną pałkę w gotowości, patrzył, jak Muna podchodzi do samochodu i unosi klapę bagażnika. Miał nadzieję, że ona i Hassam są jedynymi dorosłymi w domu. Po krótkim namyśle postanowił, że jeśli kobieta odkryje Jake'a i podniesie alarm, pozostawi ją chłopcu, a sam pobiegnie do domu i spróbuje obezwładnić Hassama.

Jake przekradł się po żwirze przed samochód i przycupnął między reflektorami, podczas gdy Muna wsunęła głowę do bagażnika. Rozległ się odgłos odrywanego rzepu i sekundę później kobieta wyprostowała się, trzymając w dłoni zieloną apteczkę. Jake i Mac nie mieli pojęcia, do czego mogła być jej potrzebna, ale obaj odetchnęli z ulgą, rozumiejąc, że nie wnoszą jej do domu, gdyby szykowała się do odjazdu.

Mac zniknął za węglem, a Muna odwróciła się i ruszyła w stronę domu. Gdy tylko trzasnęły za nią drzwi, Jake poczłapał w kucki z powrotem do przedniego koła i zatknął ciśnieniomierz na wentylu.

*

Kamyk z podjazdu utkwiał Munie w jednym z jej eleganckich wysokich sandałów. Fahim obserwował z kuchni, jak jego ciotka stoi w przedpokoju na jednej nodze i strzepuje dłonią piasek z podeszwy stopy. Jego niepokój narastał z każdą chwilą. Im dłużej czekał, tym większą zyskiwał pewność, że CHERUB nie zdołał wytropić kryjówki Hassama. Musiał działać sam i wykonać swój ruch, zanim ojciec zarządzi wyjazd.

– Już jestem. – W głosie Muni zabrzmiało współczucie.

Kobieta położyła zielone pudełko na stole i nacisnęła plastikowe zatrzaski przytrzymujące wieczko. Jala, która jakoś przemogła wstręt do krwi, wyciągała szyję zaintrygowana zestawem plastrów, bandaży i leków.

Muna zaczęła od zmoczenia ściereczki pod kranem, żeby obmyć z krwi plecy i boki chłopca. Strużki zimnej wody ciekły Fahimowi po skórze, by wsiąknąć w ściągacz spodni od dresu. Muna otworzyła butelkę ze środkiem odkażającym i polała ranę syczącym płynem.

– Szczypie – poskarżył się Fahim, zaciskając powieki.

Ciocia położyła mu dłoń na ramieniu. Choć miała zupełnie inną osobowość niż jego mama, była w podobnym wieku i podobnej budowy ciała; jej kobiecy dotyk przywoływał wspomnienia.

– Lepsze to niż zakażenie – powiedziała uspokajająco, podczas gdy Fahim przyłapał się na wyobrażaniu sobie ostatnich rozpaczliwych chwil życia mamy.

Przyjrzał się nożyczkom, którymi ciocia cięła gazę na opatrunek, ale tęponose ostrza dyskwalifikowały je jako broń. Jego spojrzenie powędrowało w stronę etykiety na butelce ze środkiem odkażającym: „Substancja silnie drażniąca, nie stosować w okolicach oczu i ust”.

– Gotowe – powiedziała pogodnie Muna, przyklepując plastry, którymi przykleiła opatrunek.

Ogrzewanie nie działało i w domu panował przejmujący chłód. Koszulka Fahima była przesiąknięta krwią i wodą, więc chłopiec naciągnął bluzę od dresu na nagi tors.

Hassam stanął w drzwiach kuchni z masywnym telefonem przy uchu.

– Asif ciągle nie odpowiada – powiedział z niepokojem do Muni, podczas gdy Fahim ukradkiem zgarnął środek odkażający ze stołu i kryjąc butelkę za plecami, odkręcił bezpieczną nakrętkę. –

Zbierajcie rzeczy. Wyjeżdżamy.

Hassam nie miał smykałki do techniki. Kiedy musiał zainstalować coś w komputerze, skonfigurować, naprawić albo choćby przenieść listę kontaktów do nowej komórki, zawsze zdawał się na umiejętności syna. Fahim miał nadzieję, że zdoła obrócić to na swoją korzyść.

– Jesteś pewien, że nie próbujesz wysłać SMS-a czy coś, zamiast wybrać numer Asifa? – zapytał niewinnie. – Daj, zobaczę. Wiesz, jaki ty jesteś z komórkami.

Hassam nie ufał synowi, ale z wahaniem podał mu swój telefon.

– Czemu nie robią prostych telefonów, w których zwyczajnie wybiera się numer i rozmawia? – poskarżył się burkliwie. – Teraz każdy telefon musi mieć aparat i internet i przyciski tak malutkie, że zawsze wciska się trzy naraz...

Łapiąc telefon wolną ręką, Fahim zamachnął się butelką i chlusnął ojcu w twarz bladozielonym płynem. Gumowa podeszwa pisnęła na wykafelkowanej podłodze, gdy chłopiec obrócił się i wybiegł z domu przez tylne drzwi.

*

Mac zatrzasnął telefon i spojrzał na Jake'a. Kiedy Jake skończył spuszczenie powietrza, obaj wycofali się za żywopłot sąsiedniego domu, skąd wciąż mieli widok na zwirowy podjazd przed numerem szesnaście.

– Dzwonił komendant z lokalnego posterunku policji – wyjaśnił Mac. – Dwa uzbrojone patrole powinny zjawić się lada chwila. Nieoznakowane wozy, po dwoje funkcjonariuszy w każdym. Pierwszy spotka się z nami tutaj, drugi wjedzie na pole golfowe, żeby odciąć tylną furtkę. Ponadto jadą do nas dwa radiowozy mundurowych jako wsparcie.

– Brzmi nieźle – skinął głową Jake i w tej samej chwili za domami rozległo się odległe metaliczne klaśnięcie. – Słyszał pan, szefie?

– Co? – zdumiał się Mac, rozglądając nerwowo.

– Coś chyba trzasnęło za szesnastką. Może tylna furтка.
– Nie słyszę już tak dobrze jak dawniej – wyznał Mac.
– Mam to sprawdzić? Mogę przejść do ogrodu sąsiadów i zajrzeć przez płot.

Mac spojrział na zegarek i przyzwalająco pokiwał głową.

– Tylko ostrożnie – dodał. – Żadnego głupiego ryzykanctwa. Ja poczekam tutaj na policję.

Numer osiemnasty wyglądał na opuszczony. Jake potruchtał przez podjazd, przygarbiony, by nie było go widać przez murek oddzielający dwie posesje. Dostępu do ogrodu bronił wysoki drewniany płot z zamkniętą furtką, niestanowiący jednak przeszkody dla Jake'a, który zgrabnym susem wskoczył na murek, by dosięgnąć górnej krawędzi ogrodzenia, podciągnął się i przerzuciwszy nogi nad szczytami desek, zeskokczył na mozaikowy chodnik po drugiej stronie.

Spadając, zobaczył Hassama wybiegającego na pole golfowe przez otwartą tylną furtkę sąsiedniego ogrodu.

34. WIERZBY

– Ty zdrajco! – krzyczał Hassam w biegu, plując i trąc zażawione oczy.

Numer szesnasty został wyremontowany z myślą o zapalonym golfiście i furka wychodziła bezpośrednio na brukowaną ścieżkę prowadzącą do osiemnastego greenu oraz luksusowego domku klubowego z werandami w stylu kolonialnym.

Fahim biegł niespełna dwadzieścia metrów z przodu, z trudem chwytając oddech, unosząc ramiona, by osłonić twarz przed witkami pochylonych nad ścieżką olbrzymich wierzb.

– Stój, chłopcze! – zawołał patetycznie tęgi golfista czekający w kolejce przy pierwszym dołku, kiedy Fahim śmignął tuż obok. – Co ty wyprawiasz, do licha?

Fahim próbował spojrzeć w biegu na komórkę ojca. Chciał zadzwonić do Laury albo Maca, ale nie mógł sobie przypomnieć numerów.

– Wracaj tu do mnie! – pieklił się Hassam, który tymczasem zdołał zmniejszyć dystans do ściganego o kolejnych pięć metrów.

Nie po raz pierwszy w życiu Fahim pożałował swojej tuszy. Zrozumiał, że nie ma mowy, by uciekł ojcu, ale niespodziewanie dostrzegł wybawienie w postaci torby golfowej opartej o kabinę

przenośnej toalety. Zatrzymawszy się, wyrwał z worka pierwszy kij, jaki trafił mu w rękę, i choć zaskoczyła go lekkość narzędzia, okazało się ono wystarczające, by powalić tatę na ziemię ciosem w twarz.

Właściciel tytanowego drivera za sześćset funtów nie był zachwycony, kiedy wyszedł z toalety, tarmosząc rozporek kremowych portek.

– Oni nie są członkami! – krzyknęła bezsensownie jakaś kobieta, a golfista przytrzymał chłopca ramieniem obleczonego w sweter od Pringle'a, by drugą ręką wyrwać mu z dłoni swój kij.

– Pomóżcie mi! – krzyknął Fahim, widząc, że Hassam próbuje dźwignąć się na nogi. – On zabił moją mamę. Ratunku! Policja!

Grupka zaciekawionych golfistów wyłoniła się z pobliskiego domku klubowego, by popatrzeć na chłopca szamoczącego się, plującego i coraz bardziej czerwonego na twarzy. Wyczuwając desperację Fahima, mężczyzna w swetrze puścił go i próbował uspokoić, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Już dobrze, synu, uspokój się – powiedział łagodnie. – Na pewno nie jest aż tak źle.

– Ma problemy emocjonalne – pospieszył z wyjaśnieniem Hassam, starając się robić wrażenie porządnego rodzica mimo piekących oczu i wielkiej czerwonej pręgi w miejscu, gdzie jego twarz spotkała się z kijem. – Jest mi niezmiernie przykro.

– Uwierzcie mi, błagam! – krzyknął Fahim, tocząc panicznym wzrokiem po golfistach. Hassamowi udało się wstać. – Nie pozwólcie mu mnie dotknąć! Niech ktoś wezwie policję!

– Fahim Bin Hassam? – zawołał kobiecy głos.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę pary policjantek biegnących od strony domku klubowego. Miały karabiny i kompletne stroje ochronne. Przyłbice ich kewlarowych hełmów były opuszczone.

– Tam jest! – zawołała golfistka, kiedy świadomość rozgrywającej się sensacji przetoczyła się falą przez tłum.

Fahim poczuł chwilowy przyływ ulgi, ale podczas gdy golfiści skupili się na nadbiegających policjantkach, Hassam wyciągnął spod kurtki nóż, przyskoczył do Fahima i otoczywszy go ramieniem, przystawił mu do gardła ząbkowane ostrze.

– Stać! – krzyknął. – Rzućcie broń albo poderżnę mu gardło!

Hassam dygotał z emocji. Metalowy ząb noża drasnął skórę na szyi chłopca, upuszczając kropelkę krwi. Golfiści zaczęli pospiesznie rejterować do domku klubowego, pozostawiając Hassama i Fahima samych naprzeciwko dwóch uzbrojonych policjantek.

– Rzuć nóż – rozkazała wyższa z funkcjonariuszek, wpatrując się w Hassama przez lunetę karabinu. – Jeżeli zmusisz mnie do strzału, to możesz być pewny, że nie spudłuję.

Hassam wiedział jednak, że policjantki nie zaryzykują strzału, dopóki ostrze opiera się Fahimowi o gardło. Zaczął cofać się w cienie między wierzbnami.

– To koniec, tato – wykrztusił Fahim ciągnięty przez ojca w tył. – Puść mnie.

– Nie zamierzam zgnić w więzieniu – powiedział Hassam lodowatym tonem, opierając plecy o chropowaty pień. – Jeżeli mają mnie zastrzelić, zabieram cię ze sobą.

*

Muna wyjrzała przez tylną furtkę posesji numer szesnaście. Na widok policjantek mierzących do jej szwagra niespełna pięćdziesiąt metrów dalej ogarnęła ją fala paniki.

– Co się dzieje, mamusiu? – zapytała Jala, przeciskając się obok mamy, by też coś zobaczyć.

– Nic – powiedziała twardo Muna, zatraskując furtkę, po czym pchnęła córkę w stronę domu. – Biegnij do środka i spakuj swoje rzeczy. Wyjeżdżamy.

– Ale co będzie z tatusiem i Fahimem, i wujkiem Hassamem...? – dopytywała się siedmiolatka.

Muna ponaglającym gestem położyła dziewczynce dłoń na karku.

–Spotkamy się z nimi później – powiedziała niecierpliwie.

Głowa kipiała jej od myśli. Nie miała pojęcia, co robić ani dokąd uciekać, ale zdawała sobie sprawę, że nie może zostać w kryjówce ani chwili dłużej. Mogła mieć tylko nadzieję, że Asif wkrótce do niej zadzwoni i zorganizuje spotkanie.

Muna zgarnęła kluczyki i komórkę z kuchennego blatu, a Jala zaczęła zbierać swoje karty i układać je w tekturowym pudełku.

– Zostaw, nie mamy czasu – powiedziała Muna, łapiąc córkę za przegub.

– Ale to moje ulubione – poskarżyła się płaczliwie dziewczynka, kiedy mama pociągnęła ją w stronę drzwi.

– Kupimy ci nowe, cukierczku. Tutaj nie jest bezpiecznie. Musimy szybko wyjechać.

Muna odblokowała volvo pilotem i otworzyła drzwi po stronie pasażera, by Jala mogła wgramolić się na fotelik z tyłu. Następnie okrążyła samochód, ale zanim dotarła do drzwi kierowcy, zamarła na widok kaptura w przednim kole.

Zakłęła po arabsku, a potem przyklękła, by sprawdzić, co mogło być przyczyną uszkodzenia. Jala zapiszczała ze strachu, widząc karabiny sunące ku nim przez zarośla.

– Ręce do góry! – krzyknął uzbrojony policjant, wskakując na niski murek między posesjami. Jego partner nadbiegł z za żywoplotu po drugiej stronie. – Jesteście uzbrojone?

Muna nie odpowiedziała, ale Jala zaczęła krzyczeć zamknięta wewnątrz samochodu.

– Nie zabijajcie mojej mamusi!

– Nie mam broni! – zawołała Muna, rozkładając szeroko ręce.

Policjanci zatrzymali się metr od niej.

– Kto jeszcze jest w domu?

– Nikt – odparła Muna. – Wybiegli od tyłu.

Jeden z policjantów zabrał się do rewidowania Muni, a jego partner wyjął krótkofalówkę i wezwał drugi patrol przycajony

pięćdziesiąt metrów dalej. Podczas gdy dwaj mundurowi zakuwali Munę w kajdanki i wydobywali z volvo zapłakaną Jalę, Mac podbiegł po żwirze do radiowozu. Policyjne radio nadało wiadomość o klinczu na polu golfowym dokładnie w chwili, gdy jeden z funkcjonariuszy użył klucza Muni do otwarcia drzwi domu.

Policjanci wycelowali broń w szczyt schodów i jeden z nich pobiegł na górę z okrzykiem: „Policja, nie ruszać się”. Tymczasem drugi wykopał drzwi jadalni i salonu, po czym sprawdził jeszcze kuchnię i komórkę pod schodami.

Upewniwszy się, że dom jest pusty, Mac wybiegł przez tylne drzwi do ogrodu. Uchylił tylną furtkę na kilkanaście centymetrów i wystawił głowę przez szparę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Minęły dwie minuty, odkąd Hassam skrył się między wierzbami, i wyglądało na to, że w tym czasie sytuacja nie zmieniła się ani na jotę. Dwie funkcjonariuszki wciąż celowały z karabinów do Hassama, podczas gdy Fahim stał, dygocząc ze strachu, z nożem na gardle. Ale Mac osłupiał na widok kolejnej postaci skradającej się ku nim przez cienie.

*

Inaczej niż numer szesnaście sąsiednia posesja nie miała tylnej furtki. Aby dostać się na pole golfowe, Jake musiał przytaszczyć sobie plastikowy domek dla dzieci i stanąć na nim, żeby móc przeleźć przez ogrodzenie prawie dwumetrowej wysokości. Zeskoczył na ścieżkę wiodącą do domku klubowego i w tej samej chwili zobaczył Fahima, który zamierzał się na ojca kijem golfowym. Jake wyrwał z za pasa klucz do kół i ruszył w stronę Hassama z zamiarem podbiegnięcia od tyłu i obezwładnienia go, ale nie przebiegł nawet piętnastu metrów, gdy na scenie pojawiły się uzbrojone policjantki. Ujrawszy je, Jake automatycznie uznał, że Fahim jest bezpieczny.

Nie uśmiechała mu się perspektywa spotkania z policją i składania kłopotliwych wyjaśnień, ale drogę z powrotem przez

plot miał praktycznie odciętą, więc po sekundzie namysłu zanurkował między wierzby, by z ukrycia zadzwonić do Maca i zdać mu relację z bieżących wydarzeń. Jednak zanim skończył wybierać numer, ujrzał Hassama, który sunął ku niemu tyłem, jedną ręką obejmując Fahima przed sobą, a drugą przyciskając mu nóż do gardła.

Zanim Hassam przestał się cofać, Jake zdążył przycupnąć za wierzbą mniej niż pięć metrów dalej. W pierwszym odruchu chciał uciekać, ale gdy tylko zrobił krok w kierunku fairwaya pierwszego dołka, usłyszał ponurą groźbę Hassama, który oznajmił Fahimowi, że zabiera go ze sobą na tamten świat, i nagle pojął z całą jasnością, że jest jedyną osobą, która może jeszcze coś w tej sprawie zrobić.

Zakręciło mu się w głowie, kiedy uświadomił sobie, że właśnie nadeszła jego życiowa szansa. Poświęcił lata na szkolenia i gdyby teraz uratował sytuację, osiągnąłby znacznie więcej niż tylko unieważnienie wpadek i błędów, jakie popełnił wcześniej.

Cały kłopot polegał na tym, że Jake nie miał pojęcia, co robić. Ciężar odpowiedzialności przytłaczał go, a w nagle opustoszałej głowie kołatały tylko słowa Laury nazywającej go zarozumiałym gnojkiem, który wypłynął na zbyt głęboką wodę i tak naprawdę powinien wrócić do nauki. Jednak z drugiej strony czy Laura była taka znowu doskonała? Nie wykazała nawet tyle przytomności umysłu, żeby sprawdzić komórkę Asifa, i miała szczęście, że obwody telefonu nie usmażyły się na skwarę, kiedy dała mu pięćdziesiąt tysięcy woltów z paralizatora...

Jake przypomniał sobie hasło ze szkolenia: „Twardy orzech, ale cherubin twardszy”. Zapracował na swoją szarą koszulkę w taki sam sposób jak wszyscy inni. Musiał tylko się uspokoić, wykorzystać to, czego się nauczył, i puścić mózg w ruch.

Jedną z głównych zasad, jakie mu wpajano, nakazywała starannie zbadać sytuację przed przystąpieniem do działania. Jake ostrożnie wyjrzał ze swojej kryjówki i przekonał się, że z tego miejsca ma

całkiem przyzwoity widok na Hassama i Fahima stojących plecami do pnia sąsiedniego drzewa. Pomyślał o użyciu klucza, ale stanął przed tym samym problemem co policjantki: na podejrzenie synowi gardła Hassam potrzebował zaledwie ułamka sekundy, a przy ostrzu tak blisko skóry zwykłe potknięcie albo gwałtowniejszy ruch mógł łatwo doprowadzić do tragedii.

Jake nie mógł niczego pozostawić przypadkowi. Musiał wkroczyć i przechwycić nóż, zanim Hassam zdąży zdać sobie sprawę z jego obecności. Ale łatwiej było to pomyśleć, niż zrobić, tym bardziej że Jake był drobnym jedenastoletnim chłopcem, zaś jego przeciwnik potężnie zbudowanym mężczyzną.

Klucz do kół był zbyt nieporęczny, ale kiedy Jake zawrócił, by jeszcze raz spojrzeć na Hassama, przypomniał sobie o ciśnieniomierzu tkwiącym w jego kieszeni. Przyrząd z chromowanej stali miał kształt grubego długopisu i choć końce były beznadziejnie tępe, na końcu obudowy tkwiła sprężysta blaszka w kształcie strzały pozwalająca na wpięcie miernika w kieszeń. Nie była ostra, ale końcówka mogła wbić się w ciało, gdyby użył wystarczającej siły.

Jake odgiął blaszkę na zewnątrz i na próbę ścisnął narzędzie w pięści tak, by strzałka sterczała mu spomiędzy palców. Broń nie sprawiała wrażenia bardzo groźnej, ale Jake był pewien, że wystarczy do zadania, do którego zamierzał jej użyć.

Po wyłączeniu telefonu na wypadek, gdyby ktoś zadzwonił nie w porę, i wzięciu dwóch głębokich oddechów Jake przypadł do ziemi i zaczął pełznąć w stronę oddalonego o pięć metrów drzewa, przy którym Hassam trzymał Fahima pod nożem.

– To twój syn! – zawołała jedna z policjantek, bez większej nadziei na reakcję. – Naprawdę chcesz, żeby zginął?

Jake był coraz bliżej.

– Nie mam już syna! – odkrzyknął Hassam. – Ten zdrajca jest jednym z was.

Jake starannie zbadał grunt u podnóża drzewa. Kiedy ostrożnie wyjrzał zza pnia, jego głowa zawisła w odległości kilku centymetrów od pięty Hassama. Plan ataku, jaki zrodził się w jego głowie, bazował na podstawowej wiedzy o ludzkich odruchach wpajanej cherubinom na szkoleniu podstawowym. U każdego człowieka, który pozwolił się zaskoczyć, układ nerwowy reaguje tak samo. Jake wiedział, że jeśli dźgnie Hassama poniżej klatki piersiowej, ten rozrzuci ramiona na boki; najpierw jednak należało upewnić się, że mężczyzna nie trzyma noża w sposób, przy jakim reakcja spowodowałaby przeciągnięcie ostrzem po szyi jeńca.

– Tato... – załkał Fahim w chwili, gdy kropla potu Hassama zwilżyła mech centymetry od twarzy Jake'a. – Tato, przepraszam...

Na szczęście dla Fahima, aby skutecznie podciąć komuś gardło, trzeba zagłębić ostrze daleko za tchawicę. Podczas gdy konfrontacja przeciągała się, Hassam odsunął ostrze na kilka centymetrów od szyi syna, by dygoczącą ręką nie spowodować kolejnych przypadkowych obrażeń.

Przy tak małym dystansie Jake'a mogło zdradzić głośniejsze westchnienie albo nieostrożny ruch. Zareagował natychmiast, kiedy zobaczył ostrze w bezpiecznej pozycji. Włączyły mu się odruchy nabyte na ćwiczeniach i Jake skupił wzrok na ząbkowanej klindze, czując się dziwnie opanowany.

– Nie strzelać! – krzyknął, podrywając się i wbijając Hassamowi blaszany kolec między żebra. Ręka dzierżąca nóż wyprostowała się gwałtownie, a wtedy Jake zamachnął się kluczem do kół i uderzył mężczyznę w dłoń.

Ostrze wypadło ze strzaskanych palców. Fahim wywinął się z uścisku ojca, zaś dwie policjantki, widząc, że chłopak jest wolny, ruszyły w stronę Hassama. Ten opuścił zdumiony wzrok na Jake'a, który właśnie schylał się, by zgarnąć broń z ziemi, i ze wściekłym rykiem kopnął go w żebra. Chłopiec jęknął i odtoczył się na bok, ściskając w garści nóż. Policjantki zatrzymały się trzy metry od

Hassama, przez cały czas trzymając go na muszce, podczas gdy dwaj inni funkcjonariusze zbliżali się doń od tyłu.

– Ręce do góry! – krzyknęła jedna z kobiet.

– Mam pistolet. – Hassam uśmiechnął się i błyskawicznie wsunął dłoń do kieszeni blezera.

Mając nieco więcej czasu do namysłu, policjanci zapewne domyśliliby się, że gdyby Hassam miał broń, to z pewnością użyłby jej już wcześniej, ale każdy z czworga funkcjonariuszy musiał podjąć decyzję natychmiast i kobieta stojąca najbliżej nie zawahała się przed naciśnięciem spustu. Pocisk trafił mężczyznę w pierś, przewiercił na wylot serce i wbił się w pień za jego plecami, odłupując kilka ostrych drzazg.

Hassam osunął się bez życia na ziemię. Mac wyskoczył z tylnej furtki domu numer szesnaście i pognał w stronę dwóch chłopców, którzy leżeli przy pierwszym dołku pola niespełna dwa metry od siebie.

– Trochę to trwało, zanim nas znaleźliście – zasapał zdyszany Fahim, uśmiechając się z ulgą i badając palcami ranę na swojej szyi.

35. PRZEKRĘT

– Halo, jest tu kto?

Laura i Rat odwrócili się, by ujrzeć szczupłą kobietę zaglądającą przez drzwi magazynu. Miała skórzaną torbę na ramie i dopasowany czarny płaszcz, nadający jej nieco złowroźny wygląd.

– W czym mogę pomóc? – zapytała niepewnie Laura.

– Jestem doktor Turpin, dzwonił do mnie Mac. Mój zespół pracował już z agentami CHERUBA, więc wiem, co jest grane.

Laura wskazała palcem Asifa, który leżał na posadzce, nieobecny dla świata, z głową na bloku styropianu znalezionym przez Rata na jednej z półek.

– Dobra robota! – uśmiechnęła się pani doktor, podczas gdy do magazynu wtoczył się metalowy wózek pchany przez dwóch mężczyzn.

– Jak pani chce to załatwić? – zainteresował się Rat.

Doktor Turpin wzruszyła ramionami.

– Ostukamy go trochę gumową pałką, żeby miał parę prawdziwych siniaków, a potem wstrzykniemy koktajl z LSD i innych halucynogenów, po których resztę tygodnia spędzi w innym świecie. Ocknie się na szpitalnym łóżku, w strzeżonej sali,

gdzie dowie się, że wdał się w potyczkę z policjantami próbującymi go aresztować, zainkasował paskudny cios w głowę i przeszedł lekki zawał serca na podłożu nerwowym. W tym momencie nie powinien już pamiętać, że tak naprawdę napadło go dwoje dzieciaków, a nawet jeśli sobie przypomni, to mózg będzie miał tak przemielony, że w życiu nie dojdzie, co było prawdą, a co halucynacją.

– Czy takie traktowanie zatrzymanych nie jest nielegalne? – stęknął Rat, obejmując Asifa w pasie, by pomóc dwóm mężczyznom dźwignąć nieprzytomnego na wózek.

Troje agentów MI5 parsknęło śmiechem i wyższy z mężczyzn odpowiedział.

– Chcesz mi powiedzieć, że nokautowanie człowieka, okładanie go gumowymi pałkami i narkotyzowanie świństwami, które robią mu z mózgu jajecznicę, jest nielegalne?

– Gdzie tam – ryknął radośnie jego kolega i machnął ręką przed twarzą. – Niemożliwe.

Laura cmoknęła ze zniecierpliwieniem.

– Na litość boską, Rat, wszystko, co robimy, jest nielegalne. Każdy dowód, jaki odnajdziemy, musi być odpowiednio spreparowany, żeby w ogóle można go było przedstawić w sądzie. Gdyby kolesie od wolności obywatelskich kiedykolwiek dowiedzieli się, co wyprawia CHERUB i inne agencje wywiadowcze, wybuchłyby im czaszki.

Rat zamruczał coś niepewnie.

– Spójrz na to w ten sposób – powiedziała doktor Turpin, podczas gdy jej towarzysze wytaczali Asifa do nieoznakowanego ambulansu. – Czy to, co zrobimy Asifowi, jest lepsze czy gorsze od wysadzenia w powietrze trzystu pięćdziesięciu osób na środku Atlantyku?

– Skoro o tym mowa – wtrąciła Laura. – Poszperałam tu trochę, kiedy na was czekaliśmy... Czy ktoś z was ma coś wspólnego

z dochodzeniem w sprawie katastrofy samolotu?

– Jesteśmy zespołem reagowania kryzysowego – odpowiedziała doktor Turpin, kręcąc głową. – Zajmujemy się tylko sprzątaniami bałaganu po innych, ale jeśli chcesz, mogę ściągnąć kogoś z zespołu dochodzeniowego zajmującego się katastrofą.

Laura potrząsnęła głową.

– Mac wie o dochodzeniu tyle samo co każdy i będzie tu lada chwila.

– A co, znalazłaś coś ciekawego? – zainteresowała się Turpin.

Laura wzruszyła ramionami.

– Taki tam złom. Ale może się przyda.

Kobieta spojrzała na zegarek.

– Dobrze, musimy zmykać, ale pozdrów Maca ode mnie. Aha, i przekaz wyrazy współczucia z powodu żony i wnuków.

*

Nieoznakowany ambulans dyskretnie opuścił teren magazynu, a jeden z asystentów pani doktor odjechał bentleyem Hassama. Jake i Mac zajechali na parking kwadrans później, który to czas Rat zdążył wykorzystać na wypad do pobliskiej kafejki po batoniki KitKat i herbatę w styropianowych kubkach do odpędzania chłodu.

– Gdzie macie Asifa? – wyszczerzył się Jake, wtaczając się dumnym krokiem do magazynu, pierwszy raz od wielu dni znów w swojej dawnej buńczucznej pozie. – Chyba nie daliście mu tylu woltów, że się biedak przekręcił, co?

– MI5 już się nim zajęła – odpowiedziała Laura, mierząc kolegę złym spojrzeniem.

– Czy Mac wie, że zapomnieliśmy sprawdzić telefon i zaczęliśmy go smażyć? – zapytał ostrożnie Rat.

– Będę milczał jak grób... przynajmniej dopóki będzie mi się opłacało – droczył się Jake.

– Tak jak ja nie pisnę ani słowa o twoim załamaniu i łzach pierwszego dnia misji – powiedziała Laura. – Ja i Rat być może

dostaniemy ochrzan od Zary, ale ciebie Bethany i kumple rozerwą na strzępy, jeżeli ta historia wycieknie.

Jake'owi zrzęda mina.

– Poryczał się? – wyszczerzył się Rat.

– Cóż się dziwić, to przecież tylko biedny mały cherubinek – szydziła Laura. – Ale przytuliło się to, dostało buzi na dobranoc i wszystko było w porządku.

– A walcie się, oboje – zirytował się Jake. – A w ogóle to wcale nie płakałem... Najwyżej ciutkę... I tylko dlatego, że strasznie mnie bolało. A Mac powiedział, że jak uratowałem Fahima, to była normalnie podręcznikowa akcja i jedna z najodważniejszych rzeczy, jakie widział w życiu.

Mac stanął w drzwiach i posłał agentom podejrzliwe spojrzenie.

– Co tam szepczecie?

– Nic – odpowiedziało chórem trio, po czym Laura zapytała o Fahima.

Policja zabrała go na ostry dyżur, żeby zaszyli mu ranę na plecach.

– I naprawdę wraca z nami do kampusu? – zapytał Rat.

– Oczywiście – przytaknął Mac. – Wprawdzie nie jestem przekonany, czy przejdzie testy rekrutacyjne, ale złożyliśmy obietnicę i dotrzemy jej.

– Wyobrażam sobie tego spaślaka na torze przeszkód – parsknął Jake.

Laura dźgnęła go w plecy.

– Podobno go polubiłeś.

– Nie no, w ogóle to jest w porządku – powiedział Jake pojednawczo.

– Chciałem tylko powiedzieć... No bo jak zdejmuję koszulkę, to ma te zwały sadła na bokach... Wygląda jak mały Budda czy coś.

– Parker, z tobą chyba jest coś nie tak – wycedził Mac. – Fahim w ciągu miesiąca stracił oboje rodziców, a ty prawdopodobnie jesteś jedyną osobą, którą przy odrobinie dobrej woli mógłby nazwać

przyjacielem...

– Już dobrze, spoko – burknął Jake urażonym tonem. – Właśnie uratowałem koleśowi życie, pamiętacie?

Rat roześmiał się.

– Tylko się znowu nie popłacz, maleństwo.

Jake wydał brzęczący odgłos, naśladując uruchomiony paralizator, co zamknęło Ratowi i Laurze usta. Mac nic z tego nie rozumiał, ale spędził dość czasu na pracy z dziećmi, by wiedzieć, że próby rozgryzania ich prywatnych żartów nie mają najmniejszego sensu.

– Laura, mówiłaś, że masz coś dla mnie – przypomniał doktor McAfferty.

– Tak, o tam – powiedziała Laura, wskazując kierunek. – Jak już zrobiliśmy Asifowi zastrzyk, założyłam foliowe rękawiczki i przeszukałam torby, które zostawił przy drzwiach. W jednej są pieniądze i paszporty, jak można się było spodziewać, ale w drugiej znalazłam takie jakieś dziwne rzeczy, które wyglądają trochę jak części z samolotu.

– Naprawdę? – powiedział Mac, unosząc brew.

Laura dała mu parę polietylenowych rękawiczek ze swojego plecaka. Były w jej rozmiarze, więc z trudem naciągnął je na dłonie.

– Większość jest w tej – powiedziała Laura, wskazując torbę Delseya na kółkach i z urwanym uchem. – Dziwne jest to, że są tak ładnie zapakowane w nowe pudełka, chociaż to jakieś stare rupiecie.

Folia na dłoniach Maca zaszeleściła, kiedy wyjął z torby nieduży karton otwarty już wcześniej przez Laurę. Zawierał tajemnicze urządzenie z przykurzonym układem elektronicznym i przytwierdzoną do niego maleńką elektryczną pompką. Korpus pokryty grubą warstwą żółtej farby zdobiła czerwona naklejka hologram z napisem FCX.

– Łał – mruknął Mac i uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem.

Jake zajrzał szefowi przez ramię i zmarszczył nos.

– Wygląda jak zwykła kupa złomu.

– Efceiks... efceiks... – powtarzał Mac tonem zdradzającym coraz większe podekscytowanie, otwierając kolejne kartonowe pudełka.

– Na wszystkich jest coś takiego – zauważyła Laura. – Co to znaczy?

– To znaczy, że jestem winien tego samego przestępstwa co dzieciaki z klasy Fahima, które nazywały go szmatogłowcem i zamachowcem samobójcą – odrzekł Mac.

Laura zmarszczyła brwi.

– Co?

– Ktoś podaje ci arabskie nazwisko, takie jak Hassam Bin Hassam, i mówi, że człowiek, o którym mowa, ma coś wspólnego z katastrofą samolotu pasażerskiego. Co wtedy myślisz?

– No... że podłożył bombę, nie?

– I właśnie dlatego przez ostatnie dwa tygodnie sikaliśmy pod wiatr! – zawołał triumfalnie Mac, uderzając pięścią w dłoń. – Gdyby ojcem i stryjem Fahima byli Dave i Bert Sprattowie z Bognor Regis, czy pomyślelibyśmy, że to terroryści? Nie! Wszystkie ślady dotyczące Hassama i Asifa świadczyły o tym, że panowie są handlarzami, nie terrorystami. Oszustwa podatkowe, łamanie przepisów – owszem, ale żadnych związków z terroryzmem poza arabskim nazwiskiem.

– Mac – przerwała Laura stanowczym tonem. – Nie chcę być nieuprzejma, ale gadasz i gadasz, a ja wciąż nie mam bladego pojęcia, o co ci chodzi. Co ten dziwny złom ma wspólnego z samolotem, który wybuchł w powietrzu?

– FCX to skrót od Flight Certification Expired – wyjaśnił Mac. – Oznacza się nim elementy o wyczerpanym resursie eksploatacyjnym. Ten Anglo-Irish, który spadł do Atlantyku, miał dwadzieścia jeden lat. Nie lśnił nowością, ale maszyny pasażerskie kosztują dziesiątki milionów funtów i buduje się je tak, by mogły latać przez dobre trzy dekady. Mimo to niektóre z podzespołów

samolotu mają mniejszą żywotność i znacznie krótszy czas bezpiecznego użytkowania, czyli tak zwany resurs. Niektóre mogą mieć homologację na trzy lata, inne na pięć, dziesięć i tak dalej. Wymienia się je w stosownym czasie podczas obowiązkowych przeglądów okresowych. Części o wyczerpanym resursie maluje się na ostrzegawczy kolor i oznacza hologramem FCX dla zabezpieczenia przed omyłkowym ponownym zainstalowaniem. Teoretycznie powinny być wywożone do kasacji, ale te najwyraźniej oszczędzono.

Jake podjął opowieść.

– Czyli Hassam i Asif kupują części od kogoś z warsztatu albo miejscowego złomowiska, potem zmywają farbę, zrywają naklejki, odświeżają trochę i sprzedają komuś innemu jako nówki, żeby przelatały kolejnych dziesięć lat w jakimś samolocie na drugim końcu świata.

– Otóż to – potwierdził Mac. – Chociaż te pudła dowodzą jedynie tego, że Hassam i Asif wykorzystywali swoje przedsiębiorstwo do transportu nielegalnych podzespołów. Równie dobrze mogli być częścią znacznie większej siatki szmuglerskiej.

Laura skinęła głową.

– To by wyjaśniało, dlaczego w księgach nie znaleźliśmy żadnych śladów.

– No właśnie – przytaknął Mac, uświadamiając sobie, że o tym nie pomyślał. – Papiery wykazują tylko kontener zwyczajnych towarów przewożonych w imieniu jednego z klientów BHDM, a jeśli to rutynowy transport, to nie ma powodu, by Hassam i Asif dyskutowali z kimkolwiek o detalach. To dlatego tydzień obserwacji nie przyniósł żadnych rezultatów.

– Myślisz, że ten samolot, który się rozbił, mógł spaść, bo dostał lewe części podczas przeglądu? – zapytał Jake – Te kawałki złomu naprawdę mogą być tyle warte, żeby to wszystko miało jakiś sens?

– Myślę, że są warte po kilkaset funtów za sztukę – powiedział

Mac. – Może nawet tysięcy dla właściwego kupca, po gruntownym oczyszczeniu i przebicciu numerów seryjnych. Koncerny lotnicze sprzedają swoje samoloty za cenę niższą od kosztów produkcji, ale kiedy maszyna zostanie już dostarczona klientowi, gwarantuje producentowi trzydzieści lat zysków ze sprzedaży części zamiennych. W tej branży nie ma podrzędnych warsztatików w tylnej alejce klekących podroby podzespołów do czterystumiejscowego odrzutowca. Linie lotnicze muszą kupować oryginalne części od producenta, a ten może windować ceny w kosmos.

– No to kto za tym wszystkim stoi? – zapytał Rat. – Kto robi przekręt, linie lotnicze, którym zależy na tanich częściach, czy może firma serwisowa, która w samolotach montuje złom, a kasę bierze za nowki?

Mac wzruszył ramionami.

– Za wcześnie, żeby to stwierdzić. Dokonaliśmy przełomu, ale to dopiero pierwszy krok w skomplikowanym śledztwie.

Rat przesunął wzrokiem po szeregach pudełek w torbie, a potem wyciągnął palec w górę.

– Ciekawe, ile samolotów jest teraz tam w górze, utrzymując się w powietrzu na częściach ze złomu.

36. SENSACJA

PARALIŻ LINII LOTNICZYCH!
CHAOS NARASTA. RODZINY WRACAJĄCE Z FERII UWIĘZIONE
NA LOTNISKACH.

185 MASZYNOM COFNIĘTO HOMOLOGACJĘ. NA CAŁYM
ŚWIECIE LICZBA UZIEMIANYCH SAMOLOTÓW ROŚNIE.
KRYZYS W LOTNICTWIE KOMERCYJNYM. TYLKO DZIŚ NA
HEATHROW ODWOŁANO 35 LOTÓW.
ZDANIEM EKSPERTÓW MINIE PÓŁ ROKU, NIM WSZYSTKIE
MASZYNY ODZYSKAJĄ DOPUSZCZENIE DO LOTÓW.

Porty lotnicze na całym świecie przeżywają drugi dzień chaosu po tym, jak amerykańska Federalna Agencja Lotnicza uziemiła kolejnych sześćdziesiąt pięć samolotów pasażerskich, u których podejrzewa się obecność niebezpiecznie zużytych elementów, ważnych dla bezpieczeństwa lotów.

Tymczasem dochodzenie przyniosło kolejne wstrząsające rewelacje. Zeznania osób zatrzymanych w Dubaju i Indiach w ciągu minionego weekendu doprowadziły śledczych do wniosku, że zamieszkali w Londynie bracia Hassam i Asif Bin Hassamowie stanowili jedynie drobne oczko w globalnej siatce handlu niecertyfikowanymi i podrabianymi częściami do samolotów.

Dziś rano na lotnisku Heathrow ponad pięć tysięcy pasażerów usłyszało, że ich loty zostały odwołane. Eksperci ostrzegają, że przy tak wielkiej liczbie uziemionych maszyn mogą upłynąć miesiące, nim wszystkie samoloty zostaną zbadane, a podejrzane części wymienione.

Bilety na dalekobieżne połączenia kolejowe w Europie zostały błyskawicznie wyprzedane. Szacuje się też, że około pięciu tysięcy Brytyjczyków utknęło na lotniskach Stanów Zjednoczonych i w innych odległych zakątkach świata. Niektórzy będą musieli poczekać na lot do domu nawet do tygodnia.

Podczas gdy linie lotnicze dysponujące młodszymi flotami nie odczuły skutków kryzysu, większość dużych przewoźników musiała zawiesić część połączeń. Najbardziej ucierpiały linie Anglo-Irish. W ciągu minionych dwóch lat cała flota przedsiębiorstwa przeszła przegląd główny i modernizację kabin w warsztatach DNM niedaleko Madrasu i tylko jeden z jej osiemnastu odrzutowców pozostał w służbie: samolot wydzierżawiony w zastępstwie za maszynę, która 9 września spadła do Atlantyku.

Na londyńskiej giełdzie udziały Anglo-Irish straciły na wartości o ponad siedemdziesiąt procent i zostały zawieszony w ciągu dziesięciu minut od otwarcia notowań. Zdaniem ekspertów branży lotniczej linie Anglo-Irish najprawdopodobniej nie przetrwają tak drastycznego zaburzenia w świadczeniu usług. Upadek linii będzie oznaczał utratę posady dla ponad ośmiuset osób. Giełdy zanotowały również gwałtowny spadek wartości akcji innych przewoźników.

Podczas gdy władze lotnicze w Unii Europejskiej, Ameryce Północnej i większej części Azji zarządziły natychmiastowe uziemienie zagrożonych samolotów, narastają kontrowersje wokół opieszalej reakcji w krajach rozwijających się i byłego Związku Radzieckiego, gdzie, jak się podejrzewa, tuziny potencjalnie niebezpiecznych maszyn pozostają w normalnej eksploatacji.

„London News” – wtorek, 9 października 2007 r.

Laura, Bethany i Rat, ze świeżo umyтыми włosami i rumianymi od gorącej wody twarzami, wyszli z dojo po wyczerpującym treningu. Do trzeciej godziny lekcyjnej brakowało jeszcze dwudziestu minut, więc szli do stołówki, żeby coś przekąsić. Nagle Laura skrzyknęła ze ścieżki i pognęła na przełaj w stronę mężczyzny w białym kitlu wchodzącego właśnie do ambulatorium.

– Hej, gdzie lecisz?! – zawołała za nią Bethany.

– Będę za sekundę! – odskrzyknęła Laura, zatrzymując się na chwilę. – Weźcie mi czekoladę i croissanty z migdałami.

– A na co to umarł twój ostatni sługa?! – wrzasnął Rat, ale Laura biegła już dalej.

Przeciawszy podmokły trawnik, przeszła przez automatyczne drzwi i zanurzyła się w nieznośnie dusznej atmosferze ambulatorium. Pobiegnęła za smukłym lekarzem, który nadzorował badania medyczne każdego rekruta CHERUBA.

– Hej, doktorku! – zawołała.

– Tak? – rzucił lekarz z niemieckim akcentem, najwyraźniej niezbyt zachwycony sposobem, w jaki się do niego zwracano.

– Przepraszam, chciałam powiedzieć, doktorze Kessler. Panie doktorze, zdaje się, że dziś rano badał pan Fahima Bin Hassama, i chciałabym zapytać, jak mu poszło.

– Spójrz za siebie – zasyczał doktor Kessler, marszcząc czoło tak mocno, że jego brwi prawie zamieniły się miejscami.

Laura obejrzała się i ujrzała szlak z błotnych odcisków butów na poza tym nieskazitelnie białej podłodze.

– Ojej... Ja bardzo przepraszam... Jest tu gdzieś jakiś mop czy coś?

– Siostra Halstead się tym zajmie. Po prostu zdejmij te brudne bucior, zanim zrobisz następny krok, dobrze?

Laura zsunęła adidasy, odsłaniając przeraźliwe skarpety z oczami na górze i brudnym żółtym czymś wokół palców mającym przypominać kaczy dziób. Kessler uśmiechnął się kącikiem ust.

– Czarujące.

Laura zaczerwieniła się ze wstydu.

– Oj, bo mnie nie było i mam zaległości w praniu. Miałam do wyboru te albo jaskrawożółte podkolanówki, które kupiłam w Australii.

– Słyszałem o twojej ostatniej misji – powiedział doktor Kessler nieco przyjaźniejszym tonem. – Moja żona utknęła w Hamburgu dzięki twojemu dochodzeniu.

– Przykro mi – powiedziała Laura. – Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże, co nie?

– Dwa dodatkowe dni bez żony to błogosławieństwo – wyszczerzył się Kessler. – Widok jej twarzy odbiera mi chęć życia.

Laura zaśmiała się niepewnie.

– To powie mi pan, jak sobie radzi Fahim?

– W ośrodku szkoleniowym mam zwichnięcie, którym muszę się zająć, ale możesz iść do sali obserwacyjnej i zobaczyć sama. Trzecie drzwi po prawej. Chłopak nie ma kondycji, ale widziałem gorsze przypadki.

Dzięki.

– I pamiętaj, nie wolno ci rozmawiać...

– Nie odzywać się do pomarańczowych, wiem – skinęła głową Laura.

Zakaz rozmów z gośćmi noszącymi w kampusie pomarańczowe koszulki, był rygorystycznie egzekwowany, choć w zaistniałych okolicznościach wydawał się całkowicie bezcelowy.

Trzecie drzwi po prawej przepuściły Laurę do pomieszczenia szerokiego na dwa i długiego na cztery metry, z kurtyną z szerokich gumowych pasów w przejściu na drugim końcu i wprawionym w jedną ścianę wielkim oknem z lustrem weneckim. Laura podeszła do szyby i przywarła do niej twarzą, dłońmi osłaniając oczy przed refleksami.

Nigdy dotąd nie była w sali obserwacyjnej, ale dwa identyczne stanowiska w pracowni badań wydolnościowych przywoływały ponure wspomnienia. Każdy nowy rekrut zaczynał swoją karierę w CHERUBIE od wyczerpujących badań lekarskich i oceny kondycji. Pełnoprawni cherubini przechodzili badania okresowe co sześć miesięcy plus badania dodatkowe po każdej misji trwającej dłużej niż sześć tygodni.

Podczas gdy kilka pompek i krótki bieg wystarczyłyby do określenia aktualnego poziomu kondycji badanego, CHERUB musiał wiedzieć nie tyle, w jakiej Fahim jest formie, ale w jakiej mógłby być, gdyby się postarał. Za pomocą prześwietleń zmierzono

gęstość jego kości, ultradźwiękami zbadano strukturę mięśni, wreszcie pobrano próbki krwi i moczu.

Po podłączeniu Fahima do sprzętu monitorującego rozpoczęły się właściwe badania kondycyjne. Podczas osiemnastu różnych testów mierzono wszystko, od siły mięśni po zawartość tłuszczu w organizmie. Sprawdzano, jak szybko Fahim potrafi biegać i na jak długo może wstrzymać oddech. Testy te obciążały młode ciała do granic ich wytrzymałości i choć Laura jeszcze nigdy nie dostała torsji podczas badań, w gabinecie zawsze unosiła się woń wymiocin i środka odkażającego.

Laura patrzyła na Fahima biorącego udział w jednym z łatwiejszych sprawdzianów. Chłopiec maszerował po jednej z dwóch bieżni z maską tlenową na twarzy i elektrodami przyklepionymi do piersi. Siostra Beckett obserwowała go jednym okiem, pilnując próbki krwi odwirowującej się w centryfudze. Rola osoby ordynującej badania zapewniła jej niezbyt przyjazny przydomek Panny Pawik, zupełnie niepasujący do tej łagodnie usposobionej damy ze srebrną ondulacją na głowie.

Fahim był w masce, a jego oddech wędrował przez gruby karbowany przewód przypominający rurę od odkurzacza. Maszyna mierzyła zawartość tlenu w powietrzu i porównywała z ilością tlenu wdmuchiwanego do rury. Im mniej tlenu wydychał Fahim, tym wydajniej pracowały jego płuca i tym większe były jego szanse na przetrwanie szkolenia podstawowego.

Laura zamierzała tylko zapytać, jak chłopiec sobie radzi, i pobiec z powrotem do Bethany i Rata, ale jej uwagę przykuł widok Fahima, który chwiał się i dyszał podczas ćwiczenia, przy którym nie musiał nawet biec. Nie wyglądało to dobrze.

Wreszcie siostra Beckett zatrzymała bieżnię. Fahim zdarł maskę i otarł spływającą potem twarz swoją pomarańczową koszulką. Laura domyślała się, że chłopak ma już za sobą większość testów rekrutacyjnych: przekrwione oko sugerowało bolesną konfrontację

z doświadczonym przeciwnikiem w dojo, szorty Fahima były poplamione kurzą krwią, a paskudne otarcie na kolanie powstało zapewne wskutek złego obliczenia momentu zeskoku z linowej zjeżdżalni na końcu toru przeszkód.

– Witaj, Laura – powiedziała siostra Beckett, która precyzyjnie się przez gumową kurtynę, patrząc na trzymaną w ręku podkładkę z wpiętymi formularzami. – Nie przyszedłś chyba na badanie, prawda? Na dziś rano mam wpisaną tylko jedną pomarańczową koszulkę.

– Dopiero w grudniu – odpowiedziała Laura, wzdragając się na samą myśl. – Przyszedłam zapytać, jak sobie radzi Fahim, ale doktor Kessler był zajęty i powiedział, żebym sama się przekonała.

Siostra Beckett podeszła bliżej i pokazała Laurze podkładkę z wynikami wszystkich badań Fahima. Dokument składał się z tuzina stron A4, z okienkami, w które osoby prowadzące badania powklejały kolorowe kropki.

– Tak jak światła na drodze – wyjaśniła pielęgniarka. – Zielona to świetny wynik, żółta jak cię mogę, czerwona – wiadomo.

– Och... – jęknęła Laura, widząc, że ponad jedna czwarta kropek jest czerwonych. – W ogóle jest sens to ciągnąć?

Siostra Beckett pokiwała głową.

– Nie jest nawet w części aż tak źle, jak mogłoby się wydawać. Nikt nigdy nie dostaje samych zielonych i żółtych. Testy na inteligencję zdał bez problemów, a poza tym dobrze zna arabski i trochę urdu – umiejętności wielce pożądane w obecnym klimacie politycznym.

– To ile czerwonych kropek może jeszcze dostać, żeby nie oblać?

– Oblewa się tylko za podwójną czerwoną.

– Za co się ją dostaje?

– Hmm... – Pielęgniarka zmarszczyła brwi, zastanawiając się, jak najlepiej wszystko objaśnić. – Spójrz o tutaj, widzisz? Dałam Fahimowi czerwoną kropkę za niską kondycję, jednak jego

potencjalna wydolność jest dobra, więc w większości innych kategorii dostanie żółte. Nie ma ustalonej z góry liczby punktów, za jaką zdaje się lub oblewa. Zara Asker oceni jego wyniki i to ona zadecyduje, czy są wystarczająco dobre, byśmy mogli go przyjąć. Podwójną czerwoną dałabym mu tylko wtedy, gdybym wykryła coś w rodzaju choroby serca, wady postawy czy deformacji szkieletu, jaka przysporzyłaby mu problemów podczas szkolenia podstawowego.

– Ale do tej pory jeszcze żadnej nie dostał? – upewnili się Laura.

Siostra Beckett z uśmiechem pokręciła głową.

– Nie torturujemy was dla przyjemności, wiesz? Kiedy ktoś dostaje podwójną czerwoną, to na tym jego egzamin rekrutacyjny się kończy.

Laura zacisnęła kciuki i uniosła je przed szybą.

– To ja lepiej już pójdę, bo nie zdążę nic zjeść przed lekcjami. Na razie nie mogę z nim rozmawiać, więc niech mu pani powie, że życzę mu powodzenia, dobrze?

– Oczywiście – uśmiechnęła się siostra Beckett. – Jest mocno zestresowany. To z pewnością poprawi mu humor.

Kiedy pielęgniarka zniknęła za gumowymi wstęgami, Laurze nagle coś przyszło do głowy.

– Eee... chwileczkę, proszę siostry – zawołała.

– Co takiego?

– Powiedziała pani, że jeśli Fahim niczego nie zawali, ostateczna decyzja będzie należeć do Zary, prawda? Jak pani myśli, czy to mogłoby pomóc, gdybym poszła do niej i... no wie pani, wstawiła się za nim?

Pielęgniarka zrobiła niepewną minę.

– Nosisz czarną koszulkę, więc twoja opinia chyba ma jakieś znaczenie. W każdym razie nie wiem, jak mogłabyś mu zaszkodzić.

– Dzięki – powiedziała Laura, podnosząc z podłogi swoje ubłocone buty. – Spróbuję.

– Fajne skarpetki – rzuciła na pożegnanie siostra Beckett i zniknęła za falującą kurtyną z gumy.

37. FARBA

James i Kerry wciąż pokutowali za niepotrzebny atak na Danny'ego. Do wtorku James zdążył wybiegać swoich pięćdziesiąt karnych okrążeń i odsłużyć sześć z dwudziestu godzin prac remontowych. Kara Kerry – trzysta okrążeń i sto godzin malowania – była znacznie surowsza i miała pochłaniać cały jej wolny czas jeszcze przez pięć lub nawet sześć tygodni.

Blok juniorów stanowiła przebudowana wiktoriańska szkoła, w której dawniej mieściła się kwatera główna CHERUBA, dopóki na początku lat siedemdziesiątych nie wzniesiono tak zwanego głównego budynku. James i Kerry przemierzali kampusowy napowietrzny tor przeszkód wystarczająco często, by rusztowanie sięgające trzeciego piętra nie robiło na nich większego wrażenia.

Wszystkie zbutwiałe podnoszone okna bloku juniorów zostały niedawno wymienione na nowe, plastikowe z podwójnymi szybami. Te nie wymagały malowania, ale po wykuwaniu starych i wmurowywaniu nowych ram został niezły bałagan, zarówno w środku, jak i na zewnątrz budynku. Surowy tynk na zewnątrz należało wygładzić, zagruntować i pomalować, zaś przestrzeń wokół okien wewnątrz pomieszczeń domagała się nowej tapety i świeżej farby.

Nowa farba wewnątrz odróżniałaby się od starej i wyblakłej, dlatego Zara uznała, że to znakomita sposobność do odnowienia całego budynku, przy czym aby nie narażać tajności organizacji prowadzaniem ekip remontowych z zewnątrz, wszystkie prace wykonywali cherubini w ramach kar za rozmaite przewinienia, pod nadzorem trzyosobowego zespołu konserwacji technicznej. Starsi agenci, tacy jak James i Kerry, pracowali głównie na zewnątrz, a wewnątrz zajmowali się bardziej odpowiedzialnymi czynnościami, na przykład tapetowaniem. Młodszym delikwentom wręczano wałki, farbę emulsyjną i zapędzano do malowania ścian w pomieszczeniach.

Codziennie po dzwonku kończącym popołudniowe lekcje ponad tuzin dzieciaków odrabiających swoje kary wskakiwało w niebieskie kombinezony i ruszało do bloku juniorów, by odfajkować dwie lub trzy godziny pracy, a potem umyć się i pójść na późną kolację.

– Nedoróbka – James wskazał niedomalowany kawałek, przechodząc obok Kerry na rusztowaniu dwa piętra nad ziemią.

Kerry siedziała na deskach, mając nogami w powietrzu i z ponurą miną chlastała pędzlem parapet.

– A co mnie to obchodzi? – burknęła zaczepnie. – Dwa miesiące tego szitu tylko za to, że załatwiłam palanta, któremu i tak od dawna się należało... A ty co się obijasz? Wszyscy dookoła zasuwiają i tylko ty, co spojrzę, to włączysz się bez sensu tam i z powrotem.

James ruchem głowy wskazał okno.

– Trochę tapetowałem w środku, ale potem jakaś małolata zwała z drabiny swoją tackę z farbą. Na szczęście wylądowała na folii, ale dziewczyna wpadła w histerię i musiałem pomóc jej posprzątać.

– Czerwone koszulki to normalnie marnotrawstwo przestrzeni i ubrań – stwierdziła Kerry posepnie. – Więcej po nich sprzątania niż pożytku z ich pracy.

– A ja ci powiem, że całkiem mi tu dobrze – powiedział James, zwieszając się z metalowej rury znajdującej się nad jego głową

i kołysząc tam i z powrotem. – Malowanie jest nawet przyjemne; człowiek nic tylko macha sobie pędzlem, a na koniec przynajmniej widzi, że coś zrobił.

Kerry cmoknęła.

– Łatwo ci mówić. Dostałeś tylko dwadzieścia godzin i prawie połowę masz już za sobą.

– Przy moim szczęściu pewnie szybko wrócę.

– Shakeel zaczyna jutro – wyszczerzyła się Kerry. – Wkurzył się w dojo i przywalił komuś z czaszki po gwizdku.

– Herbata! – zawołała dziewczyna wewnątrz budynku.

Kerry otworzyła okno, przy którym pracowała, i sprawdzwszy, czy podeszwy jej najków nie są upačkane farbą, przelazła na dywan w pokoju po drugiej stronie. Znalazła się w typowej sypialni czerwonych koszulek zajmowanej przez dwie małe dziewczynki.

– Ale tu różowo – skrzywił się James i osłonił oczy z udawanym obrzydzeniem, przestępując ostrożnie nad baletowymi trykotami, domkiem dla lalek i kabrioletem dla Barbie.

Wyszli na korytarz, a dziewczyna od herbaty – będąca tak naprawdę jedną z opiekunek z bloku juniorów – potoczyła w ich stronę metalowy stolik na kółkach zastawiony parującymi kubkami i batonikami Twix.

– Siema, Chloe – wyszczerzył się James, sypiąc do swojego kubka jedną łyżkę cukru za drugą. – Ślicznie dziś wyglądasz.

Opiekunka zmarszczyła brwi.

– Dlaczego jak się wsadzi faceta w kombinezon, to automatycznie zaczyna mu się wydawać, że jest darem niebios dla kobiet?

– Żebym to ja wiedziała – uśmiechnęła się Kerry. – Chociaż w jego wypadku nawet nie trzeba kombinezonu.

Chloe oddaliła się, by obsłużyć innych malarzy, a James i Kerry wrócili do różowej arkadii, żeby w spokoju zjeść batony i ogrzać dłonie kubkami gorącej herbaty. Oboje byli cali w farbie, więc nie mogli usiąść.

– Słyszałem, że Bruce jest w drodze do domu – zagaił James.

Kerry odgryzła mikroskopijny koniuszek swojego twiksa i kiwnęła głową.

– Jutro rano ląduje na Heathrow.

– Hej, gdzie twój entuzjazm?

– Bo ja wiem? – Kerry wzruszyła ramionami. – Fajny z niego chłopak, tylko...

– Tylko co ?

– Nie iskrzy.

– Jak to?

– Kiedy byłem z tobą, to był w tym jakiś ogień. Niby traktowałeś mnie jak śmieć, zdradzałeś przy każdej okazji, a w końcu rzuciłeś i złamałeś serce, ale gdyby ktoś powiedział, że wygrałam kolację w wyczesanej knajpce i mogę pójść z każdym, kogo sobie wybiorę, wybrałabym ciebie, a nie Bruce'a.

Wyznanie mile połechtало próżność Jamesa, który szybko wyobraził sobie siebie w analogicznej sytuacji.

– Może i ja wybrałbym ciebie, nie Danę – uśmiechnął się szeroko.

Nim się obejrzał, Kerry postawiła kubek na baszcie bajkowego zamku i stanęła tak blisko, że ich kombinezony dotknęły się nawzajem. Zaczęli się całować. James poczuł smak czekolady i okruchów ciastka, które przywarły Kerry do ust, co było trochę obrzydliwe, a jednocześnie podniecające.

Kształt jej twarzy i smak śliny były jak odwiedziny u starego przyjaciela i James niemal bezwiednie rozpiął Kerry kombinezon, by wypełnić dłoń jej piersią. W odpowiedzi ścisnęła go za pośladki i przycisnęła do ściany.

– Dżizas, ale ty mnie podniecasz – sapnęła mu do ucha.

James był nakręcony jak budzik, ale w jego głowie raz po raz pojawiała się twarz Dany.

– Szit – syknął ze złością, oswobadzając się z uścisku i niechcący miażdżąc stopą figurkę kucyka, kiedy odsuwał się od byłej

dziewczyny. – To bez sensu.

Kerry rzuciła mu powłóczyście spojrzenie.

– To wciąż we mnie jest, James. Wprawdzie udawałam, że nienawidzę cię do szpiku kości, ale nigdy sobie z tym nic poradziłam.

– Ja nie wiem – westchnął James, przeczesując włosy palcami i uświadamiając sobie poniewczasie, że to nie jest najlepszy pomysł, kiedy ma się dłonie upačkane farbą. – Strasznie to wszystko pokręcone.

– Widziałam, jak na mnie patrzysz, James. Ja wiem, że ciągle ci się podobam. I jestem bardziej dojrzała niż wtedy. Gdybyś chciał pójść na całość jak z Daną...

– Wszyscy myślą, że już to robimy, ale tak nie jest – zaprotestował James. – Nie zerwałem z tobą dlatego, że nic chciałaś się bzykać. Po prostu za bardzo różnimy się od siebie, a z Daną łączy mnie coś naprawdę wyjątkowego.

Kerry uświadomiła sobie, że to, co powiedziała, zabrzmiało żałościwie, i w jej głosie pojawiła się gorycz.

– No to co stało się przed chwilą? To nic nie znaczy?

– Kerry, ty zawsze mi się podobałaś – wił się James. – Chodzi jednak o to, że nasz związek był romantycznym odpowiednikiem wyposażenia „Titanica” w silniki odrzutowe i wystrzelenia go prosto w huragan Katrina.

– Miewaliśmy scysje – przyznała Kerry. – Ale bywało też naprawdę super. Przeżyliśmy razem wiele pięknych chwil, być może jednych z najlepszych w moim życiu.

– W moim też – westchnął James. – Pamiętasz, jak była ta fala upałów i wymknęliśmy się w nocy, żeby popływać w jeziorze?

Kerry uśmiechnęła się.

– Misja GKM, kiedy pierwszy raz porządnie się pocałowaliśmy...

Aleja wspomnień nęciła, ale James wiedział, że to pułapka.

– Te dni już minęły – powiedział twardo. – Odkąd zaczęliśmy

rozmawiać ze sobą, w autobusie do pracy dwa tygodnie temu, często o tobie myślałem, ale wiesz co? Zerwaliśmy ze sobą dwa razy i szczerze mówiąc, nie chcę przechodzić przez cały ten stres po raz trzeci. To, że dwoje ludzi leci na siebie, nie oznacza jeszcze, że byłaby z nich dobrana para. I przepraszam, jeśli zraniłem twoje uczucia, kiedy się rozstawaliśmy, ale między mną a Daną to naprawdę działa.

– Kuźwa! – krzyknęła Kerry i zamachnęła się na wieżę, zasypując mury zamku gradem ludzików Playmobil i plastikowych wrózek. – Dlaczego zawsze musi tak być?

James przełknął ślinę, widząc łzy szklące się w oczach jego byłej dziewczyny.

– Sama powiedziałaś: traktowałem cię obrzydliwie. Pewnego dnia znajdziesz faceta, na którego zasługujesz, i mam nadzieję, że będę wtedy przy tobie jako jeden z twoich najlepszych przyjaciół.

– Tak bardzo starałam się cię znienawidzić, kiedy mnie rzuciłeś...
– Kerry pociągnęła nosem. – Ale tak naprawdę nigdy mi się to nie udało. Chyba naprawdę będzie ci lepiej z Daną. Jestem kompletną wariatką.

– Nie, wcale nie jesteś – powiedział James. Z jednej strony współczuł Kerry, ale z drugiej rozpierała go duma, że była dziewczyna wciąż na niego leci. – Jesteś najrozsądniejszą osobą, jaką znam. To tylko hormony i takie tam, wiesz? Jak chemia zaczyna działać, z mózgu robi się kleik.

– Gemma dzwoniła do mnie – powiedziała Kerry, zmieniając temat, po czym wyjęła chusteczkę z pudełka obok łóżka jednej z dziewczynek i pamiętając o farbie na palcach, bardzo ostrożnie osuszyła oczy.

– Co tam u niej?

– W sumie nieźle – powiedziała Kerry z niepewnym uśmiechem. – Danny wyszedł ze szpitala. Gemma opiekuje się nim, ale podobno koleś się ciskał i gadał jakieś głupoty, że czego to on nie zrobi, jak

wydobrzeje. No i ciągle jest na niego wkurzona, że zrobił z niej przynętę.

– Myślisz, że rozważa, czy może nie kopnąć go w tyłek? – zapytał James z nadzieją.

– Trzymam kciuki – powiedziała Kerry. – Gemma zaprasza nas na piwo w piątek, ciebie, mnie i Danę. Powiedziałam, że Bruce wraca, więc pewnie przyjdę z nim.

James skrzywił butem włosie dywanu.

– To jak, zamierzasz go rzucić? Bo wiesz, on nie ma dużego doświadczenia z dziewczynami, więc bądź delikatna.

– Zobaczymy, jak to będzie. – Kerry wzruszyła ramionami. – Nie widziałam kolesia od dwóch miesięcy.

– Zawsze wydawało mi się, że dobrze się razem bawicie.

– Czasami... – Kerry uśmiechnęła się. – Nawet bardzo często, szczerze mówiąc.

Ktoś załomotał w okno, aż James podskoczył ze strachu.

– Dobra, gołąbeczki! – zawołała jakaś dziewczyna. – Koniec przerwy. Kończcie herbatkę i ruszcie tu swoje tłuste tyłki.

Dziewczyna nie była ich zwierzchniczką i James odprawił ją uniesionym środkowym palcem. Z drugiej strony pamiętał, że nadzoruje ich jeden z pracowników obsługi technicznej kampusu oraz że jeśli przeciągną przerwę ponad dziesięć minut, czas ten nie zostanie odliczony od kary.

– Chcą, żebym zaszpachlował jakieś pęknięcia z drugiej strony – powiedział, przekładając nogę za okno.

– James! – zawołała za nim Kerry, kiedy już przeszedł na rusztowanie.

James zajrzał z powrotem do pokoju.

– Czego chciałaś?

– Nie wystraszyłam cię, prawda? Wciąż możemy być przyjaciółmi? No bo wiesz, poza tym, że próbowałam jej odbić faceta, to ostatnio naprawdę nieźle się z Daną dogadujemy.

James uśmiechnął się.

– Oczywiście, że jesteśmy przyjaciółmi. I nie pozwolimy, by cokolwiek nas poróżniło.

Dopiero po chwili, gdy szedł po rusztowaniu, schylając się pod stalowymi rurami i klekocząc rozchybotanymi deskami pod butami, dotarło doń w pełni znaczenie rozmowy z Kerry. Była dziewczyna zaoferowała mu swoje ciało, a on odrzucił ofertę, ponieważ kochał Danę. James był tak wstrząśnięty swoim odkryciem, że wlażł prosto na otwartą puszkę z farbą.

Puszka zsunęła się z rusztowania, wirując, ochlapała farbą ścianę i chłopaka w szarej koszulce, który pracował na niższym poziomie, po czym odbiła się od ziemi z metalicznym brzękiem.

– Uważaj, jak chodzisz, Adams! – wrzasnął chłopak, łomocząc pięścią w deski nad swoją głową. – Ktoś ci zamalował oczy czy co?

38. LUNATYK

W środę Laura wstała o szóstej rano po marnie przespanej nocy. Podniosła ekran laptopa, żeby skontrolować film, który ściągał się całą noc, i odkryła, że w skrzynce odbiorczej ma nową wiadomość od Maca.

Od: terence.mcafferty@cherubcampus.com

Do: laura.adams@cherubcampus.com,
jake.parker@cherubcampus.com

Temat: Wstępne ustalenia FAA (na razie nie rozmawiajcie o tym otwarciu!)

Cześć, dzieciaki!

Rozmawiałem telefonicznie z Geoffem Glischem z Federalnej Agencji Lotniczej i pomyślałem, że będziecie zainteresowani wiadomością, że FAA zamierza opublikować wstępne ustalenia śledczych badających przyczyny katastrofy Anglo-Irish.

Geoff powiedział, że ponieważ w szczątkach wydobytych z Atlantyku nie udało się znaleźć żadnych śladów materiałów wybuchowych, zespół śledczy już od pewnego czasu sądził, że bomba jest mało prawdopodobną przyczyną katastrofy.

Nasze odkrycie niecertyfikowanych części skłoniło zespół do skoncentrowania się na elementach, które wymieniono podczas remontu w hangarze DNM w Madrasie.

Według ich wstępnych ustaleń pewne fragmenty instalacji paliwowej

maszyny nie były wymieniane zgodnie z harmonogramem serwisowym. Jednocześnie cztery zawory układu paliwowego zostały nieprawidłowo wymienione na stare elementy, pochodzące, jak się okazało, z samolotu spalonego podczas ćwiczeń strażackich w porcie lotniczym Gatwick w połowie 2005 r.

Części ze spalonej maszyny były nie tylko stare, ale też osłabione w wyniku działania wysokiej temperatury. Uważa się, że żar spowodował zmianę struktury tworzywa, które stało się kruche. Kiedy w źle serwisowanej instalacji pojawił się wyciek, zawór, który powinien był odciąć uszkodzony przewód, zawiódł, a wtedy paliwo zaczęło przeciekać do luku ładunkowego. Tam zalało fragment instalacji elektrycznej, powodując zwarcie i iskrzenie, w następstwie czego doszło do eksplozji – był to ów pierwszy huk, jaki usłyszeli załoga i pasażerowie.

Wybuch uszkodził hydraulikę prawego skrzydła, sprawiając, że samolot wykonał pełną beczkę. Piloci zdołali ustabilizować maszynę, zaś automatyczne układy gaśnicze stłumiły ogień. Jednakże struktura przykadłubowej części płata nośnego, tak zwanego centroplata, została poważnie naruszona, i powietrze wdzierające się przez rozdarte poszycie z prędkością ponad sześciuset kilometrów na godzinę zaczęło dosłownie odrywać jedno ze skrzydeł. W tym momencie piloci nie mieli innego wyjścia, jak tylko podjąć próbę wodowania.

Śledczy są przekonani, że takie będą ich ostateczne wnioski, ale nie ogłoszą ich, dopóki zespół ekspertów powołany przez producenta nie potwierdzi ich ustaleń. Dopóki nie ukaże się oświadczenie, bardzo proszę, abyście zatrzymali te rewelacje dla siebie.

Wkrótce się odezwę.
Dr McAfferty

Laura uśmiechnęła się bez entuzjazmu. Cieszyła się, że jej misja pomogła w rozwikłaniu tajemnicy, ale niemal urzędowy ton wiadomości maskował fakt, że Mac stracił cztery osoby z najbliższej rodziny. Wiedziała, że cierpi bardziej, niż to okazuje.

Po kąpieli i upewnieniu się, że w plecaku są wszystkie podręczniki i inne rzeczy potrzebne jej na poranne lekcje, Laura zeszła na parter. Wiedziała, że Zara zaczyna pracę wcześniej, kiedy tylko jej mąż wyszykuje dzieci do przedszkola, i chciała złapać

prezeskę, zanim ta utonie w nawa le spotkań i telefonów.

– Proszę! – zwołała Zara, usłyszawszy pukanie.

Cherubini nie powinni zwracać głowy prezesce, chyba że w bardzo ważnej sprawie. Laura lękliwie wsunęła głowę do gabinetu.

– Eee... Nie mogłam się umówić, twojej sekretarki jeszcze nie ma.

– Wejź – powiedziała serdecznie Zara.

Wchodząc do środka, Laura zdumiała się na widok Maca siedzącego na jednym z foteli przy kominku.

– Dostałaś mój e-mail? – zapytał.

– To dobra wiadomość – skinęła głową Laura. – Gdyby Fahim wtedy nie zadzwonił, to zanim ustaliliby, co się stało, mogłyby pospadać kolejne samoloty z lewymi częściami.

Zara uśmiechnęła się.

– Siostra Beckett wspominała, że chciałaś wystawić Fahimowi rekomendacje.

Laura skinęła głową ponownie.

– Wiem, że będzie musiał ostro przyczadować z kondycją, ale naprawdę uważam, że byłby świetny.

– Obawiam się... – zaczęła Zara.

Laura poznała po tonie, że nie usłyszy dobrych wiadomości.

– Ale dlaczego nie? – wypaliła przestraszonym tonem. – Będzie naprawdę świetny, jeśli tylko zrzuci parę kilo...

– Uspokój się i usiądź – powiedziała Zara, ujmując pilot zdalnego sterowania, by cofnąć taśmę w magnetowidzie VHS. – I tak miałam pokazać te zdjęcia Macowi.

Laura usiadła na skórzanym biurowym fotelu i czując dziwny chłód, odwróciła twarz w stronę telewizora.

– Tym, co najbardziej martwiło mnie w sprawie Fahima, były raporty psychologów – wyjaśniła Zara. – Wiem, że to, co pedagodzy szkolni wypisują o dzieciakach z problemami behawioralnymi, to na ogół zwyczajne bzdety. Zwykle przyczyną jest po prostu nuda i zła

sytuacja w domu, ale zaniepokoiły mnie informacje o atakach paniki i lunatykowaniu Fahima.

Zara wcisnęła guzik i ciekłokrystaliczny ekran zapłonął zielonkawym nocnym obrazem przedstawiającym Fahima pod kołdrą. Chłopiec miotał się i kręcił głową, przez cały czas mamrocząc coś o krwi i kurczakach. Potem zaczął wołać mamę i powtarzać bez końca: „Nie mogę nawalić”.

– Doktor Rose mówi, że Fahim potrafi tak gadać nawet przez jedną trzecią czasu swojego snu – powiedziała Zara.

Laurze opadła szczęka.

– On mówi o wszystkim, co robił.

– Większość ludzi wymamrocze przypadkowe słówko lub dwa podczas snu – powiedział Mac. – Ale kogoś takiego nie można posłać na tajną misję.

– Fahim, ty głupi baranie – jęknęła Laura. – Po co się tak wkopałeś?

– To jest całkowicie podświadome – powiedziała Zara. – Nie możesz go winić za to, że ma nadaktywną wyobraźnię. Dobrze, przewinę o kwadrans do przodu; zobaczycie coś ciekawego.

Tym razem to Mac zrobił przerażoną minę, kiedy na ekranie Fahim usiadł na łóżku i wsunął stopy w parę basenowych kłapek.

– Czy ja mam jakieś zwidy, czy on wciąż twardo śpi? – zapytał były prezes.

Laura patrzyła z niedowierzaniem, jak Fahim wstaje i maszeruje w stronę drzwi. Przeszedł trzy kroki i nie były to drobne kroczyki zombi jak u lunatyków na filmach, ale normalny zwawy chód, a przy czwartym zderzył się ze ścianą i gwałtownie obudził.

Rozejrzawszy się wokół z miną winowajcy i poświęciwszy kilka sekund na połapanie się, gdzie jest, Fahim przetarł oczy pięściami, po czym odwrócił się i wgramolił z powrotem pod kołdrę.

– Jest mi przykro tak samo jak tobie – powiedziała Zara, zatrzymując taśmę i przenosząc wzrok na Laurę. – W najlepszym

razie zrobiłby sobie krzywdę, nocując w nowym miejscu; w najgorszym, mówiąc przez sen, zdekonspirowałby misję i naraził ludzi na niebezpieczeństwo. Nie możemy podjąć takiego ryzyka.

– Tego się jakoś nie leczy? – zapytała Laura.

– Doktor Rose mówi, że owszem, ale skuteczność terapii jest ograniczona i podobno tego rodzaju objawy nasilają się w warunkach silnego stresu, na przykład takiego jak podczas misji.

– Będzie załamany – powiedziała Laura ze smutkiem. – Kurczę, ja jestem załamana. To taki miły chłopak. I co teraz z nim będzie?

– Właśnie dlatego zaprosiłam Maca – powiedziała Zara. – Istnieje możliwość, że Fahim zostanie wezwany na świadka, jeżeli jego ciocia i stryj staną przed sądem. Podejrzewam, że skutki skandalu z częściami do samolotów sięgną szczytu kilku poważnych i groźnych organizacji przestępczych, co oznacza, że Fahimowi potrzebna będzie ochrona.

– A po drodze stoi wielki dom ze staruszką, który teraz musi mieszkać sam – dokończył Mac.

Laura uśmiechnęła się.

– To super. Jeśli będzie mieszkał z tobą, będziemy mogli się z nim czasem widywać.

Mac skinął głową.

– Nie będzie miał wstępu do kampusu, ale będziesz bardziej niż mile widziana, kiedy tylko zechcesz go odwiedzić. I Jake również.

– Fahim śpi na siódmym piętrze – powiedziała Zara. – Nie jest to ulubiona część mojej pracy, więc jeżeli którekolwiek z was ma ochotę pojechać na górę i złamać mu serce, to zapraszam.

Mac wstał, wyprężył się dostojnie i z uśmiechem spojrzał na Laurę.

– Czujesz się dziś odważna, młoda damo? Co powiesz na wspólną przejażdżkę na siódme piętro?

– Ktoś musi to zrobić – mruknęła Laura, wychodząc za Makiem na korytarz. – Nas przynajmniej zna.

Czekając na windę, Laura i Mac uśmiechali się do siebie z zakłopotaniem, myśląc o czekającym ich nieprzyjemnym zadaniu.

– Mam tu coś jeszcze – westchnął nagle Mac i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Dostałem od śledczych badających katastrofę. To od mojego wnuczka. Kserokopia, ale oryginał znaleźli w kieszeni fotela zabezpieczony w foliowej torebce.

Laura wzięła kawałek papieru z logo Anglo-Irish w nagłówku pokryty niechlujnym chłopięcym pismem. Wiadomość odczytała już w windzie bezszelestnie sunącej w górę.

Kochany Tato,

to już chyba koniec. Chciałem napisać, żeby powiedzieć, że bardzo Cię kocham i wszystkich innych.

Samolot się rozbija. Megan się boi, ale Mama ją przytula. Babcia ma zamknięte oczy i bez przerwy całuje swój krzyżyk.

Strasznie szkoda, że nie będę starszy niż jedenaście lat, ale mam nadzieję, że kiedyś się spotkamy w niebie.

Przynajmniej nie dostanę ochrzantu od pana Williamsa we wtorek, bo zapomniałem odrobić swojej pracy z historii (cha, cha!).

Bardzo Cię kocham.

*Angus McAfferty
9 września 2007 r.*

EPILOG

W styczniu 2008 r. linie lotnicze Anglo-Irish ogłosiły bankructwo. Majątek i flotę linii przejął konkurencyjny przewoźnik, ale i tak ponad dwieście osób straciło pracę.

Wbrew pesymistycznym doniesieniom gazet przepowiadających, że identyfikacja i wymiana wadliwych komponentów we wszystkich uziemionych samolotach zajmie sześć miesięcy, większość przewoźników zdołała poderwać swoje floty w powietrze w ciągu zaledwie pięciu tygodni. Z dwustu sześćdziesięciu pięciu maszyn wymontowano ponad osiemset podejrzanych części. Osiemnaście maszyn bliskich końca użytkowania oddano do kasacji ze względu na nieopłacalność naprawy.

Śledztwo w sprawie handlu zużytymi częściami trwa i jak dotąd doprowadziło do aresztowania i postawienia zarzutów ponad pięćdziesięciu osobom. Wprowadzono nowe regulacje i procedury mające zagwarantować, że zużyte elementy wymontowywane z samolotów będą niezwłocznie niszczone.

Producenci lotniczy szukają sposobów na utrudnienie produkcji podrabianych części, niemniej jednak uważa się, że podróbki stanowią rosnący problem, zwłaszcza w uboższych krajach i miejscach takich jak Iran, gdzie oryginalne podzespoły są

nieosiągalne z powodu embarga handlowego.

FAHIM BIN HASSAM zamieszkał z byłym prezesem CHERUBA. Chodzi do miejscowej szkoły i od czasu do czasu, w weekendy, spotyka się z Jakiem i przyjaciółmi.

Regularny jogging z nowym opiekunem pomógł mu w pozbyciu się większości nadwagi. Fahim regularnie uczęszcza na sesje terapeutyczne z dr Rose. Jego problemy emocjonalne i zaburzenia snu są pod kontrolą.

Dziadek Fahima podjął kroki prawne w celu adoptowania go oraz przejęcia kontroli nad majątkiem zmarłego ojca chłopca HASSAMA BIN HASSAMA. Brytyjskie władze odrzuciły wniosek i otoczyły Fahima ochroną jako potencjalnego świadka w procesie jego stryja Asifa.

Majątek Hassama został zamrożony i ulokowany w funduszu powierniczym. Wszelkie pieniądze, jakie pozostały po wypłacie odszkodowań na rzecz Anglo-Irish i krewnych ofiar katastrofy, zostaną przekazane Fahimowi w dniu jego osiemnastych urodzin.

Mimo przeprowadzonego przez policję intensywnego śledztwa ciała JAŚMINY HASSAM nie odnaleziono.

Sprzątaczką Bin Hassamów SYLWIA UPDIKE spędziła dziewięć tygodni na oddziale intensywnej opieki medycznej. Kilkakrotnie otarła się o śmierć i przez siedem dni leżała w śpiączce. Po licznych operacjach uszkodzonej kości jest już w stanie przejść kilka kroków przy pomocy pionizatora.

ASIF BIN HASSAM został oskarżony o próbę zabójstwa Sylwii Updike. Świadcami na jego procesie byli zarówno Sylwia, jak i jego bratanek Fahim. Sędzia skazał Asifa na piętnaście lat więzienia.

Asif i jego żona MUNA mogą także stanąć przed sądem pod zarzutami związanymi z przerzutem wadliwych części zamiennych do samolotów. Sprawa jest jednak bardzo zawiła, zaś łańcuch odpowiedzialności, łączący ich z katastrofą, trudny do udowodnienia i rozciągnięty na kilka krajów o różnych prawodawstwach. Policja w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych nie traci nadziei, że pewnego dnia winni zostaną pociągnięci do odpowiedzialności.

Po śmierci żony dr TERRENCE McAFFERTY wrócił do pracy w kampusie CHERUBA jako ochotnik. Jak dotąd jego doświadczenie wykorzystano do wspomnienia młodszego personelu koordynatorskiego podczas kilku trudniejszych misji.

Raport Maca dotyczący misji Anglo-Irish komplementował zasługi LAURY ADAMS. JAKE PARKER został pochwalony za swoją odważną akcją na polu golfowym, którą, jak zauważył Mac, zasłużyłby sobie na granatową koszulkę, gdyby nie kilka podstawowych błędów, jakie popełnił. We wnioskach raportu Mac zasugerował, by Jake przeszedł szkolenia odświeżające w kilku kluczowych dziedzinach, zanim zostanie wysłany na kolejną misję.

Wadliwy przekaźnik, z winy którego Hassam Bin Hassam odkrył, że jest podsłuchiwany, został rozmontowany i przebadany przez dyrektora technicznego CHERUBA TERRY'EGO CAMPBELLA. Campbell odkrył wadę konstrukcyjną, po czym przekaźnik wycofano z użytku w brytyjskich służbach wywiadowczych do czasu zbudowania i przetestowania przez producenta nowej, poprawionej wersji.

Podczas gdy DANNY BACH leczył połamane kości, jego dwaj znajomi bramkarze przejęli kontrolę nad coraz bardziej dochodową

środową imprezą w Outrage. Kiedy Danny doszedł już do siebie, jego dawni partnerzy odmówili wypłacenia mu jakiegokolwiek części zysków. Doszło do gwałtownej sprzeczki, podczas której Danny poważnie poranił nożem obu mężczyzn. Po trzech dniach ukrywania się został aresztowany w domu swoich krewnych na północnym wschodzie kraju. Policja najpierw oskarżyła Danny'ego o usiłowanie zabójstwa, ale zarzut wycofano, kiedy przyznał się do mniej poważnego przestępstwa. Ze względu na jego bogatą kryminalną przeszłość sąd skazał Danny'ego na siedem lat więzienia.

GEMMA WALKER awansowała na zastępczynię kierownika lokalu w Deluxe Chicken i rzuciła Danny'ego wkrótce po tym, jak poszedł do więzienia, a ich mieszkanie zostało przejęte przez bank z powodu niespłaconego kredytu. Kilka następnych miesięcy przemieszkała wraz z dziećmi w tanim motelu. Stopniowo straciła kontakt z Jamesem i Kerry, ale kiedy ostatnio o niej słyszeli, właśnie przeprowadziła się do szeregowego domku razem ze swoją siostrą MELĄ i spodziewała się dziecka ze swoim nowym chłopakiem.

BRUCE NORRIS wrócił z Australii i nadal jest w związku z KERRY CHANG.

JAMES ADAMS świętował swoje szesnaste urodziny w kampusie z istic nastoletnią fantazją. Kulminacyjnym punktem obchodów był pijacki mecz paintballu, po którym nastąpił improwizowany pokaz fajerwerków przy kampusowym jeziorze. DANĘ SMITH i kilkoro z jego przyjaciół ukarano pięćdziesięcioma godzinami prac remontowych za zniszczenie sprzętu paintballowego, odpalenie fajerwerków bez zezwolenia oraz ciskanie owocami z balkonu na ósmym piętrze.



Samolot pasażerski spada do Atlantyku, uśmiercając 345 osób. Śledczy podejrzewają zamach terrorystyczny, ale dochodzenie nie przynosi żadnych rezultatów.

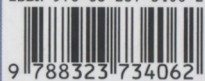
Przerażony dwunastolatek dzwoni na policyjną gorącą linię i obwinia swojego ojca o spowodowanie katastrofy. Zapowiada się przełom w śledztwie, niestety wciąż brakuje niepodważalnych dowodów, zaś chłopiec ma udokumentowaną historię problemów emocjonalnych i kłopotów z opanowaniem agresji.

Tylko agenci CHERUBA mają szansę na odkrycie prawdy. To znakomicie wyszkoleni profesjonalści, których asem w rękawie jest jeden prosty fakt: dorosłym nie przychodzi do głowy, że mogą być szpiegowani przez dzieci.

Oficjalnie agencja nieletnich szpiegów nie istnieje.

EGMONT

ISBN 978-83-237-3406-2



9 788323 734062

cena 34,90 zł